



Wypocząłek Książek
Eugeniusz Kieczyński
Biała, ul. 11-go Listopada 46

CIERNISTA DROGA

BIBLIOTEKA POWIEŚCIOWA DLA MŁODYCH PANIENEK

Wolny przekład
ZOFJI DROMLEWICZOWEJ

L. CZARSKA

496

CIERNISTA DROGA

Wypożyczalnia Książek
Eugeniusz Kieczyński
Biała, al. 11-go Listopada 45

POWIEŚĆ DLA PANIENEK
Z ILUSTRACJAMI

WYDAWNICTWO
KSIĘGARNI POPULARNEJ
W WARSZAWIE

Odbito z plat w Zakł Graf. „FENIKS“, Warszawa.

W s t ę p.

PRZED DZIEWIĘCIU LATY.

Rozpaczliwy okrzyk przerwał nagle majestatyczną ciszę puszczy.

— Na pomoc, na pomoc.

Woźnica powożący parą silnych koni, które z trudem ciągnęły wielkie zamknięte sanki oglądał się bezradnie, wołając:

— Ratunku, Ratunku!

Wokoło panowała ciemna noc, słychać było wycie wichru, szalała śnieżna zamieć, gromadząc coraz ~~większe~~ większe góry śniegu na drodze. Z za chmur przedzierał się nikły, ledwo widoczny blask księżyca.

— Ratunku! Wilki.

Z wnętrza sanek wysunęła się głowa mężczyzny. Mężczyzna ten ubrany był ciepło i bogato w podbite futrem palto i sobolową czapkę.

— Co się stało? — zapytał.

— Wilki — zdołał tylko odpowiedzieć zdławionym głosem woźnica.

— Wilki? To niemożliwe.

— Doganiają nas.

Mężczyzna obejrzał się i natychmiast cofnął się do wnętrza. W oddali widać było kilkanaście płomyków, zbliżających się z niezmierną szybkością ku sankom.

Mężczyzna domyślił się natychmiast, że były to ślepią wilków, które płonęły jak pochodnie,

Drżącym głosem zwrócił się pobladły mężczyzna do siedzącej obok niego, starszej kobiety, otulonej ciepłą chustką, którą nałożyła na płaszczu,

— Nianiu.

— Słucham Księcia pana.

— Nianiu, grozi nam ogromne niebezpieczeństwo.

— Ach Boże!

— Tak, wilki nas napadły. Nie możemy liczyć na ocalenie.

— Boże, zmiłuj się nad nami.

— Nie mamy ze sobą broni.

— Co będzie z nami, co będzie? — zawołała drżącym głosem kobieta i zaczęła płakać głośno.

— Trzeba uratować przynajmniej dziecko. Koniecznie.

— Ale jak?

— Otulę ją ciepło i postaram się jakoś uratować. Przecież nie może umrzeć z nami razem niewinne maleństwo.

— O, moja dziecina kochana.

— Proszę mi podać dziecko, nianiu. Na konie nie liczę wcale. Napewno nie uda im się uciec. Już nie mają sił.

— Boże, zmiłuj się nad nami.

— Może nam się uda dojechać do jakiejś wsi. Ale dziecka nie chcę narażać na to niebezpieczeństwo. Trzeba wymyślić coś pewniejszego.

Głos podróżnika załamał się.

Szlochająca nianka podała mu otuloną w futro maleńką dziewczynkę.

— Bóg niech czuwa nad tobą — szepnęła.

Podróżnik obarczony tem lekkim brzemieniem wyskoczył z sanek. Wzdłuż drogi rosły wysokie drzewa. Mężczyzna zdjął ze siebie płaszcz, owinał nim śpiące bez troski mocnym dziecięcym snem maleństwo, odpiął ze

swej skórzanej kurtki mocny, szeroki pasek i przywiązał dziecko do drzewa, wysoko, przy pomocy rzemienia, którym opasał pień.

Przeżegnał jeszcze przedtem dziecko i ucałował je czule.

— Jeżeli nie zgine, to wrócę tu po ciebie, moje małenstwo — powiedział wruszonym głosem.

Dziecko uśmiechnęło się przez sen.

— Jeżeli zaś zgine, wówczas przechodzący rano ludzie znajdą cię i przygarną.

W każdym razie wilki cię tu nie dosięgną. Niech Bóg czuwa nad tobą. Żegnaj moje ukochanie. Oddaję cię opiece Boga.

W chwilę później znajdował się już znowu w san-
kach.

— Dziecko — szepnęła zapłakana niańka.

— Jest w bezpiecznem miejscu. Przywiązałem je do drzewa.

— Jedziemy — powiedział do milczącego ponuro
woźnicy.

Konie rżały głośno, czując śmiertelne niebezpieczeństwo. Niańka szlochała i modliła się głośno.

I ludzie i zwierzęta czuli, że nie zdołają się uratować. Wilki zbliżały się z każdą chwilą, w ciemności gorzały ich ślepie.

Konie pobiegły naprzód, lecz śnieżne pagorki, wicher i zamieć zatrzymywały wciąż ich pęd.

W lesie rozległo się dzikie i zeciągłe wycie. Wilki otoczyły podróżnych.

* * *

Świtało już, gdy w lesie zabrzmiał strzał. Potem drugi, trzeci.

Okoliczni chłopci, słysząc wycie wilków i jęki ludzi, biegli na pomoc.

Wilki czując zbliżanie się uzbrojonych ludzi uciekły natychmiast.

Chłopi podążyli na miejsce wypadku i oczom ich przedstawił się straszny widok. Konie były całkowicie pożarte przez wilki. Woźnica i niańka leżeli już nieżywi ze śladami straszliwych ukąszeń.

Nieco dalej leżał mężczyzna w skórzanej kurtce i w sobolowej czapce, który dawał słabe oznaki życia. Oddychał cicho. Broczył krwią i był nieprzytomny.

Chłopi zabrali go ze sobą do pobliskiej wsi.

Tam ocucono nieznanego, pokrzepiono go winem, i zabandażowano rany.

Gdy nieznanomy odzyskał przytomność wówczas pierwsze jego słowa były:

— Moja córka, moja dziewczynka.

— Co się z nią stało?

— Została w lesie — mówił z wysiłkiem mężczyzna.

! — Gdzie?

— W lesie. Przywiązałem ją do drzewa, aby wilki nie mogły jej dosięgnąć.

— Pójdziemy zaraz do lasu.

— Tak, na miłość boską, odnajdźcie ją i przynieście do mnie. Jestem bogaty, wynagrodzę wszystkich hojnie.

Chłopi udali się do lasu. Przeszukali wszystkie leśne drogi, wszystkie ścieżki nigdzie jednak nie znaleźli dziecka. Sprowadzili tylko ciała niańki i stangreta. Dziecko zaś zniknęło z lasu bez śladu.

Ojciec dziewczynki, dowiedziawszy się, że jego córeczki nie znaleziono, stracił znowu przytomność, powtarzając bezustannie:

— Niema mego maleństwa, niema mej ukochanej dziewczynki.

* * *

Trzeba dowiedzieć się kim jest ten pan i zawiadomić rodzinę — postanowili wieśniacy, u których nieznajomy mężczyzna przebywał.

Zadawali mu najrozmaitsze pytania. Lecz chory nie był w stanie odpowiedzieć. Majaczył, bredził, rzucał się na łóżku, opowiadał wciąż o swej zagubionej córeczce, lecz kim był, skąd przyjechał, gdzie się znajdowała jego rodzina tego nie można było w żaden sposób się dowiedzieć.

Wówczas przeszukano jego kieszenie i portfel. Oto w kieszeni podróżnej kurtki znaleziono dosyć dużą kwotę pieniędzy, dowód osobisty, rozmaite papiery i kilka listów od przyjaciół.

Z tych właśnie dokumentów dowiedzieli się wieśniacy, że chory mężczyzna był znanym i bogatym księciem, który owdowiał niedawno i jechał z nianią, oraz z małą córeczką do swego przyjaciela w gościnę.

Zawiadomiono więc tego przyjaciela gdzie i w jakim stanie znajduje się nieszczęśliwy mężczyzna.

Przyjaciół przyjechał następnego dnia i zaopiekował się chorym z czułością rodzzonego brata.

Młodość i siły zwyciężyły chorobę. Nie zdołały tylko pokonać głębokiego smutku i rozpacz. Książę nie przedstawiał mówić o swojej córeczce.

Dowiadywał się we wszystkich okolicznych wsiach i w miasteczku. Nigdzie jednak nie natrafił na ślad dziecka.

Wynagrodziwszy hojnie wieśniaków, książę wyjechał zrozpaczony i nieszczęśliwy, oplakując swe dziecko, które uważał za stracone na zawsze.

Mała dziewczynka nie zginęła jednak. Tego samego ranka gdy wieśnicy uratowali jej ojca, obudziła się i nie widząc troskliwego spojrzenia swej niańki-karmicielki, zaczęła głośno i żałośnie płakać.

Placz ten usłyszał stary myśliwy, który rozstawił właśnie sidła w lesie.

— A to co? — zawołał niezmiernie zdziwiony, słysząc dziecięcy głosik w głębi lasu.

Poszedł w tamtym kierunku i zdziwił się jeszcze bardziej, widząc przesłiczne, jasnowłose, maleńkie dziecko opasane rzemieniem i przywiązane w ten sposób wysoko do drzewa.

— Ach, co za maleństwo — zawołał.

Potem odwiązał ostrożnie dziecko.

— Chyba sam Pan Bóg zesał cię dla mnie na pociechę — powiedział po chwili i pocałował serdecznie dziecko.

Dziewczynka, widząc przed sobą dobrą, pocziwą twarz uspokoiła się i przestała płakać.

— Maleństwo takie — powtarzał starzec.

Zaczął ją kołysać troskliwie i dziecko wkrótce znowu zasnęło.

Stary myśliwy był bardzo samotny. Przed wielu laty już przeniósł się z miasta do puszczy i tam mieszkał z żoną i córką. Lecz po jakimś czasie żona umarła, a córka wyszła za mąż i wyjechała z mężem daleko do miasta.

Staremu Michałowi było smutno bez córki, tak się ednak przyzwyczaił do życia w lesie, do puszczy, że nie chciał jechać do miasta.

Teraz, widząc malenką dziewczynkę, ucieszył się bardzo. Lubił zawsze dzieci i wydało mu się, że pan Bóg rozmyślnie mu to dziecko przysyła.

— Pięknie się składa — mówił sam do siebie. — Drugą córeczkę pan Bóg mi zesał, abym nie był samotny. Ale jaka maleńka — cieszył się Michał i zabrał ze sobą swoją żywą zdobycz.

We wsi znajdującej się bardzo daleko odnajmował stary Michał małą izdebkę u zamożnego gospodarza.

Tam też przyniósł dziewczynkę. O tem, że dziecko ma może rodziców, którzy je szukają o tem stary nie myślał wcale. Wydawało ma się, że dziecko podrzucono, polecając je Bogu i dobrym ludziom.

O napaści wilków na podróżnych nic nie wiedział, gdyż mieszkał w zupełnie innej stronie.

Przyszedłszy do domu Michał rozwinął dziewczynkę, szukając jakiegokolwiek karteczki, która wyjaśniłaby może jej tajemnicze zjawienie się w głębi lasu. Kartki jednak żadnej nie było. Dziecko zawinięte było w drogocenne palto męskie, poza tem nosiło ciepły płaszczyk i ładną sukienkę, co świadczyło że było wychowane w zbytku i bogactwie.

Na szyi dziewczynki stary Michał zobaczył krzyżyk na złotym łańcuszku i odczytał na krzyżyku napis:

„Boże, chroń Oleńkę”.

W ten sposób Michał dowiedział się jak się dziecko nazywa.

Przytulił dziecko do siebie.

— Będę cię kochał, Oleńko — powiedział, całując dziewczynkę — będę cię kochał, moja wnuczko przysłana mi przez Boga, jak wnuczkę rodzoną. Wychowam cię, nauczę cię czytać, pisać, modlić się i nie oddam cię nikomu na świecie.

Obawiając się, że może mu kto zechce odebrać przygarnięte dziecko, Michał tegoż rana wyjechał ze wsi. W najbliżem mieście sprzedał futro, a za otrzymane pieniądze pojechał jeszcze dalej, na kresy, głąb puszczy i zamieszkał w małej wiosce, gdzie nikt nie znał ani jego, ani przybranej wnuczki.

Rozdział I.

DZIADEK i WNUCZKA.

— Zimno ci, Oleńko?

— Oj, zimno, dziadziusiu, zimno.

I mała dziewięcioletnia dziewczynka przytuliła się drżącym, szczupłym ciałem do wysokiego starca, strugającego jakieś pałeczki.

— Zimno, dziadziusiu — powtórzyła.

Mała dziewczynka nosiła podszytą wiatrem sukienkę i także paletko a właściwie nie paletko, tylko stary kaptan, sięgający zaledwie kolan.

Z pod chustki włożonej na głowę wymykały się jasne włosy dziewczynki i kręciły się w niesfornych, bujnych puklach wokoło bladej, chudej twarzyczki o wielkich, błękitnych oczach.

— Zimno, dziadziusiu, zimno — opowiedziała raz jeszcze dziewczynka i jeszcze mocniej przytuliła się do dziadka.

Starzec był chudy i wysoki. Twarz miał pomarszczoną całą i żółtą jak wosk.

Wyblakłe ze starości oczy patrzyły wokoło ze znużeniem, ożywiały się tylko wtedy, gdy spojrzenie ich padło na małą dziewczynkę.

Starzec nosił na sobie ubogi, wyrudziały półkożuszek.

W małej chacie, w której znajdowali się starzec

I dziecko było zimno, ciemno i smutno. Niewielkie okienko oblepione śniegiem nie dawało nigdy wiele światła. Obecnie zaś mróz wyrysował na szkłe najrozmaitsze, splecione wzory i przez to jeszcze mniej światła przedstawiało się do izby.

Dziadek i wnuczka siedzieli tuż obok siebie, przytulwszy się mocno i drżąc z chłodu. Dziadek co chwila kaszał, chwytając się za piersi i oddychał tak ciężko, że niekiedy wydawało się dziewczynce, że oto już za chwilę udusi się napewno.

A na dworzu szalał tymczasem wichur a zawieja rozrzuciła kłęby śniegu wzdłuż dróżki małej wioski.

— U—u—u—u—u — wył przeciągle wichur.

— U—u—u—u—u — wtórowała mu ponurym jękiem śnieżycy.

Podczas takiego straszliwego wycia trzęsła się mała, ciemna chata, drżała złotowłosa dziewczynka i zdawać by się mogło, że silniej kaszał wysoki, chudy starzec.

— Dziadziusiu a może napalić w piecu? — zapytała nagle niepewnym głosem dziewczynka.

— Ale czem, Oleńko?

— Tak, to prawda. Nie mamy chróstu.

— Nie mamy. Całe drzewo zostało wypalone. Jedzenia też już nie mamy.

Mówiąc to starzec zakaszał tak silnie, że dziewczynka przeraziła się.

Potem jeszcze bliżej, jeszcze mocniej przycisnął dziecko do siebie i rozwiniawszy swój półkożuszek przykrył ją brzgiem swego ciepłego okrycia.

Milczeli przez jakiś czas.

— Lepiej ci, Oleńko? — zapytał po chwili dziadek.

— Tak, teraz mi trochę cieplej.

Dziadek strugał w dalszym ciągu swoje pałeczki a dziewczynka tuliła się do niego pod półkożuszkiem.

Tymczasem mróz stawał się coraz dotkliwszy. Śnieżyca dokonała swego dzieła i w małej izdebce trudno było usiedzieć.

Dziadek zrozumiał to już od dłuższej chwili i postanowił coś na to poradzić, nie zwracając uwagi na śnieg i zawieruchę.

— Słuchaj, Oleńko, pójdę do lasu.

— Ale takie zimno.

— Nic nie szkodzi. Nazbieram chróstu.

— Zapalimy tedy w piecu?

— Tak, naturalnie.

— O, to dobrze.

— A przy okazji zobaczę czy nie złapaliśmy w potrzask jakiego zajączka. Wyprawimy wtedy bal, prawda Oleńko? — powiedział, usiłując się uśmiechnąć.

— O to by było doskonale.

— Napewno jesteś głodna, kochanie, napewno się jeść chce.

— Chce mi się trochę jeść, dziadziusiu — szepnęła ze zmieszaniem dziewczynka.

— A widzisz. Pójdę więc do lasu, Nazbieram chróstu, obejrzę sidła. Potem napalimy w piecu i upieczemy sobie coś dobrego do jedzenia. Co, Oleńko, to będzie wspaniale?

— Tak, dziadziusiu.

Spiesząc się i pokaszując dziadek zdjął drżącymi rękoma wiszący na gwoździu podarty płaszcz, zarzucił go na siebie, głowę nakrył starą, barankową czapką i przeżegnawszy się, oraz ucałowawszy serdecznie dziewczynkę otworzył drzwi chaty, znajdującej się na samym końcu wioski.

Zawieja, wicher, i śnieg — wszystko to razem dostało się z dworu do wnętrza chaty. Oleńka drgnęła całym ciałem z zimna i ze strachu. Niewiadomo dla czego bała się tego dnia pozostać sama. Zeskoczyła więc

ławki, pobięła za starcem i chwyciwszy go za rękę szepnęła:

— Nie zostawiaj mnie samą, dziadziusiu,

— Dlaczego, głuptasku?

— Nie zostawiaj. Tak mi smutno i strasznie gdy jestem sama.

— Przecież wiesz, że muszę iść, Oleńko.

— Weź mnie ze sobą. Weź mnie ze sobą — prosiła i coraz mocniej ścisnęła rękę dziadka.

— Ależ, zamarzniesz dziś w lesie, głuptasku.

— Nie zamarznę.

— Zobacz jaka dziś zamieć.

— Nic nie szkodzi, dziadziusiu, nic nie szkodzi.

Pójdę z tobą.

— Przeziębisz się, Oleńko.

— Nic nie szkodzi, dziadziusiu najdroższy. Włożę boty i wielką chustkę — prosiła dziewczynka.

Boty i duża chustka były jedynem bogactwem Oleńki,

Starzec wahał się trochę. Na dworze było jednak zbyt zimno. Lecz zauważywszy smutne, przestraszone spojrzenie błękitnych oczu machnął ręką i powiedział.

— No, dobrze.

Dziewczynka uśmiechnęła się radośnie.

— Otul się tylko chustką i włoż boty.

Dziewczynka otuliła się pośpiesznie, wzięła za rękę dziadka i wyszli razem z chaty.

Rozdział II.

ZAMIEĆ. — NIESPODZIEWANY SMUTEK.

Jak się okazało w chacie było o wiele ciemniej, niż na dworzu.

Krótki, zimowy dzień był jeszcze w pełni, gdy stary Michał z wnuczką podążyli do lasu, znajdującego się o jakiś kilometr od wioski.

Był to wielki, gęsty las, przechodzący stopniowo w puszcę. Drzewa jak ogromne olbrzymy strzegły swych posiadłości. Rosły one blisko jedno od drugiego, tworząc nieprzenikloną, gęstą ścianę swemi pniami.

Poprzez ten gąszcz przejście było niezmiernie uciążliwe, niemal niemożliwe dla nieprzyzwyczajonego człowieka. Stary Michał jednak, znający świetnie te strony wiedział doskonale w jaki sposób należy się przedostać. odnajdywał tu każdą ścieżynkę.

Oleńka także знаła dobrze drogę. Dziadek zabierał ją ze sobą do lasu. Zwykle stary Michał sprzedawał ptaki i zwierzynę w pobliskim miasteczku, zostawiając trochę dla siebie i wnuczki. Sam też robił sobie sidła i sieci, strugał pałeczki i wiązał sznurki podczas długich zimowych dni i wieczorów, gdy wichry i śnieżyce nie pozwalały mu wyjść z domu.

Pracując w ten sposób na życie Michał nie zapomniał o swej małej wnuczce.

Nauczył ją czytać i pisać, nauczył ją trochę rachować, nauczył modlitw i katechizmu. jednym słowem nauczył tego wszystkiego, co sam umiał.

Życie ich układało się cicho i spokojnie, aż do chwili kiedy stary Michał przeziębił się podczas polowania i musiał położyć się do łóżka.

Chorował bardzo długo i nie wyzdrowiawszy całkowicie zaczął znowu wychodzić.

Od tego dnia choroba z niezmierną szybkością i siłą nadwątlała siły i żelazny dotychczas organizm starca. Wciąż kaszał i dławił się, czując coraz mocniejszy ból w piersiach, zwłaszcza w te dni, gdy trzeba było wyjść do lasu, podczas nieodpowiedniej pogody.

Tego dnia była właśnie taka pogoda, lecz pozostanie dłużej w chacie bez żywności i opału było niemożliwe ze względu na Oleńkę.

— A może zawieja uciszy się jednak — powiedział Michał, zagłębiając się coraz dalej w las.

Zamieć rzeczywiście ucichła, natomiast z każdą chwilą wzmagał się mróz.

Oleńka drżała coraz silniej pod ciepłą chustką, która jednak nie rozgrzewała wcale jej zmarzniętego ciała. Dziadek zaczął żałować, że zabrał ją ze sobą.

— Zimno ci, Oleńko — pytał zmartwiony.

A dziewczynka, chcąc go pocieszyć, odpowiadała drżącym głosem:

— Nie, wcale mi tak bardzo nie zimno.

Aby dostać się do miejsca, gdzie były zastawione sidła należało przebrnąć po wąskiej ścieżce, na której znajdowały się całe zasypy śniegu.

W lesie zaczynało się już ściemniać. Nogi grzęzły wciąż w śniegu, wiatr przedostawał się przez odzież i bezlitośnie szczypał ciało.

Powrót jednak bez żywności i bez opału był niemożliwy. W izbie nic przecież nie mieli. Poruszając więc z

trudem nogami dowlekli się do miejsca, gdzie Michał zostawił siła.

Niestety, były puste. Ani jeden ptak nie dostał się do pułapki. To samo było z potrzaskiem. Leśne zwierzęta przeraziły się widocznie niepogody i ukryły się w swoich norach przed wichrem i śnieżycą.

— Niema rady, Oleńko — powiedział zmartwiony dziadek — nic nie złapaliśmy.

— Tak — odpowiedziała cicho dziewczynka, nie wiedząc jak pocieszyć starca.

— Trzeba zbierać chróst — powiedział Michał, oglądając się na wszystkie strony.

— Dobrze, dziadziusiu.

— Nie mamy dziś szczęścia — powiedział z głębokim westchnieniem Michał.

Po chwili zabrał się już do roboty. Oleńka mu pomagała. Małe jej rączki chwytaly zręcznie gałązki leżące na śniegu.

Zajęta swoją pracą, pochylając się co chwila, Oleńka rozgrzała się trochę na skutek częstych ruchów i od razu rozweseliła się.

Poza tem przypomniała sobie, że przecież posiada swoją małą tajemnicę.

Rano, podczas śniadania udało jej się schować dla dziadka dość dużą kromkę chleba. Myślała teraz o tej kromce i o tem jak wręczy ją dziadziusiowi, gdy wróca do chaty, zanim się położą spać.

— Dziadziusiu nie wie nawet, że mamy jednak coś na kolację — cieszyła się po cichu Oleńka i z jeszcze większym zapalem wzięła się do roboty.

Nagle usłyszała głuchy jęk.

— Ach!

Oleńka zadrżała i obejrzała się w tę stronę, gdzie pozostawiła swego towarzysza.

Straszny widok przedstawił się jej oczom. Dziadek nie zbierał już chróstu, siedział na śniegu, oparty o pień drzewa, jakoś dziwnie pochylony. Był teraz bardzo blady, kasłał i dławił się, a z jego ust sączyła się wąskim strumykiem krew.

— Dziadziusiu, kochany dziadziusiu — krzyknęła przerażona dziewczynka i pospiesznie pobiegła ku niemu.

— Oleńko — zdołał tylko szepnąć starzec.

Chciał jeszcze coś powiedzieć ale nie mógł. Wyciągnął tylko rękę i znieruchomiał, patrząc na nią smutnym wzrokiem.

— Dziadziusiul

Dziewczynka chwyciła rękę dziadka i z płaczem upadła u jego nóg.

— Dziadziusiu, najdroższy.

— Oleńko — usłyszała ochrypnięty szept — bardzo coś źle ze mną.

— Co się stało?

— Zostaniesz sama jedna, sierotko biedna...

— Dziadziusiu, co ci jest?

— Bóg wzywa do siebie twego biednego dziadziusia.

— Nie zostawiaj mnie, dziadziusiu, nie zostawiaj — płakała Oleńka.

— Pamiętaj, Oleńko... natychmiast po mojej śmierci masz pojechać do mojej córki, Anusi. Adres masz zapisany... Anusia nie opuści cię.

— Dziadziusiul

Starzec umilkł na chwilę, potem powtórzył głośno:

— Boże, zmiłuj się nademną. Boże, zmiłuj się. Żegnaj, Oleńko,

Oleńka, tracąc niemal przytomność ze zmartwienia i ze strachu całowała zimne ręce dziadka. Michał w ostatniej chwili swego życia poczuł jej pocałunki.

Jego zamglone oczy otworzyły się, słabe palce uściśnęły małą rękę Oleńki i głęboko westchnawszy, dziadek upadł na ziemię...

Łkając głośno Oleńka otoczyła szyję dziadka swojemi wątłemi rączkami.

Rozdział III.

OLEŃKA SZUKA POMOCY.

Minęło dosyć dużo czasu zanim Oleńka odzyskała przytomność. Jej wielkie błękitne oczy były zapuchnięte od łez.

Ciało martwego starca zaczęło już kostnieć. Mróz panował coraz to większy.

Oleńka rozejrzała się wokoło i pierwszą jej przytomną myślą była chęć przywołania ludzi, aby zanieśli gdzieś do ciepłej chaty dziadka, którego Oleńka uważała za ciężko chorego, nie wiedziała jednak wcale, że umarł.

Kochała go bardzo gorąco, chociaż wiedziała, że Michał nie jest jej rodzonym dziadkiem, a tylko znalazł ją w lesie przed dziewięciu laty, przywiązaną paskiem do drzewa. Starzec opowiadał o tem często swej przybranej wnuczce, mówiąc:

— Nie byle kim jesteś, Oleńko.

— Dlaczego?

— Znalazłem cię w pięknym futrze a bieliznę i sukienkę to miałaś jak prawdziwe hrabskie dziecko. Może nawet jesteś córką jakiego hrabiego — żartował.

Żarty te nie wzruszały wcale dziewczynki. Było jej wszystko czy jest dzieckiem hrabiego, czy księcia. czy

innego człowieka. Znała i kochała tylko dziadziusia i obawiała się nawet myśli o tem, że mógłby ją kto z dziadziusiem rozłączyć.

— Płakałaś wtedy, ale uspokoiłaś się prędko — opowiadał Michał.

— Płakałam głośno?

— A jakże. Wtedy cię spostrzegłem po raz pierwszy. Pomyślałem sobie zaraz: Pan Bóg mi na pociechę przysłał to maleństwo. Dobrze było z ciebie dziecko. Oleńko, nie można powiedzieć.

Dziadek też był zawsze dobry dla dziewczynki.

A teraz tak nagle zrobiło się dziadkowi słabo, upadł bez zmysłów.

Co mu się stało? Ukochanemu, najdroższemu dziadziusiowi?

Dziewczynka myślała, że dziadzius tak bardzo osłabł, że stracił przytomność. Była jednak pewna, że można go jeszcze ocalić.

— Żebym tylko dobiegła do wioski, do sąsiadów. Tam już uratują dziadziusia napewno — postanowiła Oleńka.

Okryła dziadka troskliwie swoją chustką, pocałowała jego zimny policzek i mając na sobie tylko podarty kaptan, zmęczona zimnem i zawieruchą, pobięła naprzód.

Lecz zła noc spletała brzydkiego figla małej dziewczynce. Otuliła puszcę tak nieprzenikniętą ciemnością, że nic nie było widać.

Oleńka znała dobrze te strony a jednak nie wiedziała teraz w którą stronę pobiec. Nie biegła już zresztą, a ledwo szła na chybił trafił.

Skostniałe nogi ledwo mogły ją unieść.

— Zaraz, zaraz wydostanę się z lasu a stamtąd już bardzo blisko do wioski — dodawała sobie sama otuchy, patrząc z mimowolnym lękiem na otaczający ją ze wszystkich stron mrok.

Nie zauważyła nawet, że w ciemności omyliła się i zamiast skręcić na ścieżkę, prowadzącą do wsi poszła w przeciwną stronę i teraz oddalała się głębiej puszczy coraz bardziej i bardziej.

Coraz trudniej było iść tamtędy. Oleńka wlokła się zaledwie, poruszając nogami w głębokim śniegu. Wciąż jednak miała nadzieję, wciąż wierzyła, że ścieżka prowadząca do brzegu lasu znajduje się w pobliżu i że za chwilę jeżeli natęży siły wydostanie się stamtąd.

Nagle, gdzieś blisko, o kilka kroków od dziewczynki coś zaszeleściło.

— To niedźwiedź — pomyślała przerażona Oleńka i pobiegła w drugą stronę. Zahaczyła jednak nogą o jakąś wystającą z pod śniegu gałązkę i upadła wprost na zaspe śniegu.

Rozdział IV.

KUDŁATE ZWIERZĘTA.

Oleńka leżała, ledwo dysząc, nieruchoma, nie mając siły aby poruszyć ręką lub nogą.

Tuż obok niej poruszało się coś wielkiego i kudłatego, stąpało ciężko łapami po gałęziach drzew.

Przerażenie ogarnęło Oleńkę.

— To napewno niedźwiedź — pomyślała dziewczynka, widząc jak jakaś ogromna postać zbliża się do niej.

Księżyc wydostał się z za chmur i przy jego bladem świetle Oleńka spostrzegła z najwyższem przerażeniem nie jednego a kilka potworów, które jakgdyby skradały się ku niej z czterech stron

Okrzyk przerażenia wyrwał się z ust Oleńki. Zasłoniła twarz rękoma, aby nie widzieć co nastąpi za chwilę.

Jakgdyby zdumione tym krzykiem potwory zatrzymały się na chwilę, nie wiedząc co dalej począć.

— Dziecko tu, w lesie, w nocy? — uszłyszała tuż obok siebie ludzki głos Oleńka.

Odsłoniwszy szybko twarz Oleńka zobaczyła, stojącego przy niej wysokiego mężczyznę. Mężczyzna ten nosił na sobie futrzany kożuch i takąż czapę. To właśnie zmyliło Oleńkę. Kożuch i czapa czyniły go podobnym do leśnego zwierza i dlatego śmiertelnie przerażona Oleńka sądziła, że to niedźwiedź.

Podeszło ku niej jeszcze trzech kudłatych, dzięki swym kożuchom z futrem na wierzchu, ludzi.

Byli oni niżsi niż pierwszy, lecz wydali się Oleńce nie mniej straszni.

Wszyscy czterej pochylili się nad leżącą dziewczynką, która o mało co nie straciła przytomności w tej chwili.

— Coż to znaczy?

— Dziewczynka sama jedna w głębi lasu?

— Podczas takiego szalonego mrozu?

— I tak daleko?

— W głębi puszczy!

— Skąd się tu wzięłaś? — zapytał pierwszy człowiek, którego twarz zwracała uwagę swoim okrutnym wyrazem.

Kosmyki siwych włosów sterczały z pod futrzanej czapki. Rozwichrzona, siwa broda, oraz masa zmarszczek czyniły jeszcze bardziej surową tę nieprzyjemną, niemal okrutną twarz.

Trzej pozostali ludzie wyglądali o wiele młodziej, niż on.

Jeden z nich był zupełnie młodziutkim, bo zaledwie

czternastoletniem chłopcem. Miał bladą twarz, delikatne
ysy i duże, ładne, mądre oczy. które zwracały uwagę
swojem szczerem, śmiałem spojrzeniem.

Dwaj pozostali wyglądali surowo i ponuro tak samo
tak najstarszy.

Wprawdzie twarze mieli nieco łagodniejsze, nie po-
siadali także rozwichrzonych bród, ani zmarszczek, lecz
błyszczące oczy, które patrzyły z podelba odtrącały od
siebie nienawistnym wzrokiem.

Najstarszy człowiek, na ramieniu którego była prze-
wieszona strzelba, podszedł ku Oleńce.

Dziewczynka nie ruszała się. Wówczas mężczyzna
nachylił się, podniósł dziewczynkę z ziemi, potrząsnął
nią mocno i postawił przed sobą.

Oleńka ledwo wiedziała co się z nią dzieje ze
strachu.

— Kto jesteś — zapytał starzec chrapliwym głosem.

Oleńka, oniemiała z zimna i z przeżytych wzruszeń
w pierwszej chwili nie była w stanie wymówić słowa.

— Kto jesteś? — powtórzył starzec.

Dziewczynka zebrała wszystkie siły i po chwili od-
powiedziała cicho, ledwo dosłyszalnie:

— Ola, Oleńka.

— Jak?

— Ola.

— Skąd się tu wzięłaś?

— Dziadzius mnie przyprowadził.

I jednocześnie dziewczynka, wybuchnęła płaczem.

— Nie maż się. Jaki dziadzius?

— Mój dziadzius został na śniegu, mój dziadzius.

— Jaki dziadzius.

— Mój, dziadzius... Michał... Karniszyn... Z sąsied-
niej wioski.

— Skąd się tu wzięliście?

— Przyszliśmy, aby zabrać coś zwierzyny.

— I co się stało z dziadkiem?

— Upadł. Upadł na śnieg.

Olenko płakała coraz mocniej.

— Nie płacz, przestań natychmiast beczeć.

Z trudem wstrzymując płacz, Oleńka prosiła:

— Idźcie po dziadziusia, ogrzejcie go, zabierzcie go do wsi. On jest bardzo chory.

— Co mu się stało?

— Nie wiem, nie wiem, kaszał tak strasznie. Na miłość boską pomóżcie mu, bo jeszcze umrze tam, na śniegu.

I wybuchając znowu płaczem Oleńka przypomniała sobie w jakim stanie pozostał na śniegu jej dziadzius.

— Nie becz — krzyknął z gniewem starzec — nie znoszę, gdy kto beczy i beczy.

Oleńka spojrzała na niego przerażona.

— Gdzieś zostawiła dziadka, mów wyraźnie.

Oleńka, przestraszona surowym głosem, zaczęła znowu wyjaśniać.

— Trzeba iść na prawo, potem znów na lewo, zostawiłam go już niedaleko brzegu lasu, ale potem zbłądziłam.

— No i jak tu zrozumieć co z tego gadania — uniósł się znowu najstarszy mężczyzna.

Potem zamyślił się i odwoławszy swoich towarzyszy zaczął się z nimi naradzać.

Oleńka słyszała tylko urywane zdania:

— Dziewczyna może nam się przydać.

— Ładna jest.

— Takiemu dużemu chłopcu jak Andrzej nie chcą już dawać jałmużny.

— Ta mała przyda się świetnie do tego.

— Ludzie lubią takie ładne dzieci.

Potem starzec zwrócił się znów do dziewczynki:

No dobrze, odszukamy twego dziadka, Sami już tam trafimy.

Potem spojrział na najmłodszego chłopca.

— A ty, Andrzej, weź ze sobą dziewczynę i zaprowadź do naszej chaty.

— Dobrze.

— A uważaj aby nie uciekła. My już sami znajdziemy tego starego.

Starzec spojrział ponuro na czarnookiego chłopca, który jednak odpowiedział śmiałym wzrokiem na to spojrzenie.

Chłopiec wziął Oleńkę za rękę i szepnął cicho:

— Chodź, pójdziesz ze mną.

— A dziadziuś?

— Dziadziusia odnajdą oni.

Oczy chłopca patrzyły tak łagodnie a głos dzwijał tak życzliwie, że Oleńka przestała się obawiać.

— Dobrze, pójdę z tobą — powiedziała.

Z ufnością podała mu rękę i ledwo ruszając skostniałem z zimna nóżkami poszła z nim.

Starzec i jego dwaj towarzysze udali się w tę stronę, którą wskazywała im Oleńka, gdzie według niej znajdował się jej chory dziadek.

Rozdział V

MŁODY PRZYJACIEL. — LEŚNA CHATA.

— Zmęczona jesteś pewnie bardzo? — usłyszała Oleńka ten sam życzliwy szepł.

— O tak, bardzo.

— Pewnie nie możesz iść?

— O, dojdę jakoś.

— Drogę mamy przed sobą daleką.

Dziewczynka westchnęła.

— A ty ledwo ruszasz nogami. Chodź, wezmę cię na ręce.

— Ach nie.

— Dojdziemy w ten sposób prędzej.

Dziewczynka nie zdążyła odpowiedzieć, gdy czarno-oki chłopiec wziął ją na ręce i doniósł do góry.

— Weź mnie za szyję, będzie ci wygodniej.

Dziewczynka objęła nieśmiało młodego chłopca.

— O tak, widzisz teraz jest doskonale, Przecież ci tak dobrze, prawda?

Spojrzał przyjaźnie na jej bladą twarzyczkę czarnemi, dobremi oczyma.

— Bardzo dobrze — zgodziła się dziewczynka.

A po chwili dodała:

— Ach żeby tylko odnaleźli dziadziusia jaknajprędzej i pomogli mu wstać, ocucili go. Wtedy dopiero cieszyłabym się ogromnie.

Chłopiec nic nie odpowiedział, tylko silniej przycisnął ją do piersi i przyspieszył kroku.

Oleńka jednak powtórzyła:

— Jak myślisz, czy znajdą mego dziadziusia?

— Znajdą napewno — uspokoił ją chłopiec.

Po pół godzinie szybkiego chodzenia zmęczony i zdyszany chłopiec zatrzymał się i powiedział wesoło, stawiając Oleńkę na ziemi:

— A teraz jesteśmy w domu.

— Jakto, w domu?

— No tak, jesteśmy już w domu.

— Przecież jesteśmy właśnie w samej głębi puszczy — powiedziała dziewczynka ze zdumieniem.

— Tak, właśnie tu znajduje się nasze legowisko, nasz dom.

— Ale gdzie?

— O tu.

Oleńka rozejrzała się z pewną obawą wokoło.

Przy słabem świetle księżycy zauważyła stuletnie drzewa, otaczające gęsto małą polankę. Na polance tej, tu i ówdzie, sterczały z pod śniegu czarne pnie, przyproszone z wierzchu śnieżnym nakryciem i świadczące wyraźnie o tem, że znajdowała się tu kiedyś nieprzebyta puszcza.

Niemal narówni z ziemią, zasypana prawie całkowicie śniegiem, znajdowała się mała chatka. Mocne, dębowe drzwi chaty mieściły się niemal pod ziemią. Schodziło się ku nim po kilku schodkach, skleconych widać naprędce z desek.

Andrzej, tak bowiem nazywał się przewodnik Oleńki, wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął stamtąd olbrzymi klucz i ślepą latarkę. Latarkę zapalił zapalkami, które również wyjął z kieszeni płaszcza, kluczem zaś otworzył drzwi. Drzwi zaskrzypiały ponuro na zardzewiałych zawiasach.

— Chodź, mała.

Chłopiec wyciągnął rękę w stronę Oleńki i sprowadził ją na dół po stopniach.

Dziewczynka znalazła się wewnątrz niewielkiej, lecz cieplej izby, w środku której stał stół, otoczony ławkami.

Zmęczona i przemarznięta dziewczynka poczuła odrazu, że w izbie jest ciepło.

— Ach, jak tu dobrze — zawołała.

Po długiej męczącej wędrówce, i bezlitosnej zamieci mała chatka wydawała jej się u niemal wspaniałym pałacem.

Nogi dziewczynki chwiały się ze zmęczenia i bólu. Oczy jej się zlepiały.

Zdołała zaledwie podejść do ławki i zupełnie osłabiona upadła na nią.

— Spać mi się chce — powi. łała zmieszana.

— Biedactwo — odpowiedział jej przewodnik.

Spojrzał na dziewczynkę ze współczuciem.

— Tak, pośpij sobie trochę, odpocznij, ale przedtem dam ci coś do zjedzenia trochę chleba i mięsa.

Chleba i mięsa! Oleńka spojrzała ze zdumieniem. Nie śmiała nawet marzyć o jedzeniu od chwili, gdy zobaczyła, że sidła dziadziusia są puste. Była jednak głodna, bardzo głodna.

Tymczasem Andrzej krzątał się w kuchni. Po chwili powrócił.

— Masz, niech ci będzie na zdrowie.

I chłopiec podał dziewczynce wielką kromkę chleba, oraz kawał pieczonej zwierzyny.

— Tylko jedz prędko — mówił Andrzej z zakłopotaniem,

— Dlaczego?

— Bo jeszcze nadejdą nasi i gotowi ci odebrać.

Oleńce zabłyśły oczy gdy ujrzała jedzenie. Wzięła chleb i mięso z rąk chłopca i szybko zabrała się do jedzenia.

Lecz nagle jakby, przypomniawszy coś sobie, przełamała swoją porcję na dwie równe części i oddała jedną z nich chłopcu.

— Dlaczego mi to oddajesz?

— Daj to dziadziusiowi gdy go przyprowadzą. Biedak jest pewnie też bardzo głodny.

— Dobrze, oddam mu.

Gdy dziewczynka zjadła wszystko, aż do ostatniej okruszynki, wówczas poczuła znowu ogromne zmęczenie w całym ciele. Sen zlepiął ociężałe powieki. Przyjemna niemoc rozeszła się po całym ciele. Jasnowłosa głowa

dziewczynki opadła na stół a Oleńka natychmiast zasnęła.

Czarnooki Andrzej zbliżył się ostrożnie do śpiącej. Wziął ją delikatnie na ręce i zaniósł do małej izdebki znajdującej się obok.

— Biedna dziewczynka — szepnął cichó, kładąc Oleńkę na podłodze, na jakimś starym kozuchu i podsuwając jej pod głowę poduszkę w niebardzo czystej powłoczce.

— Biedne maleństwo — szepnął — gdybyś wiedziała do czyjego straszliwego gniazda rzuciły cię losy.

Spojrzał na dziecko ze współczuciem.

— Nie spałabyś napewno tak spokojnie i mocno, biedna, mała dziewczynko!

Rozdział VI.

PRZYJEMNY SEN I PRZYKRE PRZEBUDZENIE.

Oleńka spała beztrosko i słodko śniła. Wydawało jej się, że znowu jest upalne lato, że świeci i grzeje lipcowe słońce. Jedynie w puszczy jest chłodniej nieco i bardzo przyjemnie. Cienie gęstych drzew ochraniają przed natrętnymi promieniami słońca.

Wiewiórki skaczą po gałęziach drzew, śliczne, małe wiewiórki, puszyste, rude mieszkanki lasu.

Oddawna już dziadzius obiecał złapać wiewiórkę i podarować Oleńce zabawne, ruchliwe zwierzątko.

Wokoło rosną wspaniałe kwiaty i wszystkie pachną pięknie.

Cisza panuje w lesie. Oleńce wydaje się, że cały las uśmiecha się do niej.

I dziadzius uśmiecha się także. Dziadzius jes! tego dnia bardzo zadowolony bo udało mu się świetnie polowanie. Schwytał przepiórki i kuropatwy.

Słońce zajrzało w ciemną puszcze, rozzłociło wierzchołki drzew...

Wiewiórka znowu skacze z drzewa na drzewo. Zeskakuje na dół...

— Ach, gdyby ją można było złapać.

I Oleńka pędzi naprzód, chcąc dogonić wiewiórkę... Lecz cóż to?... Wiewiórka nie czuje wcale strachu... Nie ucieka... Przeciwnie czeka na nią... W chwili gdy dziewczynka zbliżyła się do niej natychmiast wiewiórka zeskoczyła jej na ramię. Zeskoczyła i nagle wpiła się ostrymi zębami w ciało przestraszonej Oleńki.

— Gryziesz mnie, wstrętna wiewiórko — oburzyła się Oleńka.

Ostre ząbki wpijają się coraz mocniej.

— Dlaczego mnie gryziesz?

Dziewczynka próbuje się oswobodzić.

— Puść, przecież to boli.

Wiewiórka nie słucha wcale. Zęby jej zacisnęły się jeszcze mocniej.

— Boli, boli — krzyczy już głośno dziecko. — Puść mnie, wstrętna, zła wiewiórko. Puść mnie.

I budzi się, przerażona niespokojnym snem.

Ramię boli ją jeszcze. Nie gryzą jej jednak ostre ząbki zwierzątka. Niel

Silne, mocne jak stalowe szpony, palce wpiły się w jej ramię.

Straszliwy, zły starzec, znany już Oleńce z nocnego spotkania, stoi przy niej i trzymając boleśnie jej ramię, trzęsie nią z całej siły.

— Wstawaj, leniuchu.

— Co to?

— Co to, co to — przedrzeźnił ją starzec.

Oleńka zerwała się, nie wiedząc w pierwszej chwili gdzie się znajduje.

— Budzę ją i budzę i nie mogę obudzić.

Dziewczynka stopniowo dopiero odzyskiwała przytomność, przypomniawszy sobie nieprzytomnego dziadka, leżącego na śniegu, kudłatych, strasznych ludzi i to wszystko co jej się wydarzyło poprzedniego dnia i wieczoru w puszczy.

Zrobiło jej się odrazu przykro i smutno.

— Wstawaj, leniuchul Budzę ją i budzę i nie mogę obudzić. Śpi jak jakaś księżniczka. Wstawaj natychmiast — zabrzmiał ostro i nakazująco chrapliwy głos.

Oleńka rozplakała się nagle i spojrzała zażawionemi oczyma na starca.

— Gdzie mój dziadziuś? — zapytała.

— Przestań beczec — zabrzmiał rozszłoszczony głos.

— Gdzie mój dziadziuś, coście zrobili z moim dziadziusem? — pytała, płacząc wciąż Oleńka.

— Milcz, nie płacz, jeśli nie umilknie natychmiast, to...,

Oczy straszego starca zabłysły tak groźnie z pod nasępionych brwi, że Oleńka zadrżała cała.

Straszliwy starzec, widząc, że dziewczynka oniemiała z przerażenia, zniżywszy trochę głos, powiedział:

— Idziemy teraz wszyscy na robotę, a ty przygotowuj nam obiad.

Oleńka płakała cicho.

— Kasza i sól są tam, w tych garnuszkach, Chleb znajdziesz w szufladzie. Zwierzyny już nie mamy, więc jutro dopiero będziemy jeść mięso, a dziś ugotujesz nam kaszę. Zrozumiałaś?

— Tak.

— Ale pamiętaj, aby kasza była smaczna bo w przeciwnym razie będziesz surowo ukarana, zaraz pierwszego dnia...

— A mój dziadzius? — odważyła się zapytać cicho dziewczynka.

— A o dziadku zapomnij...

— Dlaczego?

— Nie zobaczysz go więcej.

— Co się stało. Na miłość boską, co się stało?

— Nie krzycz tak strasznie. Twój dziadek umarł.

— O, Boże!

— Pochowaliśmy go w lesie.

— O, Boże! Dziadzius umarł.

— Nie becz, to nic nie pomoże.

— Dziadzius umarł — powtarzała zrozpaczona dziewczynka.

— Nie martw się. Nie wypędzimy cię. Zostaniesz u nas w tej chałupie.

— O, Boże!

— Będziesz u nas gospodarowała. Potrafisz?

Oleńka płakała.

— Odpowiadaj, gdy mówię do ciebie. Potrafisz gospodarować

— Tak, potrafię.

— To dobrze. Będziesz gotować, prać dla mnie i dla synów. Będziesz myć podłogi w chacie, sprzątać. Potrafisz?

— Tak.

— W inny sposób też nauczymy cię zarablać. Ale to już później... A tymczasem pamiętaj, aby nie było żadnych krzyków i płaczu. Nie znoszę tego... Ale, jak się nazywasz.

— Ola — szepnęła szlochając dziewczynka, nie mogąc wciąż dokonać wzruszenia, jakie ją ogarnęło przy wieści o śmierci dziadka.

— Jak?

— Ola. Dziadzius nazywał mnie Oleńką. Ola — szepnęła jeszcze ciszej, poprzez łzy dziewczynka.

— No, dobrze. Niech będzie Ola! Tak cię będziemy nazywać. Pamiętaj więc, mała, aby do czasu była dla nas kasza i zupa gorące w garnku. Zrozumiałaś?

— Tak.

— I leż abym więcej nie widział, bo ci je rzemie-
niem osuszę...

Potem starzec otworzył drzwi, prowadzące do dużej
izby:

— Hej chłopcy, marsz do roboty.

— Idziemy już.

— Nie wylegiwać się, wstawać. Powszedni dzień
dzisiaj.

— Idziemy, ojczel — powtórzył gruby głos.

Po chwili dwaj mężczyźni, którym Oleńka mogła
się teraz, przy mdłym świetle naftowej lampki, dokładniej
przyjrzeć, stanęli na progu.

— Ładna dziewczynka — powiedział starszy wysoki
i silny, lecz bardzo brzydki mężczyzna lat mniej więcej,
dwudziestu siedmiu.

— Tak, ładna — potwierdził jego brat tak samo
rudy, piegowaty i brzydki jak pierwszy, tylko nieco od
niego młodszy.

— Taka to chyba potrafi dużo jałmużny uzbierać.

— Tak, ludzie chętnie dają takim ładnym dzie-
ciakom.

— Tak, pošemy ją gdy się trochę przyzwyczai.

— Zawsze się przyda trochę grosza.

— Darmo żywić leniucha nie będziemy napewno —
wtrącił starzec.

I wszyscy troje rozmawiając i śmiejąc się wyszli z
chałupy, starzec zamknął drzwi i przekręcił klucz w
zamku dwukrotnie.

Oleńka została sama jedna w obcym i nieprzyjem-
nym miejscu. Nie czuła jednak ani lęku, ani przerażenia.

Jej małe, biedne serduszko bolało ją ze strasznego zmartwienia.

— Dziadziś umarł!

O niczem innem dziewczynka nie była w stanie myśleć. Teraz dopiero rozumiała, że jej biedny dziadziś umarł naprawdę, że go pochowano i że już nigdy, nigdy nie zobaczy swego dobrego, kochanego staruszka.

Łzy popłynęły znowu z oczu dziewczynki i szlochając cicho, upadła na ławkę.

Rozdział VII.

GŁOS Z POD ZIEMI. ODKRYTA TAJEMNICA.

Oleńka płakała bardzo długo. Potem uspokajała się powoli. Zmartwienie jej było zbyt wielkie, aby mogła je wyładować łzami.

Dziewczynka przypomniła sobie, że dziadek niejednokrotnie kazał jej nie płakać po jego śmierci, gdyż byłoby mu zbyt smutno patrzeć na zmartwienie Oleńki z niebios, dokąd dobry Bóg wziął do siebie duszę starca.

— Pomodłę się za mego najdroższego dziadusia. Pomodłę się do Boga, aby mi pomógł jaknajprędzej się z nim połączyć — postanowiła Oleńka.

Zauważywszy na ścianie obrazek świętej dziewczynki uklękała:

— Boże, dobry Boże — szeptała — weź mnie do siebie także. Weź mnie jaknajprędzej. Nie pozostawiaj mnie tu samą z tym złym starcem. Dobry, drogi Boże, uczyn tak, abym mogła odejść do Ciebie i jaknajprędzej mogła zobaczyć dziadziusię u Ciebie w niebie.

Oleńka modliła się gorąco. Łzy padały jej z oczu i wsiąkały w ubitą z ziemi podłogę chaty.

— Zabierz mnie. Proszę, Cię o to, Boże.

Po skończeniu modlitwy dziewczynka poczuła ulgę. Nie wątpiła wcale, że Pan Bóg usłyszał jej prośbę i niedługo weźmie ją jak dziadziusia do siebie...

Podniosła się z kolan, aby zabrać się do pracy. Praca nie przerażała dziewczynki, która była przyzwyczajona do gospodarowania w chacie dziadka.

Przedewszystkiem trzeba było napalić w piecu. Wiązka drzewa leżała w sieni, którą dziewczynka zauważyła jeszcze poprzedniej nocy.

Oleńka weszła śmiało do sieni otworzywszy szeroko drzwi. Na progu zatrzymała się jednak przerażona i zdumiona.

Wprost z pod podłogi, z pod miejsca na którem stała, usłyszała cichy i przeciągły jęk.

Jęk zabrzmiał raz, potem po raz drugi... trzeci...

Nastąpiła chwila ciszy i znowu ktoś jęknął.

Oleńka zbladła i stanęła nieruchomo. Obawiała się poruszyć.

Ktoś jęknął znowu, tym razem nieco wyraźniej. Teraz dziewczynka nie miała już żadnych wątpliwości.

Pod jej nogami, pod podłogą sieni ktoś się znajdował. Głos wydobywał się stamtąd. Był to cichy, ledwo do słyszalny bezradny jęk, który jakgdyby błagał o litość.

Drżąc cała, Oleńka blada i wzruszona weszła znowu do chaty i po chwili wróciła, trzymając w ręku małą, naftową lampkę. Podniosła ją wysoko nad głową i oświetliła całą mroczną ciemność.

Wprost pod nogami dziewczynki znajdował się czworokątny kwadrat z desek, jakgdyby wtłoczony w ziemię. Oleńka pochyliła się i zobaczyła umocowane na środkowej desce żelazne kółko. Wtedy złapała swą słabą ręką za kółko i pociągnęła z całej siły.

Nagle deska poruszyła się i poddała się ku górze.

Cały kwadrat wysunął się, jak pokrywa pudełka i utworzył z boku ciemny otwór.

W tej samej chwili rozległy się głośniejsze jęki i zanim Oleńka zdążyła się zastanowić ujrzała przed sobą bladą twarz i wielkie podkrążone oczy, patrzące na nią cierpiącym wzrokiem.

Poznała natychmiast i twarz i oczy.

Znajdował się przed nią ten sam chłopiec, Andrzej, który tak troskliwie zaopiekował się nią poprzedniego wieczoru i którego nie widziała dziś wcale w leśnej chacie.

— To ty? Co ci się stało? — zapytała ze strachem i z wzruszeniem,

— Tak, to ja — jęknął chłopiec.

— Dlaczego tak strasznie jęczysz?

— Ach, oni mnie zbili — powiedział głuchym głosem Andrzej.

— Zbili cię?

Tak.

— Dlaczego?

— Bo nie chciałem, aby uczynili coś wstrętnego.

— Co takiego?

— Ach, gdybyś wiedziała jak strasznie mnie zbili. Chcieli, abym im pomógł w jednej wstrętnej rzeczy, a ja nie chciałem, sprzeczałem się, namawiałem aby nie, robili tego. Zbili mnie więc i wrzucili do zimnej piwnicy.

— Ach, Boże.

— Tu jest ciemno jak w grobie. Szczury biegają mi po nogach, nie mam nawet siły aby je odpędzić. Wszystko mnie boli.

— Andrzeju, ja ci pomogę.

— Ach, żebyśmy mogli się stąd wydostać. Uciec jakoś...

I Andrzej znowu jęknął ciężko.

— Wyjdź, wyjdź stamtąd — namawiała Oleńka — zaświecę ci.

— Lecz jeżeli wyjdę to znowu mnie zbiją.

— Nie wrócą tak prędko. Wyjdź tymczasem.

— Całe moje ciało jest posiniaczone. W ustach mi zaschło. Nie mogę się ruszyć — szepnął chłopiec słabym głosem.

— Poczekaj, przyniosę ci trochę wody.

Mówiąc to dziewczynka wróciła pospiesznie do izby, zaczerpnęła ze stojącej w rogu beczki wody do dzbanka i oddała ten dzbanek chłopcu.

Chłopiec wypił chciwie wodę aż do dna.

Woda rzeczywiście orzeźwiła Andrzeja. Uczynił wysilek, podniósł się i chwyciwszy rękami podłogi uniósł się a po chwili siedział już obok Oleńki.

— Czy wiesz — zapytał bez żadnych wstępów — do kogo się dostałaś?

— Nie wiem — odpowiedziała dziewczynka i podniosła ku niemu szeroko rozwarte, pytające oczy.

— Ja też nie wiedziałem. Jeszcze dzisiejszej nocy nawet nie wiedziałem.

Andrzej zamilkł.

— Jakto, nie mówili ci nigdy?

— Nie, nie mówili mi nigdy skąd przybyli i dlaczego ukrywają się w puszczy.

— A jak się do nich dostałeś?

— Spotkali mnie w wiosce przed dwoma laty i zaproponowali, abym zamieszkał z nimi razem.

— Czy nie miałeś rodziców?

— Było to dopiero co po śmierci ojca. Zostałem sierotą. Matki nie miałem oddawna.

— I nie miałeś dziadziusia?

— Nie, nikogo. Mój ojciec był przewoźnikiem, przewoził ludzi łódką z jednego brzegu na drugi brzeg rzeki. Ja uczyłem się w szkole. Gdy ojciec umarł chciałem się

zabrać do jakiejś roboty. Wtedy ich spotkałem. Zaproponowali mi pracę. Poszedłem z nimi.

— A coś robił?

— Z początku gotowałem dla nich jedzenie i sprzątałem, potem zmuszali mnie, abym zbierał jałmużnę w kościołach, na jarmarkach i w pobliskich wsiach. To było okropne, lecz można było jeszcze wytrzymać. Ale dzisiaj...

— Dzisiaj — powtórzyła Oleńka.

— Dzisiaj dowiedziałem się kim są naprawdę. Kazali mi pomóc sobie w takiej strasznej rzeczy.

— Co ci kazali zrobić — szepnęła z przerażeniem Oleńka, otwierając jeszcze szerzej oczy.

— Kazali mi — mówił Andrzej, lewo dosłyszalnym głosem, a twarz mu zbladła zupełnie — kazali mi, abym jutrzejszej nocy poszedł z nimi na robotę.

— Na jaką robotę? — tak samo cicho zapytał Oleńka.

Andrzej zadrżał i jeszcze bardziej blednąc, odpowiedział.

— Widzisz, cała ta okolica znajduje się daleko od linji kolejowej. I aby z pobliskiego majątku dostać się na stację, to trzeba przejechać kilka kilometrów puszcza.

— Więc co z tego?

— Widzisz, oni dowiedzieli się, że bogaty właściciel majątku w pobliżu, będzie wracał z pieniędzmi do siebie i postanowili z nim skończyć.

— Jakto skończyć?

— Postanowili go ograbić?

— Ograbić

— Tak, właśnie ograbić.

— Ach, Boże.

— A może nawet ograbić i zabić.

— Co ty mówisz, Andrzej.

— Tak, to widocznie bandyci.

— Bandyci?

— Tak. Pewnie zbiegli z więzienia.

— To niemożliwe.

— Napewno. Jestem przekonany, że już niejedną zbrodnię mają na sumieniu.

— Boże!

* — Wiem o nich tylko to, że ojciec nazywa się Jan Palec, a młodszy syn ma przydomek Ząb.

— To straszne.

— Tak. Z okropnymi ludźmi mamy do czynienia.

— A dlaczego nie uciekłeś od nich?

— Dopiero tej nocy dowiedziałem się napewno co to za jedni.

— A co myślałeś dotychczas?

— Myślałem, że to myśliwi, może kłusownicy. Mieszkalem u nich bo nie miałem gdzie się podziać. Zresztą pilnowali mnie.

— Ach, Andrzej,

— Lecz dziś w nocy, gdy znaleźli ciebie i ty będziesz dla nich pracowała, ty będziesz robiła w domu to wszystko, co dotychczas ja robiłem w gospodarstwie, wówczas postanowili, że niema powodu aby ukrywać przedemną prawdę i chcieli mnie przyzwyczaić do swego straszliwego rzemiosła.

— Więc co miałeś zrobić?

— Polecili mi abym przedusiał się do majątku tego pana i miałem sprawdzić, czy będzie jechał sam i kiedy napewno wraca do domu?

— Miałeś iść sam?

— Nie, abym nie mógł uciec, lub ich zdradzić miał iść ze mną razem Ząb i pilnować mnie przez cały czas. Potem mieliśmy wrócić tu, a w nocy... w nocy...

Głos Andrzeja załamał się i chłopiec nie dokończył zdania. Twarz jego wyrażała głębokie wzruszenie.

Oleńka drżała cała.

— Trzeba uratować tego nieszczęsnego człowieka—

szepnęła, schwyciwszy za rękę swego nowego przyjaciela.

— Tak, trzeba go uratować.

— Ale ja to zrobimy?

— Obmyśliłem już jak należy to zrobić — zdecydowanym głosem powiedział chłopiec.

Potem po chwilowem milczeniu dodał:

— Ty to zrobisz.

— Ja?

— Tak, właśnie ty.

— Ale jak?

— Przedostaniesz się do wioski. Potrafisz chyba?

— Naturalnie.

— Pójdiesz do sołtysa i opowiesz tam wszystko.

— Dobrze.

— Sołtys zabierze ze sobą ludzi, otoczy tę chatę, zanim zdążą napaść na tamtego.

— Dobrze.

— Mogłbym sam pójść na wieś, ale to wzbudzi w nich podejrzenie.

— Tak, to prawda.

— A jeżeli ty pójdziesz to pomyślą poprostu, że uciekłaś.

— Wybijemy okno w chacie i wyjdiesz tamtędy.

— Dobrze.

— Tylko przedtem powrócę do piwnicy, jakby nic nie zaszło, aby nie pomyśleli, że to ja cię posłałem.

— Masz rację, Andrzej.

— Musisz sama sprowadzić ludzi, bo nasza chata jest tak ukryta, że trudno ją będzie znaleźć.

— To prawda.

— Dam ci worek starych szyszek i wsadzą co kilkanaście kroków szyszkę w śnieg a potem już łatwiej znajdziesz powrotną drogę, naturalnie jeżeli nie zerwie się jak wczoraj zamieć i księżyc będzie jasno świecił.

— Tak, aby tylko śnieg nie padał.

— Ale jestem pewny, że nam się uda, bo przecież mamy uratować życie człowiekowi, więc Bóg nam pomoże — z ufnością w głosie zakończył chłopiec.

— Tak, Bóg nam dopomoże — potwierdziła Oleńka — i jakoś mi się wydaje, że wszystko powinno się dobrze skończyć.

— Ale ty musisz już iść.

— Już idę.

— I śpiesz się, uważaj abyś się nie spóźniła, musisz przecież przyjść na czas.

Bo nie daj Boże, ograbią go zanim zdążysz przyjść.

— Ach — szepnęła Oleńka — to byłoby okropne.

— Leć.

— Już idę, a Bóg i modlitwa mego zmarłego dziadusia napewno mi pomogą, jak myślisz, Andrzej?

Andrzej kiwnął potakująco głową.

— Napewno.

Podał dziewczynce mocno związany tobołek.

— Masz tu worek z szyszkami — powiedział — Pamiętaj, co kilkanaście kroków wsadzaj pod drogę szyszkę. A teraz raz, dwa, trzy. Zaraz wybiję okno.

— Bądź spokojny, wszystko tak zrobię jak mówiłeś.

Andrzej wszedł na ławkę i z całym rozpędem zeskoczył, uderzając pięścią w małe okienko izby.

Szkoło rozbiło się z żałosnym jękiem. Ze skaleczonej dłoni Andrzeja popłynęła krew, lecz on nie zwrócił na to uwagi.

— Teraz powrócę do piwnicy — powiedział drżącym głosem a ty uciekniesz.

— Tak, ja cię zamknę.

— Niech myślą, że nie mam nic wspólnego z twoją ucieczką. Bo w przeciwnym razie gotowi jeszcze zmienić swój poprzedni plan na inny, w obawie, że zdradziłem ich przy twojej pomocy.

— Tak, jakiś ty mądry, Andrzeju.

Andrzej roześmiał się.

— No, idź z Bogiem. Dowidzenia.

— Już idę.

Chłopiec zeskoczył śmiało w widoczny w sieni otwór.

— Zamknij pokrywę — zawołał.

Oleńka podeszła i nie bez wysiłku spełniła polecenie przyjaciela. Opuściwszy kwadratową deskę zawołała:

— Dowidzenia, Andrzeju.

Potem wgramoliła się na ławkę i przecisnęła się przez okno.

Nie było w tem nic trudnego bo dziewczynka była bardzo mała i szczupła, z łatwością więc przecisnęła się przez okno. Poza tem okienko z zewnętrznej strony znajdowało się na tym samym poziomie co ziemia i Oleńka znalazła się na wolności prędzej, niż przypuszczała.

Przeżegnawszy się kilka razy pobiegła jaknajszybciej naprzód, wąską, ledwo widoczną ścieżką.

Pamiętając rady Andrzeja, dziewczynka pozostawiała co kilkanaście kroków szyszkę.

Tymczasem rozpoczął się już dzień. Z rozmaitych norek wyskakiwały puszyste zwierzątka i patrzyły ciekawemi ślepkami na Oleńkę.

Oleńka zaś biegła coraz szybciej, w obawie, że może nie zdąży wrócić w porę.

Wzruszenie i znużenie dawały się we znaki biednemu dziecku. Małe nóżki zatrzymywały się mimowoli, serce biło coraz mocniej. Oleńka dosłownie padała ze znużenia.

— Co będzie jeżeli nie zdążę? — myślała wciąż dziewczynka.

— Co będzie jeżeli się spóźnię i ograbią nieszczęsnego człowieka.

Nie zwracając przeto uwagi na to, że nogi bolały ją szalenie, Oleńka biegła wciąż naprzód.

Wreszcie zajaśniało coś między drzewami. Las się skończył, Nareszcie!

Jeszcze, jeszcze chwilę, Oleńko — dodawała sobie sama odwagi.

— Jeszcze chwilę, trzymaj się, do wioski już niedaleko powtarzała sobie dziewczynka i nie zwracając już uwagi, na to, że gałęzie drzew rwą jej suknię i paletko, że kaleczą jej twarz, Oleńka biegła jaknajprędzej w stronę wioski.

Rozdział VIII.

OLEŃKA WYPEŁNIA POLECENIE.

Sołtys zamierzał właśnie zdrzemnąć się trochę po obiedzie, gdy powiedziano mu że jakaś mała dziewczynka chce się z nim koniecznie zobaczyć w ważnej sprawie.

— Cóż to znowu za dziewczynka? — zapytał niezadowolonym głosem sołtys i kazał wprowadzić do świetlicy nieprzszego gościa.

— Ach, to ty, Oleńko — powiedział, poznając od razu wnuczkę starego Michała.

— To ja, dzieńdobry.

— Dzieńdobry. Co się dzieje z twoim dziadkiem? Czy nie zachorował aby? Pociś tu przyszła sama jedna?

Sołtys mówił bardzo uprzejmie do dziewczynki, którą znał i lubił. Lubiał także i szanował starego Michała; zawsze był przyjaźnie nastrojony i do niego i do jego małej wnuczki.

— Przyszedłś sama? — powtórzył.

Sołtys zdziwił się bardzo, widząc dziewczynkę samą. Wszyscy bowiem przyzwyczaili się do tego, że dziadek i wnuczka byli nierozłączni i widywano ich zawsze razem.

Wspomnienie dziadka dotknęło boleśnie dziewczynkę. Rozplakała się głośno.

— Dlaczego płaczesz, dziecko. Co się stało? — zapytał natychmiast sołtys.

Oleńka łkała niepokieszenie i nie mogła odpowiedzieć.

— Co się stało? Czy twój dziadek zachorował?

Małe serduszek dziewczynki pękało niemal z żalu i tęsknoty. Teraz, tu, w swojej wiosce poczuła cały ciężar nieszczęścia. Nie było już dziadziusia na świecie i już nigdy, nigdy nie zobaczy go.

Nagle myśl o właścicielu majątku, którego trzeba było przecież za wszelką cenę ocalić, przemknęła jak błyskawica przez głowę dziewczynki.

I dławiąc się łzami, Oleńka zaczęła opowiadać o tem wszystkim co się wydarzyło w ciągu ostatniej doby w puszczy z nią i z jej dziadkiem.

Jak poszli na poszukiwanie chróstu i zwierzyny, bo w chacie już nic nie mieli, jak było coraz zimniej, jak dziadek upadł na ziemię, jak potem spotkała leśnych wędrowców, którzy ją zabrali ze sobą i jak dowiedziała się od Andrzeja o strasliwym postępku, który zamierzali wykonać.

Sołtys słuchał w milczeniu a jego twarz przybierała coraz poważniejszy wyraz.

Gdy zaś Oleńka umilkła i tylko szlochała cicho myśląc o nieszczęściu jakie ją spotkało, sołtys pogladził ją po głowie i powiedział dobrotliwie:

— Jesteś dzielną dziewczynką, Oleńko. Uratowałaś życie człowiekowi. Ocaliłaś życie temu panu i zapewne nie tylko jemu, bo ci bandyci popełniliby jeszcze niejedną

zbrodnię. Szukamy ich oddawna, ale nie podejrzewaliśmy wcale, że ukryli się tu, w puszczy.

— Czy ich się złapie?

— Tak, napewno. Otrzymasz za swój postępek, Oleńko, nagrodę a właściciel majątku też ci się pewnie odwdzięczy. A teraz wypocznij porządnie, abyś mogła nas zaprowadzić na miejsce. Posil się. Moja żona da ci coś do jedzenia.

— Nie, mogę nie zdążyć.

— Nie obawiaj się. Ten pan zatrzymał się właśnie u nas, bo chciał, aby konie odpoczęły, zanim ruszy w dalszą drogę.

Mówiąc to sołtys pogładził jasne włosy dziewczynki, zachwycony odwagą dziecka.

Oleńka nie chciała jednak jeść. Wprawdzie śmiertelne niebezpieczeństwo przestało już grozić właścicielowi majątku, lecz złoczyńcy mogli się domyśleć prawdy i zemścić się na Andrzeju za to, że pomógł upatrzonej ofierze wymknąć się z ich rąk.

— Chodźmy tam lepiej zaraz — prosiła.

— Zjedz coś, wypocznij — namawiał sołtys.

Oleńka nie była jednak w stanie jeść, ani spać i prosiła wciąż sołtysa, aby jaknajszybciej schwytać złoczyńców.

Oleńkę zawezwano wkrótce do drugiego pokoju, gdzie zastała wysokiego, miłego pana. Jak się okazało był to właśnie ów pan, którego życiu groziło niebezpieczeństwo, i którego zawiadomiono o tem.

— Jesteś dobrą, dzielną dziewczynką — powiedział obejmując serdecznie Oleńkę — dzięki tobie rodzina moja uniknęła ogromnego zmartwienia. Nie zapomnę tego nigdy, zaopiekuję się i zajmę się tobą. Czy jesteś sierotą?

— Tak, jestem sierotą — odpowiedziała Oleńka i przypomniawszy sobie, że jest sama jedna na świecie, rozplakała się.

— Nie płacz — pocieszał ją pan — wezmę cię do siebie i będę się o ciebie troszczył jak o rodzoną córkę.

— I Andrzeja także. Proszę, niech pan weźmie do siebie Andrzeja.

— Kto to jest Andrzej?

Oleńka zaczęła opowiadać o chłopcu.

— To Andrzej właśnie powiedział mi w jaki sposób uratować pana. Gdyby nie on, zginąłby pan napewno — zakończyła opowiadanie Oleńka.

— Dobrze, wezmę Andrzeja także, zaopiekuję się nim i będzie wam dobrze na świecie. A teraz musimy pojechać do lasu — powiedział, wstając z miejsca ze spokojnym uśmiechem, bez ciemia lęku.

Należało się rzeczywiście śpieszyć. Sołtys wystarał się już o pomoc i utworzył z ochotników dwa oddziały. Kilku ludzi pojechało sankami kupca zwykłą, leśną drogą, sołtys zaś, kilkunastu ludzi, właściciel majątku oraz Oleńka poszli pieszo w stronę leśnej chaty, w głąb puszczy.

Dziewczynka szła naprzód, prowadząc mały oddział. Księżyc ukazał się właśnie na niebie i oświeślał drogę. Szyszki rzucone przedtem przez Oleńkę, ukazywały którą należy iść. Droga, którą jechały sanki znajdowała się w pobliżu.

Słychać było dźwięk dzwonków i rzenie koni.

Oddział coraz dalej zagłębiał się w puszcze.

Wreszcie, gdzieś w oddali zabłysło światelko.

— To jest leśna chata — szepnęła Oleńka.

Serce dziewczynki waliło z całej siły. Sołtys kazał ludziom, aby podchodzili do chaty powoli, kryjąc się za drzewami, aż do samego legowiska bandytów.

Księżyc ukrył się właśnie za chmurami i w lesie zrobiło się zupełnie ciemno.

Oleńka stała obok sołtysa. Serce dziewczynki uderzało gwałtownie. Obawiała się teraz, aby przez omyłkę

nie schwytano także z bandytami Andrzeja i nie wyrządzono mu jakiegś krzywdy. Postanowiła więc przedostać się jakoś do chaty i odszukać chłopca. W tym celu odeszła niepostrzeżenie od sołtysa, obok którego stała przez cały czas.

Nagle ktoś ją złapał mocno za rękę.

— To ja, Andrzej — usłyszała szept.

— Andrzej!

— Zrobiłaś to wszystko co ci mówiłem?

— Tak.

— Wszystko?

— Wszystko.

— I sołtys z ludźmi jest tutaj?

— Jest.

Zaledwie zdążyła odpowiedzieć, gdy odgłos strzału zmącił ciszę puszczy. Potem drugi, trzeci.

Ktoś przebiegł szybko, ktoś upadł ciężko na ziemię. I wtedy zabrzmiał głos sołtysa:

— Chłopcy, łapcie bandytów. Trzymajcie ich.

Światło latarek dotychczas ukrytych pod kozuchami, oświetliło odrazu całe miejsce.

Teraz spostrzegła Oleńka, że kilkunastu ludzi otoczyło strasznego starca i jego synów. Bronili się nożami i siekierami. Wreszcie stary włóczęga i jego młodszy syn stracili siły. Bronił się już tylko Ząb, który nagle z szybkością i zwinnością kota pobiegł w głąb puszczy.

— Trzymajcie go, trzymajcie — krzyczał sołtys, lecz włóczęga był już daleko.

Wymachując ogromnym nożem, miotając przekleństwa i groźby biegł teraz wprost ku Oleńce i Andrzejowi, którzy ukryli się za olbrzymim drzewem.

— Zobaczyl nas—szepnęła przerażona dziewczynka, przytłając się do swego przyjaciela, jakby szukając u niego schronienia.

— Zobaczyl nas, co zrobić?



Włóczęga biegł wprost ku nim, odciawszy im drogę do małego oddziału.

Zauważył już ukryte za drzewem dzieci. Zatrzymał się na chwilę. Na strasznej jego twarzy odmalował się wyraz zadowolenia. Zrozumiał teraz kto przyprowadził uzbrojonych ludzi.

— Acha, to tak — krzyknął z wściekłością głośno i rzucił się na Andrzeja.

Lecz Andrzej jakby oczekiwał tego. Złapał Oleńkę za rękę i kilkoma skokami dostał się z nią w ciemną przestrzeń za grupę ogromnych drzew, dokąd nie dochodziło już światło latarek.

Teraz Andrzej klęknął szybko.

— Włóż mi na plecy — powiedział i gdy Oleńka, nie tracąc ani chwili, spełniła jego polecenie, Andrzej szybko podniósł się i trzymając mocno dziewczynkę pobiegł w głąb puszczy.

Jednakże Ząb nie zaprzestał pogoni. W ciemności słychać było jego głośny oddech, oraz trzask gałęzi na które następował. Biegł tuż niemal za dziećmi.

Ciemność nocy rozdzielała ich jedynie.

— Goni nas — szepnęła Oleńka.

Serce Andrzeja waliło z całej siły. Gdyby upadł teraz, Ząb zabiłby napewno jego, oraz niewinną Oleńkę. Wiedząc o tem chłopiec wciąż przyspieszał kroku chociaż nogi bolały go, a plecy ugiwały się pod ciężarem, do którego nie był przyzwyczajony. W dodatku gałęzie mijanych drzew uderzały go wciąż po głowie i twarzy.

Andrzej był zmęczony do ostatnich granic. A tymczasem Ząb wciąż jeszcze gonił dzieci. Czując to Oleńka zwinięta w kłębek na plecach przyjaciela. W głowie dziewczynki powstała rozpaczliwa myśl:

Niech ucieka i uratuje się Andrzej. Niechaj ją rzuci na ziemię. Zbyt trudno mu tak biedz z ciężarem na plecach.

I przytknąwszy usta do ucha chłopca szepnęła:

— Rzuć mnie, Andrzeju.

— Zwarjowałeś chyba.

— Rzuć mnie... Uciekajsam... Może mnie nie zauważy.

Uratuj się sam,.

— Przestań, cicho bądź.

— Zostaw mnie... Ja ci tylko przeszkadzam.

— Cicho bądź — powiedział chłopiec ochrypniętym szeptem — razem zginiemy, albo razem się uratujemy.

I natężając ostatek sił chłopiec rzucił się jak oszalały naprzód, lecz w tej samej chwili upadł z głuchym jękiem w zaspę śnieżną.

Rozdział IX

C O R O B I Ć ?

Coś zimnego dotknęło twarzy Oleńki i niemal jednocześnie usłyszała czyjś przyspieszony oddech tuż obok siebie.

Księżyc znikł za chmurami i w otaczającym ich mroku nie było nic widać.

Oleńka wyciągnęła rękę i o mało co nie krzyknęła głośno. Ręce jej dotknęły nieruchomej twarzy Andrzeja, po której ciekło coś ciepłego i lepkiego.

Dziewczynka wyciągnęła drugą rękę i uderzyła się mocno o coś twardego jak kamień. Teraz dziewczynka pojęła wszystko. W rozpaczliwym pośpiechu Andrzej natknął się o drzewo rosnące na środku ścieżki i uderzwszy o nie, opadł, uciekając krwią na pagórek, podczas gdy Ząb pobiegł dalej.

Przerażenie scisnęło serce Oleńki. Co będzie, jeżeli

Andrzej umarł? Co będzie jeżeli tak samo, jak dziadek nie podniesie się więcej i ona zostanie sama jedna w tej straszliwej puszczy, gdzie przecież znajdują się niedźwiedzie i wilki i gdzie znajduje się straszliwszy jeszcze wróg, rozwścieczony bandyta.

Lecz wszystkie lęki Oleńki były niczem w porównaniu z żalem jaki ją ogarniał, gdy myślała o Andrzeju, którego pomimo tak krótkiej znajomości gorąco polubiła.

W biedzie ludzie zaprzyjaźniają się szybciej. Wydawało jej się, że zna tego chłopca oddawna...

Wzięła go za rękę. Ręka pozostała nieruchomą w jej dłoni. Chłopiec był bez czucia, nieprzytomny. Widocznie zranił się silnie, uderzając głową o drzewo.

Teraz Oleńka przypomniała sobie jak dziadek jej leczył w wypadku uderzenia się. Brał trochę śniegu i pocierał nim bolące miejsce. To samo zrobiła teraz dziewczynka. Wzięła garść śniegu i przykładła troskliwie do zranionej głowy Andrzeja. Stopniowo krew przestała się sączyć i chłopiec zaczął dawać oznaki życia. Jęknął ciężko, raz, drugi, trzeci...

— Co to? Co się stało? — zapytał słabym głosem, odzyskując całkowicie przytomność.

— Andrzeju, drogi, żyjesz? Żyjesz. Dzięki Bogu — szeptała radośnie Oleńka, całując i obejmując chłopca, leżącego wciąż jeszcze bezsilnie na śniegu.

— Żyję, tylko głowa bardzo mnie boli — powiedział starając się mówić swobodnie. — A gdzie Ząb, czy go zmęczyła pogoń i pozostał w tyle.

— Nie, on przebiegł naprzód. Musimy wrócić koniecznie w tamtą stronę, gdzie pozostali ludzie — mówiła dziewczynka — Ale ty przecież nie możesz wcale iść — dodała, patrząc z niepokojem na twarz chłopca.

— O, spróbuję — odpowiedział i Andrzej podniósł się z wysiłkiem.

— Daj mi rękę. Pójdziemy trzymając się za

ręce bo jeszcze zgubimy się w ciemności. Patrz, jak tu ciemno — mówił, poruszając się z trudem.

Oleńka wyciągnęła w milczeniu rękę, znalazła jego palce i przytulając się do siebie, dzieci zawróciły i poszły w tym kierunku, gdzie, ja' im się wydawało pozostawili sołtysa i jego ludzi.

Rozdział X.

Z B Ł Ą K A N I.

Dzieci szły wciąż przed siebie zmęczone i skostniałe.

— Patrz, Andrzeju, już noc minęła.

— Tak, robi się coraz jaśniej.

Puszcza ożywiła się i rozbudziła. Wewiórka wesoło skakała po gałęziach. Jakieś puszyste zwierzątko wysunęło spiczastą mordkę z dziupli drzewa. Gdzieś w oddali zabrzmiał krzyk dzikiego ptaka.

— Dlaczego tak patrzysz, Andrzeju?

Andrzej od dłuższej chwili rozglądał się wokoło. Na jego twarzy malował się wyraz strachu i niepokoju. Chłopiec znał dobrze miejscowość otaczającą leśną chatę, znał okolicę dokładnie. Lecz w tem miejscu, które ujrzał teraz w świetle dziennem nie był jeszcze nigdy. Miejscowość wydawała mu się zupełnie nieznana i dzika. Drzewa rosły tu tak gęsto obok siebie, że w lesie było ciemno jak w grobie. Smutny nastrój opanował chłopca. Cóż się z nimi stanie tu w tym gąszczu, bez dachu nad głową i pożywienia?

— Zabłądziliśmy? — zapytała z przerażeniem Oleńka.

— Tak, ale myślę, że jakoś się wydostaniemy — powiedział chłopiec, usiłując ją pocieszyć.

— A czy zauważyłeś jak się nagle ochłodziło? — zapytała Oleńka.

Andrzej w milczeniu skinął głową potwierdzająco.

Rzeczywiście podniósł się silniejszy wiatr. Przytem dzieci niewyspane, zmęczone długim chodzeniem i przeżytemi wzruszeniami odczuwały zimno dotkliwiej, niż zwykle.

— Zdaje mi się, że się zerwie zamieć — powiedział Andrzej po chwili smutnego milczenia, podczas którego namyślał się nieustannie jaką drogę wybrać, aby się nareszcie wydostać z lasu.

Mróz tymczasem zwiększał się z każdą chwilą, zerwał się również silny wicher i dzieci, naogół przyzwyczajone do zimna, drżały teraz całe.

— Będzie taka zawieja jak onegdaj — westchnął chłopiec, słuchając wycia wiatru.

— Ach, żebyśmy tylko doszli do wsi — powiedziała błagalnie Oleńka.

— Ach, żebyśmy tylko doszli do wsi — powtórzyła dziewczynka składając ręce i podnosząc ku górze oczy — żebyśmy się stąd nareszcie wydostali. Żebyśmy mogli dojechać do stacji kolejowej. A potem nie wrócimy już nigdy... Pojechalibyśmy do cioci Anusi... tak jak mi kazał dziadziuś. Poprosimy dobrych ludzi, oni nam dadzą pieniędzy na drogę i jedziemy,

— Nie, nie będziemy nikogo o nic prosić. Nie trzeba — przerwał Andrzej — Wystarczy nam na drogę.

— W jaki sposób?

Ojciec zostawił mi trochę pieniędzy. Noszę je zawsze przy sobie. Zaszyte są w podszewce mojej kurtki. Obawiałem się, aby Palec nie domyślił się i nie zabrał mi ich. Wystarczy nam na drogę.

Pojedziemy do ciotki.

— A ty pojedziesz ze mną? — zapytał ochrypnięty łośik — pojedziesz ze mną do cioci Anusi?

Andrzej objął mocno dziewczynkę.

— Nie rozstanę się z tobą nigdy, Olu. Będiesz moja małą siostrzyczką. Od teraz będę twoim opiekunem i przyjacielem.

— To dobrze, bo ja nie mam teraz nikogo bliskiego.

— Oboje jesteśmy sierotami i oboje jesteśmy zupełnie samotni. Pan Bóg nas zetknął ze sobą — powiedział stanowczo chłopiec i spojrzał serdecznie na zsiniałą z zimna twarz swojej towarzyszki.

— Tak mi się spać chce — powiedziała Oleńka sennym głosem.

— Nie, nie możesz tu zasnąć — wykrzyknął z rozpaczą w głosie Andrzej — gdybyś zasnęła zamarzałabyś na śmierć. Nie obudziłabyś się więcej.

— Ja ci tylko przeszkadzam — szepnęła dziewczynka.

— Chodź, weźmę cię na ręce — postanowił chłopiec.

— Nie uniesiesz mnie, sam jesteś zmęczony i przecie masz zranioną głowę.

Była to prawda. Andrzej wiedział o tem dobrze. Nie potrafiłby przejść teraz nawet kilkunastu kroków, dźwigając dziewczynkę.

— Chodź, Oleńko, Biegnijmy — rozgrzejemy się w ten sposób.

I biedne dzieci zmęczone szalenie przebiegły kilkanaście kroków, usiłując w ten sposób pokonać ogarniającą ich senność i zimno.

Lecz już po chwili Oleńka zatrzymała się.

— Nie mogę, nie mogę iść dalej.

— Jeszcze trochę — prosił Andrzej.

— Nie mogę.

— Jestem pewny, że zbliżamy się już teraz do brzegu lasu.

— Odpocznijny chwilkę — poprosiła dziewczynka, i nie czekając na zgodę osunęła się na ziemię.

— Nie możesz tak leżeć Oleńko, nie możesz — zawołał Andrzej, lecz dziewczynka nie słyszała go. Oczy jej zamknęły się natychmiast, głowa pochyliła na bok i Oleńka pół leżąc, pół siedząc na śniegu zasnęła.

— Trzeba ją obudzić, trzeba ją obudzić — pomyślał chłopiec, muszę ją natrzeć śniegiem.

Pochylił się nad dziewczynką, lecz poczuł w całym ciele taką niemoc, że nie był w stanie uczynić najmniejszego ruchu.

Zraniona głowa bolała, w skroniach pulsowało, przez całe ciało przechodziły dreszcze.

— Ach, jakżeby było dobrze położyć się, odpocząć chwileczkę — pomyślał mimowoli Andrzej, zapominając że odpoczynek ten kryje w sobie śmiertelne niebezpieczeństwo.

Jeszcze raz usiłował się podnieść. Lecz nagle za kręciło mu się w głowie i chłopiec upadł obok swej małej przyjaciółki.

Zamieć szalała wokoło, świszcząc beznadziejnie nad głowami dwojga zamarzających dzieci, które nie wiedziały wcale, że znajdują się tuż obok końca lasu, za którym ciągnie się niewielka wioska.

MAŁA POGROMCZYNI ZWIERZĄT

Rozdział I.

P R Z Y J A Z D

— Wysiadać, wysiadać!

— Przyjechaliśmy już, proszę!

— A tak, przyjechaliśmy.

— A co, chłopcze, chciałbyś jeszcze trochę pojechać — uśmiechnął się wysoki pan, współtowarzysz podróży.

— Nie dziękuję, mamy już dosyć tej jazdy.

Andrzej zwrócił się w stronę dziewczynki, która ciekawie wyglądała przez okno.

— Chodź, Oleńko.

We wszystkich wagonach panował ruch i gwar. W wagonie w którym znajdowali się Andrzej i Oleńka jakaś staruszka pakowała pośpiesznie wyjęte przedtem rzeczy do tobołków i walizki. Obok, w sąsiednim przedziale, płakało głośno małe dziecko a jakaś para śmiała się wesoło.

— Chodź, Oleńko — powtórzył Andrzej, biorąc dziewczynkę za rękę i stając na stopniach wagonu.

Wokoło było rojno i gwarnie. Tragarze biegli szybko przed siebie, podróżni tłoczyli się w pośpiechu przy wyjściu. Wszyscy rozmawiali głośno, szukali tragarzy, nawoływali się nawzajem.

Ten ruch i hałas onieśmiałąy dzieci, które nie bardzo wiedziały co mają ze sobą robić.

Machinalnie szły więc za przykładem innych i w ten sposób przeszły przez poczekalnię, a potem wydo stały się na ulicę.

Teraz przystanąły znowu.

Obce, nieznane miasto o wielkich murowanych domach, o wysokich wieżach kościołów, o olbrzymich fab-

rycznych kominach wydawało im się czemś nieprawdopodobnem, czemś nierzeczywistem.

Wychowane w głębi puszczy znały dzieci tylko małe wioski i miasteczka.

Poza tem onieśmiała je teraz myśl, że przyjechały nietylko do obcego miasta, ale także do zupełnie obcych ludzi. Mieli się przecież udać do jakiejś Anny Czernik, „cioci Anusi”, którą Oleńka знаła jedynie z opowiadań dziadka i z rzadko do niego pisanych listów. Andrzej zaś nie znał jej wcale.

Minęło kilka tygodni od chwili, gdy dzieci zasnęły podczas zamieci na śniegu.

Miejscowi chłopci odnaleźli je po kilku godzinach. Roztarto je natychmiast śniegiem, owinięto w ciepłą odzież i zawieziono do wsi.

We wsi ułożono Andrzeja i Oleńkę do łóżka, dano im się napić herbaty z wódką.

Gdy dzieci odzyskały przytomność dano im jeść i znowu musiały się napić czegoś rozgrzewającego.

Po jakimś czasie dzieci odzyskały przytomność. Były uratowane!

Po kilkunastu dniach zaś mogły podnieść się z łóżka. Przez kilka dni jeszcze mieszkały u gościnnych wieśniaków, potem udały się w daleką drogę.

— Spójrz, jaka wielka ulica — szepnął Andrzej.

— Ogromna!

— A jakie sklepy!

— Zobacz, jakie mają wielkie szyby.

— Zupełnie jak lustra.

Oleńka patrzyła oszołomiona. Widziała przed sobą wielką, szeroką ulicę, wysokie domy, sklepy o lustrzanych szybach, auta, dorożki, tramwaje, spieszących się ludzi.

Dzwonki, dźwięk trąbek, nawoływania, hałas wielkiego miasta oszołomił dzieci.

Stały niepewne pośrodku ulicy, nie wiedząc w którą stronę się zwrócić.

— Uważaj, czego stoisz jak słup soli — rozległ się okrzyk i tuż obok dzieci przejechała dorożka, opryskawszy je błotem.

— Nie gap się — zawołał jakiś chłopiec obok nich.

Dzieci zdążyły się cofnąć dopiero w ostatniej chwili.

Jednocześnie zjawiała się przed nimi postać policjanta, regulującego ruch na środku ulicy.

— Jak chodziecie? Nie wolno stawać na środku ulicy. Uważajcie bo zapłacicie karę — krzyknął policjant.

Andrzej spojrzał zmieszany na niego i ścisnął mocno rękę Oleńki, jakby obawiając się, że mu ją zabiorą.

— Przepraszam pana — powiedział — nie wiedziałem.

Policjant spojrzał na niego łagodniej i odszedł na swoje miejsce.

— Chodźmy — szepnął Andrzej.

— Chodźmy, bo znowu się rozgniewa.

— Powiedz mi jeszcze raz, gdzie mieszka twoja ciotka.

— Ulica Zawadzka 2, mieszkania 15 — odpowiedziała Oleńka, która oddawna umiała na pamięć, zapisany i powtarzany przez dziadka wielokrotnie adres.

— Dobrze. Zawadzka. Musimy się zapytać, gdzie to jest? — postanowił Andrzej.

— Najlepiej zapytaj się tego policjanta.

— Tak.

Andrzej podszedł do policjanta i zapytał.

— Przepraszam pana, gdzie jest ulica Zawadzka.

— Zawadzka? o, daleko.

— Czy bardzo daleko?

— Bardzo. Na drugim końcu miasta. Za mostem. To bardzo daleko, trzeba pojechać tramwajem,

Andrzej westchnął. Nie mogli pojechać tramwajem, bo nie mieli już ani grosza.

Ostatnie pieniądze wydał rano na stacji, na jedzenie dla Oli i dla siebie.

Kupił chleba i kielbasy. Teraz zaś był dosłownie bez grosza. Pieniądze zaoszczędzone i zostawione mu przez ojca zostały całkowicie wydane na podróż.

Mimo to Andrzej nie stracił odwagi.

— Dojdziemy przecież jakoś — pomyślał.

— Nic nie szkodzi — odpowiedział policjantowi. — Nie możemy pojechać, ale dojdziemy pieszo. Pan będzie tylko łaskaw wskazać nam drogę.

To mówiąc chłopiec potrząsnął śmiało głową, gotów udać się teraz pieszo choćby na koniec świata.

Policjant uśmiechnął się i objaśnił szczegółowo w jaki sposób można się udać na drugą stronę miasta.

— Dziękuję panu bardzo.

Wziąwszy się za ręce dzieci wesoło i z ożywieniem udały się w drogę.

Rozdział II.

PRZYKRE ROZCZAROWANIE.

Ulice, ulice bez końca. Dzieci przechodziły z jednej ulicy na drugą. Potem ujrzały zaułki, uliczki, place.

Wszędzie niemal było widać wspaniałe sklepy, z nadzwyczajnymi wystawami, olbrzymie domy.

Jeszcze nigdy w życiu dzieci nie widziały nic podobnego. Mimowoli zatrzymywały się co chwila przed

każdą wystawą i przyglądały się długo każdej rzeczy.

— Zobacz jakie to ładne — wołała Oleńka.

— Chodźmy już, bo się robi późno.

— Stańmy jeszcze tylko tu — prosiła dziewczynka.

Ta sama rozmowa powtarzała się przed każdym sklepem.

Tymczasem na ulicy zaczęło się ściemniać. Zapalono światła i reklamy świetlne i odrazu miasto przybrało inny, jakgdyby odświeżony wygląd.

Wszystko to zachwycało i zdumiewało dzieci. Oglądały z jednakowym podziwem wspaniałe zabawki, drobiazgi w sklepach z galanterją, lub wielkie kinomatograficzne afisze i fotosy artystów filmowych.

Wkrótce oczom dzieci ukazała się rzeka i wielki most, po którym przejeżdżały tramwaje i auta.

Oleńka zmęczyła się bardzo. Dziewczynka odzwyczaiła się ostatnio od długiego chodzenia i teraz nogi ją bolały. Podczas przechodzenia przez most dziewczynka poczuła tak silne zmęczenie, że ledwo mogła się ruszyć.

— Zmęczyłaś się, Oleńko — zapytał Andrzej.

— Nie, tylko troszeczkę — odpowiedziała.

Lecz Andrzej widział zmęczenie dziecka i w milczeniu wziął Oleńkę na rękę.

— Pamiętasz, jak wtedy, jak w puszczy — przypomniał jej szeptem i uśmiechnął się.

— Pamiętam.

Oleńka przytuliła się mocno do chłopca.

Idąc szybko naprzód Andrzej minął most i znalazł się drugim brzegu rzeki.

Przechodzących ludzi pytał wciąż jak należy iść na ulicę Zawadzkę.

Teraz dzieci nie widziały już przed sobą tak wielkich domów i sklepów. W tej dzielnicy miasta znajdowały się przeważnie niskie, a nawet drewniane domy.

Wreszcie dostali się na wąską, bardzo długą ulicę-

kę. Znajdowało się tam tylko kilka niewielkich, niskich domów. Okolice wydawała się niemal zupełnie pustą.

Kończąc się, ulica skręcała w ciasny zaułek i kończyła się jakimś pochyłym płotem. Dwa, czy trzy niskie domki stały w pobliżu.

Andrzej przeczytał napis na rogu.

— Ulica Zawadzka,

— To tu — ucieszyła się Oleńka.

— Tak, tu mieszka twoja ciotka.

Oleńka zeskoczyła lekko z rąk przyjaciela.

— Nr. 2 — przeczytał Andrzej — to właśnie tu.

— Chodźmy.

— Tak, chodźmy — powtórzył chłopiec.

Lecz mimowoli zatrzymał się na chwilę z wahaniem.

Potem jakby zawstydzony się swej niepewności poszedł szybko w kierunku bramy.

Minęli bramę, przeszli brudne podwórko i znaleźli się w jakiejś długiej sieni, która raczej była korytarzem i w której panował zupełny mrok.

— Ale dokąd iść teraz — mruknął chłopiec, szukając drzwi.

Dzieci stały niepewne, nie wiedząc w którą stronę się zwrócić, gdy nagle jasna smuga światła przecięła mrok.

Otworzyły się jakieś drzwi i rozczochrany mężczyzna zjawił się na progu, trzymając w ręku szydło.

— Czego chcecie? — krzyknął ostrym, nieprzyjemnym głosem.

— Szukamy...

— Włóczyście się po cudzych mieszkaniach.

— Nie, szukamy pani...

— Co to, żebrakami jesteście? Odejdźcie, u nas nie daje się nic żebrakom.

— Ale, nie, nie jesteśmy żebrakami — tłumaczył pośpiesznie Andrzej.

— Więc czego tu chcecie?

— Szukamy ciotki, Pani Anny Czernikowej.

— Anny Czernik?

— Tak. Czy ta pani tu mieszka?

— Jeżeli to ta sama to właśnie u mnie odnajduje pokój — łagodniejszym tonem powiedział nieznajomy.

— Ach, to świetnie — ucieszył się chłopiec.

— A co, krewni jej jesteście, czy co?

— Ta mała jest jej krewną — wskazał Andrzej na Oleńkę.

— Acha.

— Tak, to wnuczka jej ojca, Ja jestem obcy.

— Tak.

— Proszę, niech pan nam wskaże jak można się do ciotki dostać.

Mężczyzna, mruczając coś pod nosem, poszedł naprzód.

— Chodź, Oleńko.

— Idę, ale podaj mi rękę

Andrzej wziął dziewczynkę za rękę i poszli naprzód.

— Jesteście? — zapytał mężczyzna — to tu.

Przeszli przez próg i ogarnął ich zapach kwaszonej kapusty i jakiegoś innego jadal. W kuchni było pełno dymu i swądu. Dzieci zauważyły, że znajdują się w jakiejś brudnej kuchni. Gotowała tu jakaś kobieta. Dwoje dzieci trzymało się jej spódnicy. W kącie, przy kuchni, siedziało na ławce dwóch chłopców i naprawiali obuwie.

— Anna, goście przyszli do ciebie — krzyknął gospodarz mieszkania i otworzył małe drzwi, prowadzące do pokoju.

Andrzej i jego towarzyszka znaleźli się w małym, jasnym pokoju.

Większą część pokoju zajmowało łóżko nakryte białą kapą i wielkim stosem poduszek. Przy ścianie stał stół, obok niego ceratowa kanapa i kilka krzeseł.

Wielki kufer w jednym kącie, a komoda w drugim stanowiły całe umeblowanie pokoju.

Obok stołu stała kobieta w ciemnej, skromnej sukni.

Miała ona gładko przyлизane włosy, chudą, żółtą twarz o przenikliwych, małych i niespokojnych oczach.

Oczy te płonęły chorobliwym, gorączkowym blaskiem.

— Jacy goście? — zawołała — nie znam żadnych gości.

Ujrawszy dzieci, stojące na progu pokoju kobieta cofnęła się mimowoli.

Potem gwałtownie poruszyła rękoma i twarz jej poczerwieniała jak piwonja.

— Żebracy? Nie...

— Nie jesteśmy żebrakami — zaczął tłumaczyć Andrzej, lecz kobieta nie dała mu dojść do słowa:

— Nie wpuszczam do siebie żebraków — krzychała.

— My nie...

— Nic nie dam, nic nie dam.

— Ależ, proszę pani...

— Sama jestem biedna, sama nic nie mam — krzychała kobieta i nagle stanowczym krokiem podeszła do kufra i usiadła na nim, trzymając się jego pokryw.

— Myśmy przyjechali do pani z wizytą — szeptała Oleńka.

— Z wizytą?

— Tak, to jest mieliśmy tu mieszkać.

— Kto wy jesteście?

— Ja jestem od dziadziusia Michała, z puszczy

— Co takiego? — krzyknęła kobieta.

— Tak, od dziadziusia Michała. Dziadzius umarł a przed śmiercią kazał mi pojechać do cioci Anusi.

— Co ty opowiadasz dziewczyno?

— Pani jest przecież ciocią Anusią Czernikową?

— Ja, ale...

— A więc właśnie kazał mi pojechać do pani.

— Na miłość boską, kto ty jesteś?

— Ja jestem Oleńka. Ola, o której tak często pisał w listach dziadzius.

— Oleńka, o mój Boże — zawołała kobieta jak nieprzytomna.

— Tak. Oleńka wnuczka dziadziusia. Przyjechałam tu do cioci. Ja i Andrzej przyjechaliśmy razem. Dzieńdobry droga ciociu Anusi.

I mówiąc to, Oleńka wyciągnęła rękę na przywitanie.

Oczy kobiety rozwarły się szeroko, wyrażając przerażenie. Na policzkach zapłonął silny rumieniec. Widocznie przestraszyła się czegoś. Małe oczki zabłysły silnie. Oddech wydobywał się głośno z zapadniętej piersi.

I nagle jak szalona podniosła się z kufra, na którym siedziała i chwyciwszy dziewczynkę za ramię zaczęła ją trząść z całej siły.

— Precz — krzyknęła.

Dławiąc się wściekłością trzęsła dziewczynką, wołając:

— Precz kłamczucho, mała żebraczko. Nie znam żadnej Oleńki i znać nie chcę.

— Co?

— Tak. Co mnie obchodzi jakaś obca smarkata, żebraczka. Żebyś się natychmiast stąd wyniosła, precz stąd, albo...

I z taką siłą odepchnęła śmiertelnie przerażoną dziewczynkę, że gdyby nie Andrzej, który ją złapał w odpowiedniej chwili, biedna Oleńka upadłaby na podłogę.

— Co pani robi?

— A ty czego tu chcesz znowu?

— Niech pani się nie waży dotknąć Olę. Jak pani nie wstyd? — krzyknął chłopiec z gniewem.

— Obrońca się znalazł!

— Tak, niech pani spróbuje tylko zrobić jej coś złego a będzie pani miała zemną do czynienia.

Głos chłopca zabrzmiał stanowczo jak u dorosłego.

— To wstyd tak postępować z małym dzieckiem — dodał jeszcze.

Brwi chłopca zmarszczyły się groźnie nad błyszczącymi czarnymi oczyma.

Gniew i oburzenie odzwierciadliły się na jego ładnej twarzy.

Groźny wygląd chłopca doprowadził kobietę do ostatecznej złości.

Błada i nieprzytomna niemal rzuciła się z zaciśniętymi pięściami na niego.

— Precz stąd w tej chwili, wstrętni żebracy.

Tracąc zupełnie panowanie nad sobą, gotowa była uderzyć Andrzeja.

— Patrzcie, jacy mądrzy. Puszczę sobie wymyślili. Ja wam pokażę puszczenie. Zaraz policję wezwę — krzycała z całej siły.

— To szalona — pomyślał chłopiec.

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju wbiegł wysoki i szczupły, czternastoletni chłopiec otulony w ciepły płaszcz.

Długie loki chłopca wydostające się z pod beretu o niezwykłym kształcie, opadały na kołnierz płaszcza.

— Dobry wieczór — zawołał chłopiec, zrzucając ze siebie płaszcz.

Patrząc na chłopca Oleńka i Andrzej krzyknęli mimowoli ze zdumienia.

Chłopiec bowiem zrzucił zręcznym ruchem płaszcz

i teraz ukazał się w jakimś dziwnym kostjumie z różowego, jedwabnego trykotu, który obciskał jego ciało tak mocno, że wydawało się jakby nic na sobie nie nosił, Jedynie króciutkie, zielone, jedwabne spodenki zakrywały jego biodra i nogi do kolan.

Na nogach chłopiec nosił wysokie, zwykłe buty, nie mające nic wspólnego z jego ładnym, dziwnym kostjumem.

Rozdział III.

N I L S D E C Y D U J E

— Jestem, mamó.

— Ach, Nilsie.

— Dopiero teraz skończyła się próba i natychmiast przyjechałem do ciebie.

— Nilsie.

— Nie zdążyłem się nawet przebrać. Śpieszyłem się bardzo.

— Słuchaj.

— Ach, mamó, widzę, że znowu się irytujesz. Prze-
stań, proszę, przecież wiesz, że to ci szkodzi — po-
owiedział dziwny chłopiec i natychmiast spojrzał zdziwio-
nym wzrokiem na obce dzieci. Potem skinąwszy niedbale
ręką w ich stronę zapytał:

— A ci co za jedni?

Anna Czernik podeszła do syna.

— To są mali żebracy, darmożjadly...

— Ale dlaczego irytujesz się tak, mamó?

— Bo słuchaj tylko...

— Słucham.

— Bóg raczy wiedzieć skąd dowiedzieli się o moim

zmarłym ojcu. Zjawili się tutaj i chcą nam odjąć od ust ostatni kęs chleba, ci... ci...

Anna zakasłała tak silnie, że nie mogła nic więcej powiedzieć.

— Dosyć, proszę cię, mamó. Nie irytuj się niepotrzebnie.

— Łatwo ci powiedzieć, gdy...

— Daj mi pomówić spokojnie z dziećmi, już ja to załatwię. Nie denerwuj się tylko.

— To są mali żebracy...

— Mamó, przeszkadzasz swoim krzykiem rozpatrzyć całą sprawę — powiedział chłopiec nie bardzo uprzejmym w stosunku do matki głosem.

Potem krzywiąc się z niezadowoleniem, starając się swym zachowaniem udawać dorosłego, różowy chłopiec podszedł do Oleńki i zapytał ostro:

— Skąd się tu wzięłaś?

Oleńka chciała odpowiedzieć, lecz nie mogła. Zmieszanie jej zwiększało się z każdą chwilą.

Wówczas Andrzej widząc zmieszanie swej przyjaciółki — odpowiedział za nią:

— To jest Oleńka.

— Jaka Oleńka?

— Oleńka, wnuczka i wychowanka Michała Karniszyna. Dziadek jej umarł. Została tylko ciocia Anna, o której mówił jej bardzo dużo zmarły dziadek i do której kazał jej przyjechać. Więc zgodnie z życzeniem dziadka przyjechała tutaj po jego śmierci. Oto i wszystko.

— Wiemy, że dziadek umarł, że zamarł w głębi puszczy — odpowiedział sucho chłopiec — pisano nam już o tem.

— No, tak, a więc?

— Lecz dziadek nie miał żadnej wnuczki.

— Jakto, a Oleńka?

— Wprawdzie opiekował się kiedyś jakąś dziewczynką, którą znalazł.

— To właśnie Oleńka

— Nie, tamtą dziewczynkę przysłał do nas przed kilku laty, dowiedziawszy się, że rodzice ją poszukują.

— To niemożliwe.

— A jednak tak jest. Oddaliśmy tę dziewczynkę jej ojcu, który okazał się bardzo bogatym panem, lecz więcej dzieci dziadek nie miał.

— Jakto?

— A tak, jest to tak pewne jak to, że się nazywam Nils Nikodem Czernik.

— Nie rozumiem...

— Przyjechaliście tu zupełnie niepotrzebnie. I myślę, żeście to teraz sami zrozumieli. Czy wam jeszcze co trzeba? — zakończył ostro, niemal niegrzecznie swoje przemówienie.

— Ma pan rację... nic nam więcej nie trzeba — odpowiedział Andrzej.

Z błękitnych oczu Oleńki popłynęły łzy.

— Nic nam nie trzeba,—drwiąco już i śmiało mówił Andrzej—i natychmiast stąd odejdziemy.

— To szczęśliwie się składa.

— Widocznie dziadek Oli nie wiedział poprostu, że ma tak złą córkę i takiego wnuka, bo nie radziłby swej ukochanej dziewczynce, aby się do nich zwróciła.

Oleńka załkała głośno.

— Ale nic nie szkodzi. Bóg jest dobry więc damy sobie jakąś radę i bez was.

— Prawda, Oleńka? — zwrócił się serdecznie do dziewczynki.

Ta spojrzała tylko na niego czule poprzez łzy.

— Żegnajcie. Po takim przywitaniu rzeczywiście nie mamy pogo zostawać tu dłużej — powiedział Andrzej z gorzkim uśmiechem.

— Tak, chodźmy, Andrzej.

— Chodźmy, Oleńko. Nie płacz, damy sobie jakąś radę — szepnął cicho do szlochającej dziewczynki i wyprowadził ją z niegościnnego pokoju do którego z taką nadzieją wchodzili przed kilkunastu minutami.

Anna Czernik i różowy chłopiec pozostali sami.

Przez chwilę trwało milczenie. Nils przerwał je pierwszy.

— Mamo, postąpiliśmy głupio.

— Dlaczego, moje dziecko? — zapytała Anna. a jej niemiły, ostry głos zabrzmiał łagodnie, niemal czule, gdy zwracała się do syna.

— Głupio i źle bo teraz wpadniemy.

— Na miłość boską, dlaczego?

— Wszystko się wyda, gdy te głupie dzieciaki będą się wałęsały po mieście i każdemu zechcą opowiadać o swoim losie.

— Więc co zrobić?

— Trzeba się ich jakoś pozbyć, ale inaczej.

— Ale jak?

— Niepotrzebnie przyjąłeś je takimi krzykami i wymysłami. Już to tylko mogło się wydać dzieciom podejrzanym.

— Przełękłam się.

— I niepotrzebnie także powiedziałem im o tej dziewczynce.

— Ale co miałam zrobić? Tak się przeraziłam, widząc tę dziewczynkę, która, sądząc z listu otrzymanego stamtąd, zginęła bez śladu, po śmierci mego ojca.

— Tak, ale jednak...

— I nagle zmartwychwstała i zjawia się tu, wtedy dy...

— Ależ, mamo...

— O mój Boże, przecież jej przyjazd może zniszczyć cały nasz spokój.

Kobieta mówiła z ogromnem wzruszeniem i drżała cała jak w gorączce.

— Powiedzmy, że jeszcze jest daleko do tego.

— Ale co będzie teraz?

— Mam pewien pomysł — powiedział chłopiec.

— Jaki?

— Ta mała jest ładna jak obrazek.

— Tak...

— Mister Bill już oddawna szuka ładnego dziecka o takiej słodkiej, karmelkowej twarzy.

— Poco?

— Zjawienie się takiej dziewczynki w klatce z dziećmi zwierzętami wywołało by niezwykły zachwyt wśród publiczności.

— Cóż z tego?

— To, że mister Bill wyjeżdża niedługo ze swemi lwami do Ameryki.

— To prawda.

— Ja nie mogę jechać, ty mnie nie puścisz.

— Naturalnie, że cię nie puszczę.

— A zresztą poco mam jechać. Dzięki hojności naszego dobroczyńcy masz chyba dosyć pieniędzy w kufrze.

— Więc co zrobimy?

— Pojedziemy sobie gdzieś daleko stąd, kupimy sobie niewielką posiadłość i będziemy żyli wspaniale.

— Ach — westchnęła matka.

— Podoba ci się taki plan, prawda?

— O, tak.

— Dziewczynka zaś może wstąpić do nas, do pogromcy zwierząt. Billowi spodoba się napewno. W ten sposób pozbędziemy się jej bez żadnych nieprzyjemności a jednocześnie wyświadczymy przysługę dyrektorowi, który napewno, jestem przekonany, będzie się zachwycał dziewczynką.

— Tam myślisz, Nilsie?

— Tak.

— To byłoby świetnie.

— My zaś, gdy tylko się skończy mój kontrakt wyjedziemy sobie daleko. Pieniądze mamy i nie zostawiamy tu nikogo, za kim moglibyśmy tęsknić — zakończył tonem, nie dopuszczającym sprzeciwu.

— Jakto nikogo? A moja biedna Olusia? — zapomniałaś o niej — z wyrzutem w głosie powiedziała Anna, zwracając się do syna.

— Ach mamó, cóż to za cackania się.

— Jakto?

— No tak, mojej siostrze powodzi się wyśmienicie. Nie trzeba chyba lepiej.

— To prawda.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, aby się znaleźć na jej miejscu. Nie masz chyba potrzeby troszczyć się o nią.

— Tak, ale...

— A zresztą, kiedyś Ola dowie się o wszystkim i powróci do nas z wielkim majątkiem.

— Dobrze kochanie, to byłoby świetnie. Bylebym tylko nie zachorowała poważnie.

— O będziesz żyła jeszcze ze sto lat, mamó, świeże powietrze na południu uzdrowi cię zupełnie — zawołał wesoło Nils.

— Tak myślisz, Nilsie.

— Tak, trzeba tylko załatwić sprawę z dziećmi i to jaknajprędzej.

— Dobrze, synku.

— Broń Boże aby komukolwiek opowiedzieli prawdę. Wtedy bylibyśmy zgubieni.

— Ach, Nilsie.

— Nie obawiaj się, mamó. Biorę to na siebie. Poproszę mister Billa aby wziął dziewczynkę.

— A chłopiec?

— Chłopca zaprowadzę do dyrektora teatru. „Rozrywek”. Da mu pewnie pracę, na początek miejsce chociażby woźnego. A potem mister Bill wyjedzie do Ameryki i pozbędziemy się na zawsze tej dziewczyny i wszelkich nieprzyjemności. Czy nie mam racji?

— Zawsze masz rację, kochanie — powiedziała Anna i pocałowała syna, który dosyć niechętnie przyjął ten pocałunek.

— No a teraz pobiegnę i dogonię tych głuptasów.

— Dobrze.

— A ty przygotuj im coś do jedzenia.

— Tak.

— Takich zgłodniałych i zmęczonych nie mogę nigdzie zaprowadzić, ani do Billa ani do dyrektora. Nik by nie chciał wziąć takich wynędzniałych zdechlaków.

— Tak, muszą odpocząć.

Potem, chłopiec którego zwano Nikodemem i Nilsem narzucił na dziwny kostjum palto i wybiegł z pokoju.

Rozdział IV.

CO SIĘ STAŁO PRZED PIĘCIU LATY?

Nils znikł za drzwiami a Anna Czernikowa zamyśliła się niespokojnie. Myślała o wypadkach które zdarzyły się przed pięciu laty.

Był to ponury marcowy wieczór. Wraciała wtedy z cmentarza. Dopiero co pochowała męża, który będąc krawcem utrzymywał swoją rodzinę. Teraz biedna wdowa pozostała z dziećmi i bez kawałka chleba.

Wraz z nią szedł jej dziesięcioletni syn Nikodem i czteroletnia córka Ola.

Podczas całej drogi cmentarza do domu Anna Czernikowa myślała wciąż o jednym i tem samem:

Co będzie teraz? Jak utrzyma dzieci?

Gdyby ojciec jej znajdował się tu w mieście, może by jej coś poradził, pomógł.

Lecz ojciec znajdował się daleko, na kresach w odległej puszczy sam był biedny i wychowywał małą dziewczynkę, którą w tak niezwykle sposób znalazł w głębi lasu. O dziewczynce tej pisał stale w swoich listach i prosił córkę aby w razie jego śmierci wzięła ją do siebie.

Za życia Czernika całej jego rodzinie powodziło się wcale dobrze.

Teraz jednak trzeba będzie znosić niedostatek. Wprawdzie stary ojciec przyzwyczaił ją do biedy, lecz Czernikowa nie chciała myśleć o nędzy.

Wszystkie jej myśli dotyczyły dzieci, które kochała szalenie.

— Co stanie się z niemi po śmierci ojca?

— Trzeba będzie znaleźć sobie jakąś pracę, zostać niańką lub służącą — postanowiła Czernikowa — a dzieci oddać do ochrony.

Nie wiedziała jednak gdzie należy się udać, aby znaleźć pracę i w tym celu kupiła gazetę, aby zobaczyć czy niema odpowiedniego ogłoszenia.

Jakież było zdziwienie Anny Czernikowej, gdy otworzywszy gazetę przeczytała zaraz na pierwszej stronie:

„Zrozpaczony ojciec, po powrocie z sanatorium, w którym leczył się chory nerwowo przez cztery lata, błaga jeszcze raz dobrych ludzi, aby podali wszystko, co im jest wiadome o małej dziewczynce, pozostawionej w puszczy.

Dziewczynka była przywiązana do drzewa, gdyż

chciano ją ocalić w ten sposób przed napaścią wilków
Nazajutrz dziecko znikło bez śladu.

Tu następował dokładny opis miejscowości, w której pozostawiono dziewczynkę, jej ubrania, wyglądu Pisano także o złotym krzyżyku i napisie „Boże chroń Oleńkę”.

Pod ogłoszeniem znajdował się adres ojca, bogatego księcia, mieszkającego w tem samem mieście.

Anna Czernikowa poczuła wzruszenie, czytając tę notatkę.

Zrozumiała odrazu, że przybrana wnuczka jej ojca była właśnie tą dziewczynką, którą teraz po upływie czterech lat poszukiwał nieszczęsny ojciec.

Pierwszą myślą kobiety było udać się pod podany w gazecie adres i zawiadomić ojca dziewczynki, o tem, że jego córka znajduje się u jej ojca Michała.

Lecz nagle inna myśl zatrzymała Annę. Myśl ta była niezmiernie śmiała i zbrodnicza.

A gdyby tak powiedzieć, że tą dziewczynką jest jej własna córeczka Olusia? — pomyślała kobieta.

Ola jest przecież także jasnowłosa, delikatna, ładna jak prawdziwa panienska, imię ma też takie sama i tyleż lat. Przecież ojciec i tak nie przyjedzie tu nigdy z dzieckiem a jeżeli nawet przyjedzie to nikomu na myśl nie przyjdzie, aby u niego szukać dziecka. Olusią zaś można w ten sposób uszczęśliwić na zawsze. Trzeba tylko wmówić maleństwu, że nie jest rodzoną córką i że przywieziono ją z puszczy od dziadka, u którego przebywała dawniej. Trzeba ją nauczyć, aby mówiła w ten sposób wszystkim otaczającym ją ludziom.

Zamożny pan wynagrodzi napewno Annę a Olusia będzie wychowana jak prawdziwa dama, będzie nosiła aksamitne i jedwabne suknie, będzie żyła w zbytku i w bogactwie. I nikt się nie dowie, że Olusia nie jest tą dziewczynką, którą odnalazł jej ojciec.

Podzieliwszy się tą myślą ze synkiem i poleciwszy mu surowo, aby stłkiem, Anna umyła i ubrała swoją Olę p jej jak się ma zachowywać zaprowadziła dzie podany adres.

Zaprowadzono ją natychmiast do młodego jeszcze, lecz już siwiejącego pana i zaledwie zdołała opowiedzieć mu o tem w jaki sposób jej ojciec odnalazł w puszczy dziecko, i że tem dzieckiem jest właśnie Ola, gdy pan zapominając o wszystkim wokoło, łkając chwycił dziewczynkę w objęcia.

Całował ją bez końca i powtarzał bezustannie.

— To ona, to ona. Taka drobna i jasnowłosa. Dziewczynka moja ukochana. Naręszcie cię odnalazłem.

Łzy radości płynęły z jego oczu.

— To napewno ona, proszę pana — mówiła jaknajszczerzszym głosem Anna — mój ojciec przywiózł ją tu przed trzema laty. Na szyi miała złoty krzyżyk z napisem;

„Zmiłuj się Boże nad Oleńką”

Lecz krzyżyk musieliśmy sprzedać w ciężkiej chwili, gdy nas nędza przyparła.

Dziewczynka była u nas przez trzy lata i nie wiedziała wcale, że nie jest nasza. Opiekowaliśmy się nią i kochaliśmy jak dziecko rodzone. Chcieliśmy nawet podać do gazet o tem wszystkim, ale nie wiedzieliśmy jak to zrobić i prawdę mówiąc przywiązaliśmy się do dziecka, byłoby nam żal oddać.

— O! — zawołał pan —wcale byście mnie wtedy nie zastali w kraju. Dopiero teraz powróciłam z zagranicy, gdzie się leczyłem przez cztery lata po śmierci żony i utracie dziecka, które mi pani teraz odaje. Byłem bardzo chory, a specjalnie gnębiła mnie myśl że byłem sam winien temu wszystkiemu. Wziąłem ją wtedy ze sobą

że jest zbyt mała na tak daleką

...rodze wilki nas napadły. Byłem przeko
zginę i chciałem ocalić moje dziecko przed
śmiercią..O moje dziecko, moje drogie dziecko....

I znowu ze łzami w oczach objął zdumioną Olę,
przekonany, że to jego zaginiona córeczka, całował i
pieścił dziewczynkę i dziękował Annie.

Potem wynagrodził hojnie Annę i prosił, aby odwie-
dzała kiedy zechce dziewczynkę.

Dziewczynkę obdarzył podarkami i pieśzcotami,
przyjął jej służącą, bonę, nauczycielkę, ubrał jak laleczkę-
Jednym słowem dla biednej, małej Oli nastąpiło rajskie
życie.

Uszczęśliwiona takim obrotem sprawy Anna powró-
ciła do domu. Los uśmiechnął się do niej. Jej mała có-
reczka Ola będzie bogatą panią, ona zaś sama i syn
Nikodem nie doznają już nigdy nędzy.

Pewien lęk jednak nie dawał ani chwili spokoju
Czernikowej. A co będzie jeżeli ludzie dowiedzą się o
jej postępkach?

Co będzie jeżeli dojdzie to jakoś do uszu jej ojca?

Przecież to ogromne przestępstwo, podać jedno
dziecko za drugie.

I zaniepokojona tą myślą napisała natychmiast do
ojca, zawiadamiając go, że jej córeczka Ola umarła, jako-
by natychmiast po śmierci męża. Anna miała nadzieję,
że w ten sposób „schowa końce w wodę”, i zatuszuje
zamianę dzieci.

Następnie należało ukryć przed ludźmi, że posiada
obecnie dużą sumę pieniędzy, którą podarował jej bogaty
pan.

Anna zdecydowała się więc oddać tymczasem dla
niepoznaki swego syna do teatru „Rozrywek”. Dyrektor
przyjął chętnie ładnego, silnego, i zręcznego chłopca do

swojej trupy. Uczyl go wspólnik dyrektora, właściciel tresowanych lwów, anglik mister Bill, który w teatrze „Rozrywek” dawał przedstawienia ze zwierzętami.

Mister Bill zrobił z chłopca pogromcę zwierząt. Jego imię Nikodem zmienił na Nils.

Zdolnemu chłopcu wypłacono pensję jak dorosłemu. Za tę pensję utrzymywali się on i matka, wszystko zaś co otrzymali od dobrodzieja (matka i syn w ten sposób nazywali między sobą mniemanego ojca Oli). Anna ukryła w wielkim kufrze, w oczekiwaniu lepszych czasów.

— Kiedyś weźmiemy Olę do siebie i będziemy żyli spokojnie — mówiła niejednokrotnie do syna i wzdychała przytem ciężko.

Tymczasem zaś Anna zbierała pieniądze, odmawiała sobie wszystkiego, mieszkając w ubogim pokoju, w mieszkaniu szewca na krańcu miasta. Lęk, że jej postępek może zostać odkrytym, czynił Annę coraz bardziej nerwową i chorą. Nie sypiała całemi nocami. Na domiar złego, rozwijała się choroba oddziedziczona po ojcu. Anna zaczęła kasłać i czuła silne bóle w płucach. Koniecznem było, aby zmieniła swój skromny pokój na większy i wygodniejszy, nie mogła się jednak na to zdecydować. Obawiała się, że ludzie dowiedzą się skąd posiada pieniądze, że wydadzą jej tajemnicę a wówczas dobrodziej wyrzuci Olę i gotów ich wsadzić do więzienia.

Myśli te męczyły ją bezustannie. Obecnie zaś wzmożły się, gdyż zobaczyła Oleńkę, tę Oleńkę, której miejsce zajęła teraz jej mała córeczka.

— A oto już jesteśmy. Przyszliśmy do ciebie, mammo. Daj nam coś dobrego do jedzenia a jutro rano zaprowadzę naszych gości, tak jakeśmy się umówili.

W ten sposób dostaną dach nad głową i pewny kawałek chleba.

Mówiąc to, Nils zrzucił swój płaszcz i ukazał się znowu w swoim dziwnym, różowym kostjumie.

Matka jego zapanowała z trudem nad sobą i poszła przygotować kolację w sąsiedniej kuchni.

Andrzej i Oleńka, którzy weszli do pokoju razem z Nilsem, zatrzymali się niepewnie na progu, nie wiedząc co mają robić i poco tu wrócili.

Rozdział V

MISTER BILL I PAN DYREKTOR. ZAŁATWIONA SPRAWA. NOWY WRÓG. TEATR „ROZRYWEK”.

CODZIENNE TEATRALNE PRZEDSTAWIENIE ORAZ POKAZ TRESOWANYCH LWÓW. WYSTĘP MURZYNKI ATLETKI, ŻONGLERÓW I T. P.

To wszystko obiecywały wielkie litery jaskrawych afiszy, nalepianych na słupach przed wejściem do teatru.

Andrzej, wchodząc ze swymi towarzyszami do teatru, zatrzymał się i przeczytał cały afisz.

— Nie masz się po co gapić bez powodu. Za to nikt ci nie zapłaci — zwrócił mu szorstko uwagę Nils, otulając się szczelnie płaszczem i rzucając wokoło zagniewane spojrzenia.

Nils był w złym humorze. Nie spał tej nocy. Kanałę musiał odstąpić Oleńce, sam zaś spał razem z Andrzejem w komórce, mieszczącej się za kuchnią, co nie podobало się wcale rozpieszczonemu chłopcu. W dodatku obawiał się przez cały czas, że gospodarz — szewc, zaciekawiony niespodziewanymi gośćmi, zacznie wypytywać jego i matkę skąd się wzięli.

— Ach, żeby już prędzej skończyło się to wszystko — myślał ze złością, prowadząc dzieci do dużego pokoju, na drzwiach którego znajdował się napis:

GABINET DYREKTORA

— Panie dyrektorze, może się przyda panu dyrektorowi chłopiec do posług — powiedział głośno, kłaniając się tłustemu, małemu człowieczkowi o zupełnie łysej głowie, który rozmawiał o czymś z ożywieniem z chudym, wysokim, rudym panem palącym wielkie cygaro.

Tłusty człowieczek oraz rudy pan odwrócili się natychmiast.

— Ach to ty, Nilsie. Spóźniłeś się na dzisiejszą próbę. Mister Bill gniewał się bardzo, prawda, mister Bill, że pan był bardzo zły — zwrócił się dyrektor do rudego pana.

Rudy pan wyjął flegmatycznie cygaro z ust i spojrzał ołowianemi oczyma na Nilsa, mówiąc:

— Odtrącę ci karę za spóźnienie z pensji. Będziesz karany za spóźnienia. Nauczysz się w ten sposób przychodzić punktualnie zamiast wałęsać się po ulicach.

Teraz zaś..

Szare oczy mister Billa zatrzymały się na Oleńce i wyraziły zdumienie.

— Skąd się tu wzięła ta śliczna dziewczynka? — zapytał Nilsa.

— Przyprowadziłem ją w nadziei, że pan zechce ją zaangażować, chłopca zaś chciałem polecić panu dyrektorowi — odpowiedział, robiąc pokorną minę Nils.

— Dobrze, wezmę tę ładną dziewczynkę. Urządzimy z nią przedstawienie w klatce Junony i Cezara — wycedził przez zęby mister Bill i pogłaskał po głowie zmieszaną Oleńkę.

— A co ty umiesz, chłopcze — zapytał dyrektor, uśmiechając się dobrodusznie i klepiąc chłopca zachęcająco po ramieniu — czy umiesz chodzić po linie?

— Nie — odpowiedział krótko chłopiec.

— Umiesz akrobatyczne sztuki?

— Także nie.

— Tańczyć umiesz?

— Nie, proszę pana.

— A śpiewać?

— Też nie.

— Więc co właściwie potrafisz?

— Tymczasem nic, lecz potrafię to wszystko czego mnie pan nauczy — odpowiedział śmiało chłopiec, wlepwszy w oczy tłusciocha swoje szczere oczy.

— Cha, cha, cha, świetna odpowiedź. Nie liczyłem na nic podobnego — roześmiał się dyrektor teatru.

— Podobasz mi się chłopcze — powiedział po chwili — będziemy przyjaciółmi, jeżeli nie okażesz się leniuchem lub nieuczciwym.

— Naturalnie, że się nie okażę — odpowiedział, zarumieniwszy się Andrzej.

— Dlaczego? — zapytał dyrektor, podnosząc wysoko brwi.

— Dlatego przede wszystkim, że jestem uczciwym człowiekiem, — odpowiedział bez zająknięcia się, poważnie chłopiec.

— Jeszcze jedna wspaniała odpowiedź — powiedział, uśmiechając się gruby dyrektor, a więc mister Bill weźmie twoją siostrę a ja wezmę ciebie...

— Ta dziewczynka nie jest moją sio... — zaczął Andrzej, lecz stojący obok niego Nils uszczypnął go mocno w rękę.

— Mów wszystkim, że to twoja siostra — szepnął nachyliwszy się jakgdyby nienaumyślnie do ucha Andrzeja.

— To byłoby kłamstwo a ja nie kłamię nigdy — odpowiedział spokojnie takim samym szeptem Andrzej.

— Ale ja ci dam pieniądze za to.

— Ani za pieniądze, ani za darmo nie zmusi mnie pan do kłamstwa,

— Strzeż się, bo w takim razie będziesz moim wrogiem.

— Nie boję się nikogo i niczego.

— Co wy tam mówicie? — zaskoczył nagle dyrektor obu chłopców.

Nils, zaczerwieniwszy się, szepnął jeszcze:

— Nie zdradź mnie, i zaczął się natychmiast tłumaczyć przed mister Billem ze swego spóźnienia się.

Dyrektor teatru milczał przez chwilę, patrząc na Andrzeja.

— Jesteś ładnym i mądrym chłopcem i napewno nauka nie będzie dla ciebie zbyt trudną. W pierwszym okresie zostaniesz kłownem i będziesz rozśmieszał publiczność podczas antraktów.

— Nie umiem rozśmieszać publiczności — odpowiedział spokojnie chłopiec.

— O, to nic trudnego. Będiesz wychodził na scenę razem z naszym kłownem panem Duroi a ten ci pokaże co trzeba robić. O honorarjum pomówimy później. Zgadzasz się?

— W zupełności. Proszę tylko o jedno, aby mnie nie rozłączać z Oleńką.

— Z kim?

— Z tą dziewczynką. Nazywa się Oleńka.

— Z jego siostrą — zawołał Nils.

— To twoja siostra. Ma ładne imię.

— Tak, to jego siostra — odpowiedział znowu bardzo głośno Nils za Andrzeja.

— On mówi nieprawdę — spokojnie i stanowczo rzekł Andrzej. — Oleńka nie jest moją siostrą.

— Kłamiesz — Poześmiał się Nils — Jak masz w tem cel aby ukrywać, że ona jest twoją siostrą.

— Mówię szczerą prawdę.

— Nie kłóćcie się, dzieci — wmieszał się dyrektor teatru — siostra czy nie siostra to niema znaczenia. Ty będziesz pracował u mnie z początku pod kierownictwem kłowna Duroi a dziewczynkę weźmie mister Bill do swojej trupy. Mieszkać będziecie u mnie w mieszkaniu. Teraz zaś dosyć tego gadania. Czas już rozpocząć drugą część próby. Hej, kto tam jest? — krzyknął, wysuwając się za drzwi dyrektor — dajcie drugi dzwonek. A ty, Nils, zaprowadzisz dzieci na scenę.

— Dobrze, proszę pana dyrektora — odpowiedział schyliwszy głowę Nils i dosyć ostro zwrócił się do Andrzeja:

— I czego stoisz jak wryty? Chodźcie za mną.

A szeptem dodał tak cicho, że tylko Andrzej mógł usłyszeć:

— Parobek! Nie chciał me' przyjaźni, zrobił ze mnie kłamcę wobec dyrektora!

Masz we mnie wroga. Poznasz mnie niebawem, mój drogi.

I błysnąwszy gniewnie oczyma, Nils poszedł na-przód.

Rozdział VI.

NOWI LUDZIE. CEZAR i JUNONA.

Korytarz w którym paliło się słabe, elektryczne światło wydał się Oleńce i Andrzejowi bardzo długim.

Szli prędko, dążąc za mruczącym coś pod nosem Nilsem. Na końcu korytarza znajdowały się drzwi, poprzez te drzwi właśnie padała smuga światła i przedstawiała się głosy, śmiechy i klaskanie.

— Idźcie naprzód.

— Dobrze.

— Tam jest scena.

— Scena teatru?

— A jaka mogłaby być inna? Idźcie tam. Mister Bill i dyrektor przyjdą tam zaraz.

— Ty nie idziesz z nami?

— Nie, ja mam własne sprawy na głowie. Ależ rozbierzcie się nareszcie. Nie możecie przecież pokazać się na scenie w tych szkaradnych łachmanach. — powiedział Nils ordynarnie.

Potem w mgnieniu oka odszedł, jakgdyby zapadł się pod ziemię.

Andrzej i Oleńka pozostali sami. W ciągu kilku chwil podeszli do końca korytarza, który w tem miejscu rozszerzał się mocno i znaleźli się tuż przed drzwiami.

— Hałas, śmiech, krzyki wszystko to razem ogłuszyło ich.

Na scenie, oświetlonej jaskrawo elektrycznymi lampami skakali i kręcili się jacyś dziwni ludzie. Wskakiwali oni na ramiona jeden drugiemu. To znów jeden stawał na głowie swego sąsiada tworząc żywą piramidę.

Najniżej stał gruby, silny człowiek. Na jego ramionach znajdował się drugi, rozstawiwszy szeroko nogi. Na głowie tego drugiego stał trzeci, a na wyciągniętych rękach trzeciego, ledwo dotykając rękami jego dłoni, nogami ku górze, jakgdyby zwisał czwarty, na piętach zaś czwartego tańczył jakiś dziwaczny taniec ładny i ruchliwy jak małąpka chłopiec lat trzynastu, o spokojnej, wesołej twarzy.

— To znany akrobata rosyjski ze swoją trupą — powiedział czyjś miły głos tuż za dziećmi.

— A wy jesteście zapewne nowymi artystami?

Pytała szczupłą, wysoka dziewczynka, starsza od Oleńki, ładna i miła blondynka, delikatna jak kwiatek.

— Nazywam się Henia. Jestem córką dyrektora — powiedziała dziewczynka, uśmiechając się miłym, serdecznym uśmiechem.

Podala rękę Andrzejowi i pocałowała jego towarzyszkę w bladą twarzyczkę.

— Ach, jakie śliczne dziecko — krzyknęła z zachwytem.

Rzeczywiście Oleńka wyglądała prześlicznie. Jej blada twarzyczka okolona była długimi kędziorami a błękitne oczy błyszczały jak gwiazdy.

— Śliczne dziecko.

Henia odwróciła się, mówiąc:

— Muszę cię zaraz pokazać Eli.

— Kto to jest Ela?

— Nie widziałas jeszcze Eli?

— Nie.

— Nie przestrasz się tylko.
— A czy ona jest taka straszna?
— Ela jest murzynką.
— Murzynką? doprawdy?
— Tak. Ma czarne ciało, lecz dusza jej jest biała i czysta.

— Nie widzieliśmy jej jeszcze.
— Ela, Ela gdzie jesteś?
— Tu jestem, panienko — zabrzmiał donośny, nieco głuchy głos i Oleńka, z mimowolnym okrzykiem, cofnęła się trochę w tył.

Przed nią i przed Andrzejem ukazało się dziwaczne stworzenie, czarne jak heban, o błyszczących białkach, kędzierzawej głowie z płaskim nosem i wywiniętymi ustami.

Murzynka była nieduża, lecz bardzo silna i muskułarna. Nosiła ona czarną spódnicę w żółte kwiaty i jaszkrawą bluskę. W uszach miała ogromne, złote kolczyki a na obnażonej szyi tak samo silnej i muskułarnej jak całe jej ciało, miała okręcony kilka razy kolorowy naszyjnik.

— Oto moja przyjaciółka Ela.

Ela mruknęła coś niezrozumiałego.

— Ela nazywa mnie swoją panienką, ale jesteśmy przyjaciółkami.

— Skąd się tu wzięła?

— Ela przyjechała wprost z Afryki. Nie umie jeszcze wcale mówić, nauczyła się tylko dwóch zdań:

„Ela jest tu panienko”.

i

„Ela cię kocha”.

— To murzynka, lecz serce ma złote. Nie bójcie się jej.

— Nie boimy się wcale — zapewnił Andrzej.

— Przywitajcie się z nią. Podajcie jej rękę.

I Henia spojrzała tak serdecznie na Andrzeja i jego małą przyjaciółkę, że ci spełnili natychmiast jej prośbę i oboje jednocześnie wyciągnęli ręce w stronę murzynki.

Ela ujęła delikatnie, ostrożnie paluszki Oleńki, jakby brała do ręki coś bardzo kruchego. Ręką zaś Andrzeja potrząsnęła tak mocno, że chłopiec skrzywił się z bólu.

— Ela występuje jako atletka — wyjaśniła Henia swoim nowym znajomym.

— O, ona musi być strasznie silna.

— Bardzo silna.

— Myślałem, że zamierza mi zwichnąć rękę, albo nawet ją oderwać — powiedział Andrzej ze śmiechem.

— To tak, z życzliwości.

— Tak, wiem o tem.

— Ale jej siła może zaszkodzić, gdy się naprawdę rozniewa.

— A czy gniewa się często?

— Niekiedy, gdy jej dokuczają.

— Kto jej dokucza?

— Rozmaicie bywa. O patrzcie, patrzcie teraz się zaczyna złościć — powiedziała Henia z ożywieniem.

Właśnie bracia akrobaci ukończyli swoje ćwiczenia i zeskoczyli jak piłki na ziemię.

Potem otoczyli Elę.

Dwaj starsi, silni i wielcy chłopcy podeszli do murzynki.

— Ej, ty czarna lalo — zaczepił ją jeden.

— Słuchaj czarna kreaturo — wtórował drugi — sprzedaj mi twoje korale.

— Poco ci jej korale?

— Podaruję je siostrze — zawołała starszy i bez ceremonji chwycił czerwony naszyjnik wiszący na szyi Eli.

— A mnie sprzedaj swoje kolczyki, włożę je sobie

na nos — pomagał bratu młodszy. Potem dotknął ręką czarnego ucha murzynki.

Ela mruknęła coś gniewnie.

— No, prędej, ty, czarna lalo.

Ela znowu mruknęła coś ze złością w odpowiedzi.

Chłopcy nie odchodzili jednak.

Wtedy murzynka gniewnie potrząsnęła głową. Lecz urwisy nie uspokoili się wcale i skakali wokoło murzynki.

— Więc jak będzie? — pytali.

Murzynka wymachiwała rękami, starając się ich odgonić.

— Daj, daj prędej.

Ela wymachiwała rękami, lecz chłopcy nie chcieli się uspokoić. Dotykali jej uszu, jej szyi, usiłowali zdjąć kolczyki i sznur koralii, namawiając ze śmiechem, aby im oddała swoje klejnoty.

— Właściwie poco ci one są?

— Obejdiesz się bez nich.

— Kupisz sobie inne.

— Ładniejsze.

— Publiczność ofiaruje ci lepsze w prezencie.

— A zresztą, obejdiesz się.

— Henia mówi, że masz dobre serce, więc podaruj je nam.

— Poco ci one?

— Poco?

— Przecież wiesz, że nic nie zdoła upiększyć podobnie idyotycznej fizjonomji — śmiał się starszy akrobata.

Drugi zaś pociągnął ku sobie naszyjnik.

Teraz wydarzyło się coś zupełnie niespodziewanego. Nitka naszyjnika pękła.

Jednocześnie skończyła się cierpliwość Eli. Patrząc

na padające korale Ela uczyniła coś, czego nie przewidywał nikt na scenie teatru.

Z niezwykłą siłą złapała jedną ręką za szyję jednego akrobatę, drugą drugiego i zbliżywszy głowy obojga do siebie, z zimną krwią, nie tracąc spokoju, uderzyła niem o siebie.

Obaj akrobaci wrzasnęli z bólu. Potem z tym samym głuchym mruknięciem, który przypominał ryk dzikiego zwierzęcia w dziewiczych lasach Afryki. Ela rzuciła na podłogę naprzód jednego młodego akrobatę, potem na nim położyła drugiego i jakby nic nie zaszło usiadła najspokojniej w świetle, na tej żywej ławce.

Obaj akrobaci wiercili się, kręcili, krzyczeli, protestując głośno i wymyślając, oraz usiłując zrzucić ze siebie ciężar, siedzącej na nich atletki, lecz wszystko to nie pomagało.

Ela siedziała w dalszym ciągu, patrząc tryumfująco na wszystkich i błyskając swojemi czarnemi oczyma.

Dopiero nowy dzwonek dźwięczący donośnie i zjawienie się mister Billa przerwało tę scenę.

— Cicho, mister Bil idzie.

Mister Bill nie przyszedł sam. Towarzyszył mu Nils. I mister Bill i Nils nosili na sobie jedwabne, jasno zielone spodenki, pokryte błyszczącemi cekinami, oraz gładkie, jedwabne, trykotowe koszulki.

Anglik trzymał w ręku wielki bicz, Nils kawał surowego mięsa.

— Co on trzyma? — zapytała Oleńka Henię.

— Mięso.

— Dlaczego, poco? — zapytała dziewczynka.

Lecz Henia nie zdążyła odpowiedzieć. Ogłuszający ryk rozległ się w pobliżu.

Był to ryk, od którego drgnęły niemal ściany teatru i mimowoli pobladły twarze ludzi.

Drzwi znajdujące się z boku sceny otworzyły się szeroko, tworząc olbrzymią przestrzeń w ścianie.

Przez tę przestrzeń właśnie sześciu woźnych teatralnych wpełzło ogromną klatkę na kółkach.

— Co to?

— Lwy.

Rzeczywiście wewnątrz klatki znajdowały się dwa afrykańskie lwy niezwykle wielkości.

— To Cezar i Junona — wyjaśniła Henia Oleńce.

— Jakie straszne!

— Piękne są! Nieprawdaż?

Lecz Oleńka nie podzielała wcale tego zdania. Nie widziała nic pięknego w okrutnych zwierzętach. Lew i lwica wydawali jej się poprostu czemś strasznym.

Zwłaszcza, że miały szeroko rozwarte paszcze i były przeraźliwie.

Dziewczynka przerażała się zaś nie na żarty, gdy natychmiast po zjawieniu się lwów na scenie, Nils pobił pędem w stronę klatki.

— Dokąd on idzie? — szepnęła przerażona.

— Do klatki — wyjaśniła spokojnie Henia.

Tuż za Nilsem szedł mister Bill, szedł zupełnie spokojnie, wywijając długim batem.

Minęła chwila, jedna, druga, trzecia i otworzywszy żelazne drzwiczki, Nils znalazł się wewnątrz klatki.

Za nim wszedł śmiało mister Bill.

I rzecz dziwna, jakgdyby na skutek niezrozumiałych czarów, natychmiast po ich pojawieniu się w klatce straszne wycie zwierząt ucichło.

Wówczas Nils rzucił im po kawale surowego mięsa i zwierzęta zabrały się żarłocznie do jedzenia.

Rozdział VII.

STRASZNY POCZĄTEK.

— Panno Heniu, proszę przygotować małą Oleńkę—
poprosił mister Bill.

Andrzej i Oleńka usłyszeli to zdanie w dwa tygodnie po zamieszkaniu w dużym domu. „Duży dom” znajdował się na krańcu miasta, i dosyć daleko od wynajętego przez dyrektora teatru.

„Duży dom” zajęty był wyłącznie przez członków trupy. Tutaj mieszkał sam dyrektor z córką Henią i ze swoją starą ciotką. Tu także mieszkał zongler ze swymi synami, znajdował się tam także kłown Duroi z małym wnukiem Robertem, murzynka Ela ze staruszką matką, mister Bill, przełożony Nilsa i wreszcie tu znaleźli przytułek Oleńka i Andrzej.

Kłown Piotr Duroi, nerwowy, zgorzkniały człowiek za kulisami i w domu, a niezmordowany wesołek na scenie przed publicznością,abrał się do nauki Andrzeja.

Tymczasem, dopóki chłopiec nie występował na scenie, należało do jego obowiązków również zajmowanie się sześciolatnim Robertem, urwisem i zabijaką.

Henia, ukochana i jedyna córka dyrektora, występowała przed publicznością w charakterze małej śpiewaczki cudzoziemskich piosenek, poza tem do jej obowiązków należało również zajmowanie się nieletnimi dziećmi, wstępującymi do trupy. Ona przygotowywała je do nowej pracy, w razie zaś potrzeby rozwijała w nich energję i odwagę.

Henia była łagodną, dwunastoletnią dziewczynką,



która potrafiła być poważną i rozsądną jak dorosła osoba. Zawsze i wszędzie zjawiała się w porę.

Jeżeli grymasił mały Robert Duroi, jeżeli gniewał się jego dziadek Piotr, kłócili się między sobą bracia atleci, złościła się na skutek drwin Ela, wyśmiewał i zaczepiał towarzyszy Nils — wówczas zjawiała się Henia jak anioł spokoju.

W ciężkich chwilach każdego z członków trupy Henia stawiała się dobrą wróżką. Jednocześnie Henia od chwili śmierci matki była także gospodynią w „dużym domu”.

Rano wstawiała wcześniej niż wszyscy i przy pomocy ciotki nalewała w dużej jadalni herbatę, kawę, kakao dla wszystkich uczestników trupy.

Potem dysponowała obiadem kucharki i zbierała na próbę małych artystów, przypominając jednocześnie delikatnie starszym, że ojciec już czeka w teatrze.

Z teatru przyjechało auto i kolejno wszyscy przyjeżdżali nim po śniadaniu na próbę. Oprócz kłownów, zonglerów, śpiewaczek i pogromców lwów występowała jeszcze operowa trupa artystów, którzy jednak nie mieszkali i nie stołowali się u dyrektora, a zajmowali oddzielne pokoje i mieszkania na mieście.

Razem z tą operową trupą niekiedy grała i śpiewała Henia. Z tego też powodu dziewczynka musiała się uczyć ról i śpiewu, dostępnych jej wiekowi, na pamięć, co zajmowało jej niemało czasu.

O piątej powracali mieszkańcy „Dużego domu” na obiad a przed godziną ósmą udawali się znowu do teatru, gdzie występowali przed publicznością w rozmaitych numerach, po ukończeniu, wykonywanej przez artystów operowych, większej sztuki.

Henia po powrocie do domu gospodarowała podczas kolacji i dopiero po dwunastej kładła się spać.

Wszyscy lubili łagodną, miłą, troskliwą dziewczynkę, a murzynka Ela uwielbiała ją prosto.

Czarnej dzikusce, która przyjechała z dalekich stron by zarobić w ten sposób na kawałek chleba, wydawała się jasnowłosa, łagodna Henia jakimś niezwykłym zjawiskiem.

W obronie panienki Heni, Ela gotowa była rozdrapać twarz i pogryść ręce każdemu.

Kogo lubiła Henia, tego też lubiła Ela. Henia przywiązała się szybko do Oleńki i Ela patrzyła takimiż odzianymi oczyma na Oleńkę jak na Henię.

Oto do jakiego środowiska i do jakich ludzi dostali się Oleńka i Andrzej i stopniowo przyzwyczajali się do tego nowego, nieznanego im trybu życia.

Oleńkę wzięła Henia pod swoją opiekę i nawet umieściła ją w swoim małym, obitym różowym kretonem pokoiku, gdzie zawsze było ładnie i przyjemnie.

Andrzej zamieszkał z kłownem Duroi i z jego wnukiem. Dzieci widziały się jednak ciągle i w teatrze i w domu, w ogromnej jadalni, gdzie wszyscy członkowie trupy spędzali swoje wolne chwile.

— Panno Heniu, poproszę o przygotowanie Oleńki, która dziś wystąpi z Cezarem i z Junoną po raz pierwszy.

Głos mister Billa brzmiał bardzo poważnie a jego szare oczy spojrzały przenikliwym wzrokiem na obie dziewczynki, Henię i Oleńkę, stojące za kulisami i podziwiające Elę, która bez wysiłku zaczepiała o palec pięć kilowe ciężary i leciutko jak piórkiem kręciła nimi nad głową.

Oleńka poczuła niepokój. Nie należała ona wcale do tchórzliwych dzieci.

Biegła bez obawy podczas ciemnej nocy przez pusz-

czę, myśl jednak o wejściu do klatki z lwami, z tymi straszliwymi wyjąłymi olbrzymami, wywoływała w niej prawdziwy strach. Drżenie przebiegało ciało dziewczynki

Lecz Henia nie dała jej wiele czasu do rozmyślań i usiłowała ją ośmielić.

Chodźmy, pomogę ci się ubrać — powiedziała i zaprowadziła Oleńkę do niewielkiej garderoby, w której artystki przy pomocy garderobianej ubierały się do występu.

Oleńce garderobiana była niepotrzebna. Henia i wolna już Ela pomagały jej się ubrać. Wciągnęły różowy jedwabny trykot na zgrabną figurę Oleńki. włożyły króciutką, zieloną spódniczkę, naszywaną cekinami i rozpuściwszy jej loki na ramiona, potargały je w ten sposób, że upodobiły się one jakoś do lwiej grzywy.

— Pamiętaj, że masz wchodzić do klatki zawsze w tym kostjumie, aby przyzwyczaiły się do niego, włosy zaś masz układać w ten sposób, będą myślały z początku że jesteś lwiatkiem — uprzedziła Henia Oleńkę i wraz z Elą zaprowadziła ją na scenę.

Tam stała już klatka w której lwy rzucały się z kąta w kąt. Mister Bill i Nils stali już gotowi w zwykłych swoich kostjumach, różowych koszulkach i zielonych spodenkach. Mister Bill trzymał w ręku ogromny bat i nabity rewolwer na wszelki wypadek.

— No, zaczynamy... Z Dogiem... Nils, pokaż dziewczynce co trzeba robić — zakomenderował mister Bill.

— Chodź za mną — krótko rozkazał Nils i wiawszy za rękę Oleńkę, poszedł odważnie w kierunku klatki.

W tym momencie Oleńka żałowała szczerze, że nie umarła razem z dziadkiem w dalekiej puszczy.

Coś świsnęło za nią. To mister Bill uderzył swoim batem o żelazne pręty klatki.

Potem otworzył spokojnie drzwi i znalazł się wśród lwów, gładząc im grzywy i mówiąc coś po angielsku.

Oba lwy warcząc coś pod nosem zaczęły się łączyć do swego pogromcy, trzęc łbami o jego nogi i podniósłszy się na tylne łapy starały się dotknąć mordami jego twarzy.

Oleńka, zapomniawszy o strachu, patrzyła zdumiona rozwartemi szeroko oczyma, na tę scenę. Głos Nilsa przerwał jej zamyślenie.

— No, więc — krzyknął jej prosto w ucho i dosyć mocno popchnął ją naprzód.

Oleńka krzyknęła cicho i cofnęła się w tył.

Lecz było już zapóźno. Ciężkie drzwi z hałasem zatrzasnęły się za nią.

Wraz z Nilsem i mister Billem znajdowała się w klatce Junony i Cezara.

Rozdział VIII.

PIERWSZA LEKCJA.

Głośniejsze wycie Cezara, ogromnego lwa, o nabiegłych krwią ślepiach, świadczyło o jego niezadowoleniu. Podniósł się ciężko z kąta klatki gdzie ułożył się u nóg pogromcy i zbliżył się w stronę dziewczynki, nie przestając ryczeć.

Twarz dziewczynki stała się biała jak śnieg.

Obejrzała się bezradnie.

Gdyby Andrzej był tutaj Oleńka krzyknęła by o ratunek i jej przybrany brat wy dostał by ją stąd na pewno.

Lecz Andrzeja nie było. Uczył się z panem Piotrem i Robertem w swojej garderobie, ćwicząc nowe sztuczki i błazeńskie kawały, któremi miał zabawić publiczność już w końcu tego tygodnia.

— Nie bój się niczego. Cezar cię nie ruszy. Odejdź Cezar — krzyknął mister Bill i zanim jeszcze Cezar wypełnił jego rozkaz uderzył go z całej siły batem.

Cezar z wyciem odskoczył na poprzednie miejsce i jak posłuszny pies legł u jego nóg.

Oleńka spojrzała z wdzięcznością na anglika i nie poznała go. Ołowiane zwykle oczy mister Billa pały jak pochodnie. Twarz zwykle spokojna teraz była groźna.

Wydawało się, że na tej twarzy skupiła się ta straszliwa moc, dzięki której panował nad swojemi zwierzętami.

Gdy Cezar z głuchym wyciem ułożył się u nóg swego władcy, ten ostatni rozkazał Nilsowi.

— Nils, zacznij przyzwyczajać lwicę do dziecka.

— Junona, tutaj — dźwięcznym głosem krzyknął Nils.

A ponieważ stara, o okropnym wyglądzie, lwica nie posłuchała go, chodząc w dalszym ciągu po klatce z kąta w kąt, przeto mister Bill puścił w ruch znowu swój bicz.

Junona skoczyła i zawyla z gniewu i z bólu.

— Tutaj Junona, tutaj — krzyknął znowu Nils i zanim lwica podeszła do chłopca, Nils niespodziewanie znalazł się u niej na grzbiecie.

— Podejdź do niej i podaj jej to — rozkazał chłopiec, rzuciwszy Oleńce kawał mięsa.

Dziewczynka podniosła mięso i zrobiła krok naprzód, naprzeciw lwicy.

Lwica zbliżyła się do mięsa powolnym krokiem.

— Odejdź w najdalszy kąt i zawołaj ją stamtąd — dyrygował Nils.

Oleńka posłuchała bez słowa. Wyciągnęła rękę przed siebie i zawołała łagodnym głosem.

— Tutaj, tutaj Junona.

Lwica podeszła prędko do dziewczynki.

Obojętny do tej chwili Cezar podniósł się również i poszedł w ślad za swoją żoną. Teraz Oleńka nie cofała się już dalej a oczekiwała, zgodnie z rozkazem mister Billa, podejścia obojga zwierząt.

— Poglądź ją i Cezara — usłyszała nowe polecenie.

Oleńka dotknęła drżącą ręką grzywy obojga zwierząt.

Na dzisiaj dosyć. A teraz jesteście wolni — usłyszała głos pogromcy, poczem z westchnieniem ulgi wyszła z klatki.

Rozdział IX.

BÓJKA. — WRÓG. — PIERWSZY WYSTĘP.

Minął miesiąc. Na świecie zapanowała wiosna. Trupa teatralna przeniosła się z zimowego lokalu do letniego, zbudowanego na wzór cyrku, z areną pokrytą piaskiem na środku sali.

Była to niedziela. Letni teatr „Rozrywek” dawał tego dnia pierwsze przedstawienie. Na pierwszym tem przedstawieniu mieli wystąpić Andrzej i Oleńka.

Wielki, jaskrawy afisz głosił wyraźnie:

Wspaniały występ młodego, niezwykle wesołego i utalentowanego kłowna pana Andrè i nowej fenomenalnie odważnej i nieustraszonej pogromczynie lwów maleń-

kiej dziewczynki Oleńki, bądacej prawdziwym cudem świata.

I „Pan Andre” i „cudo świata” czuli ogromne wzruszenie tego wieczoru.

Andrzej ubierał się razem z czterema braćmi atletami w jednej garderobie.

Starsi bracia śmieli się z niego.

— Też chętka głupiego ze siebie robić. Lepiej byś wstąpił na naukę do naszego ojca. Ten zrobiłby z ciebie gimnastyka i skoczek jak się patrzy. A tak nauczyłeś się błazeńskich sztuczek i myślisz żeś mądry — śmieli się.

— Spójrz jak się umazał na twarzy...

— Nie wychodź lepiej z garderoby, bo cię psy zerwą jak zobaczą coś podobnego.

— Pewnie wymyśli Duroi tak mu się spodobały. Zachwyca się swoim staruszkim — śmiał się trzeci z braci.

— Zostawcie go w spokoju — zawołał najmłodszy Włodzimierz, ładny, wesół chłopiec o dobrych, piwnych oczach — czy nie pojmujecie, że Andrzej nie zostawia Duroi dlatego bo ma dobre serce. Przecież gdyby chciał otrzymałby u każdego robotę.

Taki jest zręczny i zdolny. Lecz gdyby mr. Duroi nie miał teraz pomocy Andrzeja dyrektor oddaliłby go napewno. Przecież stary kłown znudził się już publiczności i gdzieby się podział ze swoim wnukiem.

Włodzimierz miał rację. Stary kłown nie dawał już sobie sam rady z publicznością. Jego stare sztuczki znudziły się już wszystkim i pojawienie się młodego nowego kłowna nastąpiło w bardzo odpowiedniej chwili.

Andrzej bardzo szybko pojął całą sytuację. Starzec Duroi był biedny i nieszczęśliwy. Żył wyłącznie dla wnuka i dbał tylko o jego szczęście. Starzec był zgryźliwy i zły i nikt go w trupie nie lubił, lecz Andrzej współczuł mu całym sercem. Stary kłown zarabiał z wielkim

trudem swojemi błazeńskimi sztuczkami na kawałek chleba. Było mu już trudno fikać kozły przed publicznością wtedy, gdy stare kości bolały, domagając się odpoczynku.

Andrzej starał się wszystkimi siłami pomóc mu w jego pracy. Zajęcie kłowna nie odpowiadało wprawdzie chłopcu, nie chciał jednak martwić starca prośbą o inny rodzaj pracy. Wiedział, że jego udział w sztuczkach Duroj i jego pomoc przydały się staremu bardzo.

I gdy tego dnia drwiący bracia — akrobaci posunęli swe kpiny zbyt daleko, Andrzej zmarszczył tylko swe czarne brwi i odpowiedział:

— Wstydzicie się. Czego chcecie odemnie? Czyż to wstyd zarabiać w ten sposób kawałek chleba? W takim razie dlaczego skaczecie, fikacie kozły przed publicznością.

— Brawo, Andrzejul Nie daj im się — cieszył się Włodzimierz, który ostatnio zaprzyjaźnił się z Andrzejem i polubił serdecznie swego kolegę.

Lecz Andrzej nie miał teraz głowy do tego wszystkiego.

Andrzej niepokoił się bardzo tego wieczoru. Niepokoił się nie ze względu na siebie. Przerażał go pierwszy występ przybranej siostrzyczki. Dziewczynka miała wykonać bardzo trudną sztukę z Cezarem i Junoną, którzy w ciągu tego mieciąca zaledwie zdołali przyzwyczaić się do niej.

Szybko natarł twarz kredą, tak jak uczył go stary kłown, czerwoną szminką nasmarował policzki, usta i koniec nosa, zatarł brwi i rzęsy, dzięki czemu jego ładna twarz przybrała odrazu głupkowaty, niepewny wyraz i w swym szerokim, błazeńskim kitlu, w niezwykle wysokim kapeluszu wyszedł z garderoby.

Mała, różowa, lekka jak motylek dziewczynka, w

błyszczącym cekinowym kostjumie, rozpuszczonemi włosami, z jasną gwiazdką z elektrycznych lampek nad czołem oczekiwała go przy drzwiach garderoby i gdy tylko podszedł rzuciła mu się na szyję.

— Co ci, Oleńko? Dlaczego jesteś taka niespokojna? Obawiasz się? — nachylając się i całując dziewczynkę zapytał troskliwie Andrzej.

— Nie boję się wcale, nie niepokoję się także. Tylko... tylko chciałabym znowu znaleźć się w naszej puszczy razem z tobą — powiedziała smutnie dziewczynka, błysnąwszy niebieskimi oczyma.

— Cha, cha, cha — zabrzmiał ordynarny śmiech na nimi i Nils, różowy, wystrojony zjawił się przed nimi tak nagle, jakgdyby wyrósł z pod ziemi.

— Wzruszająca scena, brat i siostra oddają pokłon tchórzostwu przed rozpoczęciem przedstawienia — powiedział kpiąco chłopiec i bacikiem, który trzymał w ręku, dotknął lekko ramienia Andrzeja.

— Nie wąż się żartować w ten sposób — poważnie i spokojnie powiedział chłopiec.

— O, patrzcie jaki panicz się z niego zrobił. Nie wolno z nim nawet żartować, roześmiał się jeszcze głośniej Nils i znowu, tym razem w bolesny sposób, uderzył batem po plecach Andrzeja.

— Przestań bo ci zabiorę ten bat — spokojnie powiedział Andrzej, lecz głos jego drgnął z hamowanego gniewu a czarne oczy zabłysły mocniej.

— Spróbuj.

I Nils po raz trzeci podniósł bat, mówiąc szybko:

— Musisz znosić odemnie wszystko co zechcę gdybym cię tu nie przyprowadził wtedy, to i głupia przyjaciółka zdechlibyście z głodu na i mając na kawałek chleba.

— Właśnie dlatego bo uczyniłeś to wte dawa ci takiej nauczki na jaką zasługujesz i jedyn

biorę ci ten bat — tracąc nagle swój spokój, odpowiedział Andrzej.

Mówiąc to, zręcznie złapał bat z rąk Nilsa i mocnym ruchem złamał go na kilka części. Potem odrzucił daleko od siebie.

— A więc taki jesteś — krzyknął Nils i z zaciśniętymi pięściami rzucił się na chłopca.

Lecz Andrzej spodziewał się napaści i przygotował się do niej. Chłopcy wzięli się wpół. Pięści Nilsa uderzały plecy Andrzeja. Ręce Andrzeja ścisnęły jak kleszczami mi ramiona Nilsa. Lecz nagle Nils podstawił niespostrzeżenie nogę i Andrzej potknął się o nią, nie zauważywszy zdradzieckiego ruchu przeciwnika.

Chłopiec upadł na ziemię, pociągawszy za sobą wroga...

Oleńka rzuciła się ku nim, prosząc i wołając, by zaprzestali, lecz nikt jej nie słuchał.

Wreszcie Nilsowi udało się złapać za gardło swego przeciwnika. Andrzej nie oczekujący nic podobnego ujrzał przed oczyma płomienne koła i niemal stracił przytomność.

Nagle Nils krzyknął głośno z bólu.

Stała nad nim Ela i obdarzała chłopca mocnymi klapsami.

— Precz stąd, wstrętne małpo — krzyczał Nils i rzucił się na murzynkę. Lecz w tej samej chwili został odrzucony daleko jednym ruchem potężnej ręki.

— Mm.mm.mruczała Ela — tak, tak, tak.

Słowa „tak” nauczyła się niedawno i bardzo była z tego dumna.

Nils oburzony wrzeszczał nie tylko z bólu, ale i upokorzenia.

— O to za hałas! Co tu się dzieje? — niespodziewił się pan Duroi o twarzy umęczonej tak samo jak Andrzej, w jakimś niezwykle komicznym fraku i jętkowo szerokich spodniach.

Razem z nim zjawił się sześciolatek Robert, który był ubrany w kostjum niemowlęcia, a raczej owinięty w powijaki od stóp i głów i wyglądał jak lalka przebrana za małeńkie dziecko.

— Co to za awantura przed samym przedstawieniem? — gniewał się Duroi — André, co to ma znaczyć? Bijesz się z Nilsem?

— To nie moja wina, proszę pana — powiedział, starając się mówić spokojnie Andrzej, i odprowadzając do porządku swój pognieciony podczas bójkii kostjum.

— Nie, kłamiesz, to twoja wina. Nie udawaj niewiniątka — awanturował się Nils, rzucając się niemal z zaciśniętymi pięściami na Andrzeja.

— Milczeć — krzyknął ze złością stary kłown, rzucając na rozwścieczonego Nilsa oburzone spojrzenie — znam cię smarkaczu... Znam cię próżniaku, zabijako, awanturniku... Poskarżę się mister Billowi. Niechaj cię wyrzuci. Niech...

Stary kłown chciał jeszcze coś dodać, lecz w tej samej chwili na widowni zagrała orkiestra, zawiadamiając o początku przedstawienia.

— Idziemy Andrzej, idziemy. Robercie, zaczynamy, — powiedział stary i podnosząc lekko Roberta, który był cały w powijakach i mahał jedynie pozostawionymi na wolności nogami w różowych pantofelkach, znikł za kotarą, dzielącą scenę od kulis teatru-cyrku.

— Do widzenia, Oleńko, wychodzę na scenę — szepnął Andrzej, wzięwszy za rękę swoją przybraną siostrę. — Życz mi, aby mi się wszystko dobrze udało. Do widzenia, kochanie.

— Życzę ci z całego serca, abyś okazał się niezgrabnym głupcem — roześmiał się Nils, lecz w tej samej chwili cofnął się mimowoli, bo tuż przed nim ukazała się czarna postać Eli. Siłaczka zupełnie jednoznacznie pokazała mu swą pięść.

Rozdział XI.

WYSTĘP NOWEGO KLOWNA.

W kotarze, która zasłaniała wyjście na scenę — arenę znajdował się mały otwór.

Otwór ten znajdował się na wysokości człowieka. Oleńka była zbyt mała, aby dosięgnąć tego miejsca. Jednakże dziewczynka chciała koniecznie popatrzeć, choćby jednym okiem, jak jej przyjaciel Andrzej będzie pokazywał swoje sztuki wraz z Duroi i z jego wnukiem.

Nagle usłyszała za sobą jakieś mruknięcie i zanim zrozumiiała co ono znaczy, czyjeś mocne ręce podniosły ją do góry i Oleńka została lekko posadzona na silnem ramieniu.

— Ela, to ty — szepnęła i wdzięcznemi oczyma spojrzała zgóry na czarną, uśmiechniętą twarz murzynki.

— Tak, tak, tak. Ela cię kocha, panienko. Mmmm... — odpowiedziała bardzo zadowolona ze siebie murzynka.

Teraz, przyłgnąwszy do niewielkiego otworu jednym okiem, Oleńka mogła doskonale obserwować co się działo na scenie.

Właśnie w tej chwili Andrzej podchodził ku publiczności. Poważnie, z uroczystą miną podszedł do środka areny, gdzie siedział z niezmaconym spokojem Duroi, trzymając Roberta do góry nogami, kołysząc go i nucąc kołyskę, dosyć głośno, by publiczność słyszała każde słowo.

Śpij dziecinko już,
Ciemne oczki zmrzuj.
Śpij mój mały koteczku,
Śpij mój mały człowieczku.

Żle pan śpiewa. Trzeba powiedzieć, nie człowieczek a dziecko — poważnie poprawił Andrzej, zbliżywszy się do nich.

— A ja mówiłem tak: śpij mój mały koteczku, śpij mój mały człowieczku i podoba mi się to co mówiłem, — odpowiedział Duroi, robiąc głupi i obrażony wyraz twarzy. — I proszę cię, idź swoją drogą, nie przeszkadza mi. I zaśpiewał znowu:

Śpij mój mały koteczku

Śpij mój mały człowieczku

Ja jestem człowiek a ty człowieczek

— Ty osioł a on osiołek — mocnym basem krzyknął na cały cyrk Andrzej a Duroi razem ze stołem i Robertem znaleźli się na ziemi. Publiczność śmiała się głośno.

Duroi zrobił jeszcze głupszą minę i nagle uśmiechnąwszy się serdecznie zdjął twój kapelusz i w najbardziej niespodziewany i komiczny sposób powiedział:

— Dzieńdobry panu.

— Dzieńdobry panu — odpowiedział Andrzej i zbliżywszy się do kłowna podał mu rękę.

Lecz kłown trzymał na rękach Roberta.

Stary kłown uśmiechnął się głupkowato i powiedział.

— Przepraszam pana. Moje ręce są zajęte. Naprzód odłożę mego człowieczka a potem uściskę panu rękę.

Mówiąc to, położył Roberta na piasku, a sam wyciągnął rękę do Andrzeja, pochylając głowę. Kłowni uderzyli o siebie głowami i jednocześnie w śmieszny sposób potarli sobie czoła.

— O, to nieładnie. Pan mnie uderzył w mózg — potrząsnął głową i pisał Duroi.

— Pan się myli, w pana głowie nie było wcale mózgu — z wyszukaną uprzejmością, zdjawszy jeszcze raz, jakby przepraszając, kapelusz — odpowiedział Andrzej.

— Jakto, nie było mózgu w mojej głowie? — zdziwił się kłown.

— Nie było?

— Słowo?

— Słowo.

— Nie było mózgu. Słowo?

— Nie było mózgu.

— O, na pomoc, ratunku. Zgubiłem mój mózg... Trzeba dać znać na policję. A może pan znalazł mój mózg... Nie? Wierzę, panu, pan jest porządnym człowiekiem... Dzieńdobry jeszcze raz, porządny człowieku.

I niespodziewanie stary kłown zdjął kapelusz i znowu z pełnym uszanowania ukłonem pochylił głowę przed Andrzejem. Ten ukłonił się także i nastąpiło nowe stuknięcie głów. Znowu pocieranie mniemanych guzów i znów uprzejmy ukłon.

I znowu zetknięcie. Powtarzało się to kilka razy.

Publiczność śmiała się do rozpuku.

Oleńka widziała dokładnie całą salę, wszystkie łóża i miejsca, opuszczające się coraz niżej ku arenie.

Niezwykłe wesoło śmiano się zwłaszcza w jednej łóży. Siedział tam blady, czarno ubrany pan, młoda pani i jasnowłosa, wystrojona dziewięcioletnia dziewczynka.

Dziewczynka śmiała się głośno ze sztuczek kłownów i wydawała głośne okrzyki zachwytu. Niekiedy zachwyt jej wyrażał się zbyt burzliwie. Wtedy młoda pani i wysoki pan nachylali się i mówili jej coś szeptem. Wówczas jasnowłosa dziewczynka milkła na chwilę i robiła niezadowoloną minę, krzywiła usta i w milczeniu obserwowała błyszczącymi oczyma występy kłownów.

Nie trwało to jednak długo. Po chwili zapomniała już o wszystkim i zaczynała śmiać się głośno i wykrzykiwać z zachwytem, nie spostrzegając i nie słysząc uwag pana i pani.

Dziewczynka ta o dumnej nieco twarzy, ożywionej teraz śmiechem niewiedomo dlaczego zainteresowała Oleńkę. Było w niej coś dziwnego, nieprzystępnego i sympatycznego jednocześnie, jakgdyby dziewczynka ta uważała się za coś lepszego od wszystkich, obecnych na przedstawieniu, dzieci.

Tymczasem kłowni na arenie dokazywali coraz bardziej. W tej chwili kłócili się ze sobą i Duroi szukał wszędzie Roberta, którego Andrzej umocował na jego plecach.

— Gdzie jest mój człowieczek? — krzyczał przeraźliwie stary kłown.

— On jest koło pana. I niezbyt daleko i niezupełnie blisko. Wisi prosto i wisi krzywo. Lecz żeby się dowiedzieć, gdzie on jest musi pan podejść do lustra zawrócić, stanąć tyłem i się obrócić — mówił Andrzej, robiąc pocieszne miny.

Publiczność śmiała się. Dziewczynka w strojnej sukience śmiała się głośniejsz niż wszyscy.

Robert tymczasem, udając małe dziecko rozplakał się żałośnie na plecach dziadka.

Stary kłown, spostrzegłszy go nareszcie, powiedział ze zmieszaniem, kładąc palec do ust:

— Ten urwis zrobił sobie moich z pleców kołyskę. Bardzo dobrze. Teraz zostaniesz za to ukarany.

I położył się na plecach, zakrywając sobą Roberta.

— Teraz on będzie jak w więzieniu — wyjaśnił publiczności z przebiegłym uśmiechem.

Lecz nagle krzyknął z przerażeniem.

— Mój człowieczek zamienił się w motor,

Robert zeskoczył zręcznie z pleców dziadka i po-

toczył się po arenie. Za nim pobiegł Duroi i Andrzej. Doganiali już chłopca i usiedli na ziemi, aby go złapać, gdy chłopiec potoczył się już dalej. Tak ciągnęło się przez kilka chwil, dopóki Andrzej nie położył się na piasku i nie zaczął się toczyć, tak samo jak Robert. Duroi poszedł za ich przykładem.

Wreszcie starsi kłowni złapali małego i Andrzej, chwyciwszy go, rzucił do Duroi.

Ten jak piłką odrzucił Roberta z powrotem i rzucali nim w ten sposób tak długo, aż Duroi rzucił chłopca z całych sił o piasek. Potem rozplakał się tak jak płaczą ukarane dzieci.

— Oj, oj, oj, oj co ja zrobiłem? Zabiłem cię, mój mały człowieczku — płakał, kiwając się nad nim i zawodząc.

Robert leżał na piasku nieruchomy.

— Co teraz będzie?

— Nie wiem.

— Trzeba zobaczyć czy żyje?

— Zobacz.

— Nie chcę.

— Zobacz.

— Boję się.

— Zobaczymy razem.

— Dobrze.

Obaj wzięli się za ręce i podeszli, trzęsąc się ze strachu i uderzając się jeden o drugiego.

Potem położyli się na ziemi i ruszyli naprzód na czworakach.

I nagle gdy już byli obok Roberta, dotknęli niepostrzeżenie jaką sprężynkę ukrytą w powijakach i Robert skoczył w powietrze i natychmiast odskoczył z powrotem, lecz teraz już bez powijaków a w ślicznym kostjumie włoskiego rybaka i zaczął tańczyć przy dźwiękach wesołej melodji orkiestry.

Andrzej i Duroi poszli za jego przykładem, ich niezdarne ubrania gdzieś znikły, oni zaś ukazali się w takich samych pięknych, włoskich kostjumach, ścierając szybko szminki z twarzy.

Andrzej tańczył naprzód z Robertem i Duroi, potem solo. Po chwili przyłączyła się do niego Henia ubrana także w włoski kostjum:

Publiczność klaskała i wołała głośno:

— Brawo, Andre, brawo.

— Skończyliśmy — oznajmił radośnie Andrzej, biegnąc za kulisy i zwracając się do Oleńki, która zeskoczyła już z ramion Eli. — Widziałas mnie?

— Wszystko, wszystko widziałam — odpowiedziała, patrząc na niego z zachwytem — świetnie wykonałeś wszystko. Wspaniale. Zwłaszcza taniec był doskonały. — zachwycała się dziewczynka całując przybranego brata.

— I pan Duroi mnie pochwalił — mówił wesoło Andrzej.

— A co się stanie zemną, zaraz będzie mój występ. Mister Bill już mnie woła — powiedziała z niepokojem Oleńka.

— Nie bój się. Jestem pewny, że wszystko ci się uda. Będę stał za kotarą i nie spuszczę z ciebie oka, Abyś wiedziała, że jestem tu i w razie potrzeby obronię cię. No, idź, kochanie. Idź z Bogiem.

I leciutko pchnął dziewczynkę w kierunku wyjścia na scenę.

Rozdział XI.

MAŁA POGROMCZYNI ZWIERZĄT.

Orkiestra grała jakąś cichą, ładną melodję, gdy Oleńka w towarzystwie mister Billa i Nilsa, uzbrojonych w bicz zjawiła się na scenie.

Pierwsze co spostrzegła dziewczynka była to najbliższa łoża, w której siedziała zauważona już przez nią przedtem poprzez otwór w kotarze, strojna, mała panienka. Trzymała ona teraz w ręku wielkie pudło czekoladek, któremi częstowała się co kilka chwil.

— Ach jaka śliczna dziewczynka. Spójrz, tatusiu ma takie same jasne, złote włosy jak ja — zawołała panienka w łoży — cudowna dziewczynka, naprawdę.

— Trzeba mówić szeptem, Alu. — Zwracasz na siebie ogólną uwagę — przerwała jej pani, która prawdopodobnie była jej гуверnantką.

— Ach, pani przeszkadza mi patrzeć — odpowiedziała gniewnie dziewczynka, krzywiąc usta.

— O, lwy, lwy, jakie okropne — krzyczała po chwili, widząc wjeżdżającą na arenę klatkę.

— Czyż doprawdy ta mała dziewczynka tam wejdzie?

— Ciszej, Alu, mów szeptem, dziecko — powiedział czule milczący dotychczas blady pan.

Dziewczynka ucichła natychmiast.

Gdy tylko lwy zjawiły się na arenie Oleńka odważ-

nie podbiegła do drzwi klatki i z uśmiechem, trzymając się prętów klatki posłała publiczności powietrzny pocałunek.

Teraz nie obawiała się już wcale Cezara i Junony. W ciągu tego miesiąca lwy przyzwyczaiły się do niej na tyle, że chętnie pozwalały na wykonywanie z niemi rozmaitych sztuk.

Mister Bill nie wszedł razem do klatki, a ulokował się w pobliżu, obok drzwi.

Oleńka zaś i Nils odważnie przestąpili próg klatki. Publiczność klaskała bezustannie.

Cezar i Junona podeszły do dzieci. Nils pokazał pierwszy swoją sztukę młodego pogromcy lwów. Wskoczył na grzbiet Cezara i uderzywszy go bacikiem skakał wraz z nim jak na koniu.

Publiczność zdumiewała się i zachwycała, krzycząc:
— Brawo. Brawo.

Wtedy uśmiechnięty, tryumfujący i dumny ze swego powodzenia chłopiec zeskoczył z Cezara i kazał służyć Junonie, dając jej strzelbę w łapy.

Lwica pokornie wypełniała to wszystko co jej kazano.

Wreszcie nastąpił najbardziej skomplikowany numer w programie Nilsa.

Junona miała wystrzelić ze strzelby i jakoby zabić Nilsa, potem, wyjąc przeraźliwie, miała usiąść nad niby zabitym chłopcem, dotykać jego serca, głowy i lizać go. Gdy zaś Nils podniósł się, lwica i Cezar zapłásali radośnie jakiś taniec.

Publiczność patrzyła na ten numer z prawdziwym zachwytem, klaskała bez końca i wołała.

— Brawo, Nils, brawo, Nils,

Szczęśliwy i uśmiechnięty Nils kłaniał się wokoło. Nikt by nie poznał w tym uprzejmym, odważnym chłopcu zawsze nadąsanego i ordynarnego Nikodema Czernika.

Teraz nastąpiła kolej Oleńki.

Nils wyskoczył z klatki, kłaniając się i przesyłając pocałunki bijącej wciąż jeszcze brawo publiczności, a Oleńka zajęła jego miejsce.

Zaczęła od tego, że swą maleńką rączką pchnęła Junonę. Junona pchnęła Cezara i razem upadli na ziemię, tarzając się po drewnianej podłodze klatki.

Publiczność nie krzyczała już teraz „brawo”. Wszyscy ucichli i patrzyli uważnie na tę niebezpieczną zabawę drapieżnych zwierząt z dzieckiem. Mogło się przecież zdarzyć, że dziewczynka, wykonawszy jakiś niepożądany ruch, ściągnie na siebie niezadowolenie lwów, które na pewno rzuciłyby się wtedy na nią.

Publiczność pojmowała to doskonale i wstrzymując oddech patrzyła na arenę.

Jasne włosy dziewczynki spletały się z grzywami strasznych zwierząt. Ręce jej dotykały ich grzbietów, palce ciągnęły je za uszy, klepały po otwartych paszczach.

Wreszcie Oleńka podniosła się i zawoławszy głośno Cezara kazała mu przykłęknąć przed sobą. Potem chwyciła obiema rękoma jego łeb i otworzyła szeroko ogromną paszczę lwa. Klepiąc mordę lwa maleńką rączką, Oleńka zaśpiewała piosenkę o lwach, władcach pustyni, którzy znaleźli się w niewoli u ludzi.

Błękitne oczy dziewczynki błyszczały jak gwiazdy. Lew warczał coś cicho i tulił się do jej nóg.

— Brawo, Oleńka brawo — wołali wszyscy, gdy uśmiechnięta dziewczynka wybiegła z klatki. Zachwytem publiczności nie było końca.

— Brawo Oleńka.

— Cudowna dziewczynka.

— Jaka odważna!

— I jakie maleństwo.

— Nils też jest odważny ale, to przecież małość w porównaniu z nim.

— Ślicznotka.

— Cudowne dziecko!

— Brawo Oleńka, brawo.

Słychać było wokoło zmieszane głosy.

Wystrojona dziewczynka w łoży krzyczała głośniejsze niż wszyscy.

— Tatusiu — wołała tarmosząc ojca za rękę i nie odejmując oczu od kłaniającej się wesoło Oleńki — tatusiu, zawołaj ją do nas. Ja chcę ją zobaczyć zbliska, ja chcę koniecznie.

— To niemożliwe, moje dziecko. To niemożliwe — uspakajał ją pan — małych artystów nie puszcza się do publiczności.

— Kto nie puszcza? Kto może nie pozwolić — gorączkowała się dziewczynka — dlaczego nie puszczają? Ja chcę tego. Chcę koniecznie. A jeżeli nie wolno, to zrobię w ten sposób.

I pan nie zdążył zatrzymać dziewczynki, gdy ta szybko złapała bombonierkę z czekoladkami, prędko ściągnęła swoją wstążkę z włosów, przewiązała pudełko wstążką i z całej siły rzuciła bombonierkę na dół, na scenę przed Oleńką, która spojrzała ze zdumieniem i uśmiechnęła się niepewnie.

— No, czego stoisz, niezdaro, bierz, to dla ciebie — usłyszała głos Nilsa i ujrzała bladą, wykrzywioną gniewnym grymasem twarz chłopca.

— Co się stało. Nilsie, dlaczego się gniewasz? — chciała zapytać chłopca, lecz ten spojrzał na nią z taką złością i tak boleśnie ścisnął jej palce, złapawszy za rękę i ciągnąc za sobą z areny, że pytanie zamarło na ustach dziewczynki.

Rozdział XII.

Z A Z D R O Ś Ć.

Był to jasny, wiosenny poranek, Wszyscy artyści trupy teatru „Rozrywek” siedzieli jeszcze przy śniadaniu.

Henia, jak dorosła gospodyni, dzieliła i troszczyła się o wszystkich jednakowo.

Ela, siedząc obok swej ukochanej „panienki”, nie spuszczała z niej oczu.

Obok Eli znajdowała się Oleńka, przy niej zaś Andrzej.

Dzieci rozmawiały między sobą dziwnym łamanym językiem, który sami ledwo pojmowali. Było to robione ze względu na Elę, która nie umiała dotychczas inaczej się porozumieć i tylko w ten sposób dawała sobie jakoś radę.

Dzieci przypominały sobie teraz pierwsze przedstawienie, w którym występowała Oleńka, podczas którego jasnowłosa dziewczynka z łoży rzuciła jej pudełko czekoladek.

— Spotykam często tę dziewczynkę — powiedziała Henia.

— Gdzie?

— Na ulicy.

— Czy chodzi pieszo?

— Niekiedy, zwykle jednak jeździ powozem. To
pewnie jej powóz.

— Musi być bardzo bogata.

— Zapewne.

— Ma takie śliczne suknie zawsze.

— Sama także jest bardzo ładna — powiedziała
Oleńka.

— A jednak, kochanie ty jesteś o wiele od niej
ładniejsze — powiedziała Henia, uśmiechając się do swej
małej przyjaciółki.

Ela uśmiechnęła się także.

— O, o — powiedziała, podnosząc wskazujący palec
do góry i starając się odzwierciadlić w ten sposób swój
zachwyt dla małej, ślicznej dziewczynki.

— Gdybyś wiedziała jak ładnie wyglądałaś w
klatce lwów — powiedziała Henia a po chwili dodała:

— I taka byłaś odważna, taka śmiała, nie bałaś się
wcale. A wiesz, zadrżałam mimowoli, gdy zobaczyłam
cię w uścisku lwów.

— Tak, maleńka miss jest prawdziwym zuchem —
wmieszał się do rozmowy dzieci mister Bill, który jadł
śniadanie przy oddzielnym stoliku, wraz z dyrektorem z
głównym akrobatą i kłownem Duroi. Po chwili powtórzył
raz jeszcze:

— Tak, Oleńka jest bardzo odważna, napewno
prześcignie Nilsa.

Mister Bill chwalił niezmiernie rzadko, to też wszyscy
zdziwili się, słysząc jego słowa.

— Zuch z małej Oleńki — powtórzył patrząc na
zaróżowioną z zadowolenia twarz dziewczynki.

— Zuch — powtórzył. — Odważniejsza jest niż
Nils.

Nils zagryzł wargi, słysząc te słowa. Mister Bill zaś
mówił w dalszym ciągu.

— Mam świetny plan. Wymyśliłem nadzwyczajny numer.

— Jaki? — zainteresował się dyrektor.

— Pomówimy o tem później.

— Dobrze.

— Publiczność oszaleje z zachwytu. Andrè też weźmie w nim udział. Pan Duroi chwali go bardzo.

Potem powtórzył jeszcze kilkakrotnie:

— Tak, to będzie wspaniałe przedstawienie. Wymyśliłem już wszystko.

Mister Bill był tego dnia w doskonałym humorze. Widocznie powodzenie Oleńki spowodowało w nim tę zmianę. Ożywił się, jego wyblakłe zwykle, szare oczy błyszczały, na żółtawej twarzy ukazał się rumieniec.

— Tak — powiedział znowu po chwili — Oleńka otrzymała zaraz podczas swego pierwszego występu pudło czekolady. Coś podobnego zdarza się bardzo rzadko.

Trzeba pilnować Oleńkę, pokazywać ją jaknajrzadziej, aby nie opatrzyła się publiczności.

— A kto będzie występował w klatce?

— Ktoś gorszy od niej. Może być Nils.

I powiedziawszy spokojnie to zdanie mister Bill odwrócił się i zaczął rozmawiać z dyrektorem, zachwycając się dziewczynką.

— Winszuję, winszuję ci, Oleńko.

— Widzisz, jak cię ceni mister Bill.

— On nigdy nie chwali nikogo.

— Po raz pierwszy mówił wogóle tyle.

— To mu się nigdy nie zdarza.

— Dokonałaś cudownej przemiany.

— Udało ci się.

— Bardzo się cieszę.

— Spodziewałem się, że tak będzie.

Henia i Andrzej zadowoleni winszowali dziewczynce

Elą zaś nie mówiąc ani słowa, wzięła ją w swoje objęcia i przytulając do siebie całowała.

Tymczasem przy drugim koku Oleńka rozmawiano o tem samem w zupełnie inny sposób.

— I cóż, jak ci się to wszystko podoba?

— Jak się czujesz?

— Jak się miewasz?

— Pewnie jesteś zachwycony temi pochwałami.

Zdania te były wypowiedane przez dwóch akrobatów i uderzały jak obuchem Nilsa.

Przez cały czas śniadania Nils siedział nieswój, błędząc i czerwieniąc się naprzemian.

Pochwały oddawane Oleńce raniły jego zawistną duszę. Nils był wściekły na dziewczynkę, na jej wyjątkowe powodzenie, na mister Billa, na Elę, na Henię, na Andrzeja.

Ale najbardziej był zły na samego siebie, za to, że on sam przyprowadził tę wstrętną dziewczynę (teraz tylko w ten sposób nazywał Nils Oleńkę) i że sam jej dał możliwość pokazania się.

— Poco ją tu przyprowadziłem? — powtarzał sobie w myśli bezustannie.

Słowa mister Billa, że Oleńka jest lepsza, niż on, doprowadzały go do wściekłości.

Najgorsza zazdrość nękała chłopca.

Nadomiar złego Janek—akrobata, domyślając się, co się dzieje w sercu zazdrosnego chłopca, dolewał jakby naumyślnie oliwy do ognia.

— Nie wstyd ci ustępować jakiegś tam dziewczynie?

— Zawsze byłeś taki wspaniały!

— Podobaleś się publiczności.

— Zachwycali się tobą.

— A teraz, nagle...

— Podobaleś się wszystkim.

— E, gdzie on tam był wspaniały.

— Rozbeczy się za chwilę.

— Zobaczycie, urządzi nam koncert — drażnił go młodszy brat Janka, Henryk.

— Naturalnie, że się rozbeczy.

— Wstydy, hańba.

— Naturalnie, że wstydy.

— Ja na twoim miejscu nie płakałbym wcale, tyl-

— Tylko...

— Tylko dałbym porządną nauczkę i dziewczynie i temu chłopcu, wstrętnemu Andrzejowi.

— Spójrzcie jak ten smarkacz zadarł nos do góry.

— Jest pełen zachwytu dla własnego tańca.

Janek spojrzał na Andrzeja i ciągnął dalej z żalem.

— Dopóki go nie było, ja tańczyłem i wszystko szło świetnie. Publiczność klaskała, zachwycała się.

— To prawda, niewiadomo poco zważyło się tamtych dwoje.

— O, gdybym ja był na twoim miejscu urządziłbym ich jak się patrzy.

— Mieliby się zpyszna.

— Cóż im mogę zrobić? — zapytał Nils niepewnie.

— O, mało to jest sposobów?

— Nie będę przecież bił dziewczyny — powiedział, skrzywiwszy się pogardliwie Nils.

— To przynajmniej Andrzeja urządzić jak należy.

— Mała zmartwi się tem więcej, niż gdyby jej się stało coś złego.

— Tak, zrób coś Andrzejowi.

— Sam nie wie co się z nim dzieje.

— Taki się zrobił zarozumiały.

— A my ci pomożemy.
— Pomożecie mi?
— Naturalnie, że ci pomożemy.
— Nie mów tylko nic Włodzimierzowi.
— Dlaczego?
— Bo on się zaprzyjaźnił z Andrzejem.
— Nie wiedziałem.
— Tak, zaprzyjaźnił się.
— I zaraz mu wygada o naszym postanowieniu.
— A mnie aż ręce świerzbią na tego Andrzeja.
— W dodatku wszyscy się nim zachwycają.
— Czy wiesz co wczoraj dyrektor powiedział naszemu ojcu.

— Nie, nie wiem.
— Powiedział: gdyby któryś z pana synów pokazał akrobatyczne sztuki Andrzejowi i poduczył go trochę to chłopiec napewno prześcignął by wszystkich, jest wyjątkowo zdolny i chętny.

— A jakże, będę go uczył — mruknął Henryk.
— Pokażemy co potrafimy.
— Odechce mu się występować w teatrze.
— Nauczymy go.
— Patrzcie, jaki ważny.
— Jak książę się zachowuje.
— Nosa zadziera.
— Nie rozmawia nawet z nami.
— Naprzód jemu damy się we znaki a potem zabierzemy się do dziewczyny także — szepnął Piotr Nilsowi do ucha.

Nils ponuro skinął głową. Czuł, że w jego głowie niema miejsca na żadną szlachetniejszą myśl. Przeciwnie dojrzało w nim postanowienie, którego nie chciał jeszcze zdradzić przed przyjaciółmi.

Rozdział XIII.

LIST. — NIESPODZIANKA. — POMYSŁ NILSA.

Kochana, mała dziewczynko!

Proszę cię nie gniewaj się na mnie, że piszę nie znając cię wcale. Na imię ci Oleńka. Pewnie nazywasz się Aleksandra. Ja także nazywam się Aleksandrą, lecz nazywają mnie Alą, gdyż to ładniej brzmi niż Ola, więc prosiłam o to. Mam już dziewięć lat. A ile ty masz?

Jakaś ty odważna; gdy zobaczyłam cię w klatce z lwami o mało co a byłabym krzyknęła ze strachu. Byłam pewna, że on cię pożre. Panna Zofja, moja guwernantka gniewała się na mnie za to, że rzuciłam ci czekoladki, zamiast posłać je przez woźnego. Mówiła mi, że to dowód złego wychowania, zwłaszcza dla księżniczki. Bo wiesz, ja jestem księżniczką, a księżniczka powinna zachowywać się zawsze jak przystoi.

— Ty pewnie nie jesteś księżniczką, śliczna dziewczynko. To dobrze! złe jednocześnie. Dobrze—bo możesz bawić się, krzyczeć, i nikt ci nie przeszkadza co chwila, możesz rozmawiać głośno, śmiać się, a złe—bo pewnie nie masz takich ładnych sukien, kapeluszy, nie masz takich zabawek, książek z obrazkami jakie ja mam i musisz wchodzić do klatki tych okropnych lwów, bo pewnie zarabiasz w ten sposób na swoje jedzenie.

Bardzo mi cię żal.

Gdy znowu będziesz występować, mój tatuś zaprowadzi mnie do teatru.

Widzisz jak dużo ci napisałam. Panna Zofja mówi, że źle napisałam i zepsułam list dwoma kleksami. Lecz to przecież nic nie szkodzi. Pewnie ci będzie jednak przyjemnie otrzymać ten list, tembardziej, że znajdziesz w kopercie mały pierścionek z rubinem, który ci chcę podarować.

Gdy będę w teatrze to przyjdę do ciebie z tatusiem za kurtynę. Chyba nas wpuszczą? Muszą nas wpuścić. Mój tatuś jest księciem, bardzo bogatym. Ma tyle pieniędzy, że jeżeli je zebrać wszystkie razem to utworzy się z tego wielka góra.

Dowidzenia Oleńko. Zobaczę cię niedługo.

Księżniczka Ala.

List ten przeczytany był kilka razy przez Henię, przez samą Oleńkę i Andrzeja. Na paluszku Oleńki uwydatniał się pierścionek z rubinem, który wyglądał jak kropelka krwi.

I list i pierścionek przyniósł samego rana wysoki lokaj. Lokaj zapytał o pannę Oleńkę. Zmieszana dziewczynka otrzymała od niego list z pierścionkiem.

— Widzisz — mówiła wesoło Henia — znalazłaś sobie przyjaciół. Bardzo się cieszę z tego, kochanie.

Cieszył się również z powodzenia swej przyjaciółki Andrzej oraz Ela. Murzynka skakała i klaskała w dłonie, pokazując palcem pierścionek.

Oleńka napisała odpowiedź, w której dziękowała swej nieznanej przyjaciółce i wręczyła list lokajowi.

Potem Andrzej i Henia pojechali na próbę do teatru, gdzie już się znajdowali pozostali członkowie trupy.

Mister Bill i dyrektor obmyślili przed tygodniem zupełnie nowe i nadzwyczajne przedstawienie. Nic podobnego nie grano w teatrze „Rozrywek”.

Postanowili mianowicie pokazać na scenie obrazek

z epoki z przed dwóch tysięcy lat. Była to mała sztuka z czasów prześladowania chrześcijan, ułożona przez mister Billa. Treść jej była następująca:

Dziewczynka-chrześcijanka Weronika mieszkała w Rzymie, którym rządzi cesarz Neron.

Neron nie pozwala chrześcijanom wyznawać swej wiary. Męczy i torturuje wszystkich, którzy nie chcą uznać bezduszných bożków.

Weronikę, którą miała odtwarzać Oleńka łapią niewolnicy Neronu i z rozkazu cesarza rzucają ją do klatki z lwami, które mają pożreć dziewczynkę.

Lwy mają już rzucić się na nią, rozedrzeć ją swemi pazurami, lecz dziewczynka kładzie wianek na szyję jednego z nich, wianek, który Neron rzucił drwiąco do klatki i wtedy lew klęka przed dziewczynką. Tak samo postępuje drugi lew i Weronika wychodzi cała i nietknięta z klatki, ułaskawiona przez cesarza, którego dworzanie uwierzyli w siłę wiary chrześcijańskiej.

Tej właśnie sztuki bardzo gorliwie uczyły się dzieci: Nils, Andrzej, Henia, Oleńka i inne. Od rana do wieczora znajdowały się dzieci teraz w cyrku i wykonywały to wszystko czego wymagał od nich mister Bill.

Tego dnia, gdy lokaj przyniósł list od księżniczki próby zaczęły się nieco później, gdyż mister Bill poszedł opatrzyć łapę Junony którą ta wywichnęła sobie podczas ostatniego przedstawienia.

Dyrektor był zajęty w swoim gabinecie. Stary Du-roi miał lekcję z wnukiem, którego ze względu na jego młody wiek uczył oddzielnie.

Nils i trzech akrobaci byli już na scenie, gdy Henia, Ela, Oleńka i Andrzej zjawili się tam.

— Co masz na palcu? Gdzieś ściągnęła to cudo?— krzyknął ordynarnie Nils, który spostrzegł odrazu na cienkim paluszku Oleńki rubinowy pierścionek.

Oleńka zaczerwieniła się obrażona. Zaczerwieniła

się także Henia, murzynka zaś, słysząc ordynarny ton głosu i zauważywszy wyzywający wyraz jego twarzy zmarszczyła groźnie swoje zrośnięte brwi.

Andrzej zaś był tak blady jak kołnierzyk jego koszuli.

— Jak śmiesz obrażać dziewczynkę? — powiedział starając się opanować i nie podnosząc głosu, podczas gdy jego oczy zapłonęły gniewnie.

— Ach, powiedźcie państwo co za ceremonje. Ja was tu zaprotegowałem i muszę wiedzieć o wszystkim co was dotyczy. Dziewczyna buchnęła gdzieś pierścionek a ja mam tego nie zauważyć... — zaczął ze śmiechem Nils, lecz nie skończył zdania.

Dwoma skokami Andrzej znalazł się przy nim. Jego szczupłe, lecz silne ręce wpiły się jak kleszcze w ramiona Nilsa. Wykrzywiona twarz zbliżyła się z wściekłością do twarzy przeciwnika.

— Słuchaj — powiedział takim głosem, że Nils drgnął mimowoli — jeżeli odważysz się jeszcze raz tak z niestępować — spojrzał na Oleńkę — to, to ja — prawie się z tobą. Słyszałeś?

I Andrzej odepchnął od siebie nie oczekując podobnego Nilsa, odepchnął tak mocno, że ten się i upadł na piasek w całej swej długości, głośny śmiech wszystkich obecnych.

Rozdział XIV.

TAJEMNICZA KOMÓRKA. — CZARNY DUCH.

W dużym, letnim teatrze znajdowała się długa piwnica. Piwnica ta a właściwie całe podziemie było zbudowane w tym celu, aby tam chować stare i nowe dekoracje, rozmaite teatralne kostjумы, rekwizyty, należące do teatru cyrku, oraz rozmaite przedmioty niezbędne dla każdego właściciela teatralnego przedsiębiorstwa. Część rzeczy znajdowała się w budynkach obu teatrów, część była złożona w podziemiach.

Całe to podziemie składało się z długich korytarzy porzeczonych przez stojące tam skrzynie i dekoracje. Była tam niewielka komórka, do której nikt nie miał prawa wejść. Było tam ciemno jak w grobie i słychać było jakieś hałasy.

Naturalnie hałas spowodowany był znajdującymi się tam szczurami, lecz młodszy członkowie trupy „Rozrywek” przekonani byli, że w podziemiach mieszka czarny duch, gospodarz piwnic, który całe dni i noce spędza w tej właśnie komórce.

Gdyby kto zajrzał do komórki podczas przerw w próbach przekonałby się z łatwością jaki to duch a właściwie jakie cztery duchy tam gospodarują.

Gdy tylko skończyła się pierwsza część próby i rozpoczął się godzinny odpoczynek, wówczas natychmiast

trzej bracia akrobaci i Nils, wychodzili niepostrzeżenie i tam właśnie się udawali.

W komórcie jeden z nich wydostawał kawałek świecy i zapalał go. Drugi wyjmował ze wszystkich kieszeni najrozmaitsze słodczy. Oprócz słodczy były także owoce, zakąski, a nawet wino.

Starszy z braci potrafił ściągnąć to wszystko z piwnicy i spiżarni dyrektora. Jeżeli niekiedy nie można było nic wydostać w ten sposób, wówczas Nils kupował przyjęcie za swoje pieniądze, które umiał zawsze wydobyć od matki.

Ucztowali w ten sposób podczas prób, podczas przedstawienia, w przerwach między występami na scenie.

Akrobaci byli młodymi zepsutymi ludźmi, lecz Nilsowi wydawali się jaknajodpowiedniejszymi przyjaciółmi i starał się we wszystkim ich naśladować.

Jeżeli Henryk, Piotr i Janek palili papierosy, wówczas palił także Nils, chociaż nie sprawiało mu to żadnej przyjemności. Bracia pili wino, więc Nils pił także chociaż po winie mdliło go i bolała go strasznie głowa.

Nils nie chciał jednak być innym, niż jego starsi koledzy i koniecznie chciał udawać dorosłego, młodego człowieka. Było to brzydkie, głupie i śmieszne.

W tym celu czterej przyjaciele udawali się do małej komórki, w której przebywali i ucztowali, nie obawiając się, że dowie się o tem dyrektor i ojciec, który naturalnie rozgniewałby się poważnie na synów.

— A jednak, wymyśliłem świetny kawał — krzyknął Nils, po wypiciu kieliszka wina, po którym zakręciło mu się w głowie.

— Coś wymyślił? — zapytali jednogłośnie bracia.

Siedzieli teraz wszyscy wprost na podłodze, podwinąwszy pod siebie po turecku nogi.

Przed nimi stała skrzynka, na której znajdowały się

stare z poodbijanemi brzegami talerze, napelnione łakociami i ledwo zaczęta butelka wina.

I wino i łakocie były tym razem wyjęte ze spiżarni Heni, która wydając kucharce obiad odeszła na chwilę do kuchni, zostawiając drzwi otwarte.

— Co wymyśliłeś?

— Posłuchajcie tylko. Jak wam wiadomo, moi drodzy, w sztuce „Chrześcijanka i Neron” ja gram rolę Nerona. Siedzę na tronie i rzucam, śmiejąc się, wianek skazanej Weronice. Ona kładzie go na szyję Junony. A więc, cha, cha, cha, ukryję w wianku dwie ostre spilki i... i... ciekaw jestem czy lwica zechce posłuchać się wstrętnej dziewczyny, gdy poczuje w swem ciele po obu stronach szyi dwie ostre szpilki. Cha, cha, cha. Naturalnie trudno będzie wtedy wymagać od niej pokory i posłuszeństwa. I zamiast upaść pokornie do stóp dziewczynki będzie się rzucała jak wściekła po całej klatce. Cha, cha, cha, to dopiero będzie zabawa. Wyobrażam sobie jak wykrzyczy mister Bill Oleńkę za to. I w ten sposób skompromituje się dziewczyna przed publicznością i otrzyma burę i nikt już nie będzie się nią zachwycał i rzucał jej czekoladki. Cha, cha, cha.

— A jeżeli lwica wpadnie w wściekłość i rzuci się na Oleńkę? — zapytał Janek z lękiem w głosie.

— Ależ co ty mówisz. Odrazu się rzuci! Nic podobnego. Zresztą będę miał rewolwer przy sobie a mister Bill też nie dopuści aby stało się coś złego.

Znajduje się przecież zawsze tuż przy klatce. A poza tem wystarczy zranić tylko, nawet leciutko lwa, aby rzucił upatrzoną ofiarę i pobiegł szukać napastnika.

— W takim razie wszystko odbędzie się wspólnie — pochwalił Nilsa Henryk — wszyscy przekonają się, że smarkata zepsuła sztukę, nie umiając zmusić lwy do pokory. I publiczność też przestanie się nią zachwycać, a ty Nilsie staniesz się znowu ulubieńcem publiczności.

— O, to mi jest zupełnie obojętne — z udanym lekceważeniem powiedział Nils — odchodzę niedługo od Billa, a on sam z Olą pojedzie do Ameryki.

— Weźmie ze sobą także Andrzeja — powiedział Henryk i dodał z drwiącym uśmiechem.

— A ty Nilsie, zapomniałeś już o tem jak cię Andrzej obraził i przebaczyłeś mu wszystko?

Nils zaczerwienił się.

— Ja? Ja przebaczyłem? — powiedział zmieszany.

— Ty, ty — przedrzeźnił go Henryk — Co mi dasz za to, jeżeli mi się uda ściągnąć tu Andrzeja.

— Co? — zapytał jednocześnie jego bracia (Nils).

— No tak — mówił z uśmiechem Henryk — posprzeczałem się dziś rano z Andrzejem. Powiedziałem mu, że zapewne tak samo jak wszystkie dzieci z trupy obawia się czarnego widma, które się błąka po podziemnym korytarzu. Odpowiedział mi, że nie boi się niczego. Wtedy zaproponowałem mu, aby mi tego dowiódł i przyszedł tu dziś wieczorem podczas przerwy w przedstawieniu. Głupi chłopak obiecał, że przyjdzie. Wobec czego najlepsze co możemy zrobić to dać mu porządną nauczkę i odzwyczaić raz na zawsze od głupiego przyzwyczajenia zadzierania nosa do góry.

— O, jakiś ty sprytny, Henryku. Świetnie to wymyśliłeś — zawołał Nils — Dziękuję ci. Zrobię za to wszystko co zechcesz. Ale cicho... słyszę jakieś kroki. To on — przerwał nagle.

Rzeczywiście po podziemiu ktoś szedł w kierunku komórki.

Trzej bracia i Nils słuchali uważnie.

Słychać było kroki coraz bliżej i bliżej. Wreszcie przed drzwiami komórki.

— Za chwilę wejdzie. Słuchajcie — komenderował Henryk — ja skoczę pierwszy i złapię go za rękę, aby

nie mógł się bronić. Wy zaś wlećcie mu porządną porcję klapsów, nie żalując ręki. Potem zwiążemy go i zostawimy tutaj, a sami pójdziemy do dyrektora i przyprowadzimy go. Zobaczy związanego Andrzeja, rozpoczętą butelkę, zakąski ze swojej spiżarni i... i... dojdzie do wniosku, że jego ulubieniec jest złodziejem i łakomczuchem. A my we czwórkę potwierdzimy to.

— Świetnie, świetnie — szepnęli młodszy bracia i Nils — teraz zabierzemy się do niego jak należy,

I w milczeniu oczekiwali nadejścia Andrzeja.

Kroki słyhać było coraz bliżej. Wreszcie zupełnie blisko. Ktoś dotknął drzwi. Kłódka poruszyła się i...

Wysoka postać w czarnym płaszczu, o straszliwej, bladej twarzy zjawiła się na progu komórki. Na głowie przykrytej czarnym kapturem sterczały rogi. Z pod płaszcza widać było długi ogon.

— Ach, wpadliście. Gospodarujecie w moim królestwie. Pokażę wam za to — grobowym głosem wyrzekł tajemniczy gość i wielkimi krokami ruszył napr-ód.

— Ach, ach, ach, czarny duch — wrzasnął Nils i krzycząc przeraźliwie zasłonił twarz rękoma, i nie panując nad sobą położył się na podłodze.

Dwaj bracia Janek i Piotr przykucnęli przy nim, szepcząc modlitwę.

— Na pomoc, na pomoc, na pomoc — wołał Henryk nie ludzkim głosem, wytrzeszczwszy oczy na straszliwe zjawisko. Wreszcie schronił się w najbardziej oddalony kąt komórki.

— Cha, cha, cha. Ale tchórze z was porządni, moi drodzy. Straszylście mnie czarnym duchem a samiście się pierwsi przełękli — zabrzmiał wesoły śmiech z za kaptura i okropna maska zleciała z hukiem na podłogę.

zleciał też czarny płaszcz, odpadły rogi i ogon i śmiejąca się twarz Andrzeja zjawiała się nagle przed przerażonymi przyjaciółmi.

— Cha, cha, cha. To ja... spójrzcie tchórze — zawołał wesoło. — Szedłem tu, a po drodze widzę w otwartym jakimś kufrze stary kostjum z rogami i ogonem i tę maskę. Włożyłem to na siebie i myślę, zrobię im kawał. Ale widzę, żeście się przełękli nie na żarty. Cha, cha, cha — zakończył wesołym śmiechem swoje przemówienie.

Chłopcy patrzyli na niego szeroko rozwartemi oczyma, nie rozumiejąc jeszcze co się stało. Wreszcie Henryk wyszedł powoli ze swego kąta. Nils, który wciąż jeszcze jęczał cicho jak mały, pokojowy piesek, podniósł się w hająco z podłogi. Tak samo niepewnie podnieśli się Pio i Janek.

— Ach więc to ty, a nie czarny duch — powiedzi Henryk.

— Cha, cha, cha, naturalnie, że to ja -- rozweselię jeszcze bardziej Andrzej.

— To on — powtórzyli, jak echo Nils i dwaj młodzi bracia jednym głosem.

— To on — potwierdził Henryk i miał w tej chwili bardzo głupi wyraz twarzy.

— Ale jak śmiesz śmiać się z nas? — zawołał nagle patrząc gniewnie na śmiejącego się Andrzeja.

— Tak, jak śmiesz, damy ci za to — powiedzieli groźnie jego bracia.

— Damy ci za to — powtórzył Nils, który odzyskał już poprzednią pewność siebie.

— Masz — krzyknął z całej siły Henryk i rzucił się na chłopca z zaciśniętymi pięściami, zanim ten zdołał domyśleć się czegokolwiek.

Wraz z nim Paweł, Janek i Nils rzucili się także.

Lecz teraz zdarzyło się coś nieprzewidzianego. Andrzej skoczył nagle na ścieżkę od komórki i w ciągu sekundy zgasił świecę. Zupełny mrok zapanował teraz.

W mroku tym słyszać było tylko odgłosy bójki i wreszcie rozległ się nabrzmiały łzami głos Nilsa.

— Zwarjowałeś, Henryku. Boli mnie. Ciągniesz mnie za włosy. Oj, oj, oj.

— To ty, Nilsie? — słyszać było zdumiony głos Henryka.

— Naturalnie, że to ja. Zostaw-że moje włosy w spokoju.

— To dziwne. Byłem pewny, że to Andrzej.

— Andrzej musi być po tamtej stronie — zawołał Paweł.

— Trzymajcie go chłopcy — krzyknął nagle Janek rzucił się w przeciwną stronę.

— Oj, oj. To nie Andrzej, to ja, Henryk. Jak śmiesz mnie uderzyć. Poskarżę się ojcu.

Rozdział XV.

KSIEŻNICZKA ALA. — PRZYJEMNY DZIEŃ.

— Wzywają cię, moje dziecko.

— Mnie, proszę pana? — zdziwiła się Oleńka.

— Tak, ktoś przyszedł do ciebie.

I dyrektor, wzięwszy Oleńkę za rękę, uśmiechając się tajemniczo, zaprowadził dziewczynkę przez jadalnię, w której dopiero co zostało skończone śniadanie, do saloniku.

W saloniku przyjmowano krewnych i przyjaciół artystów.

Dyrektor zostawił dziewczynkę na progu pokoju i odszedł.

Oleńka była niezmiernie zdziwiona. Nie знаła przecież nikogo, kto mógłby przyjść do niej z wizytą.

Coprawda mała księżniczka obiecała, że przybędzie na przedstawienie „Chrześcijanka i lwy”, lecz przedstawienie to miała nastąpić dopiero za dwa dni.

— Ktoż to mógł więc być?

Wychodząc z jadalni Oleńka zamieniła spojrzenie z Andrzejem, którego twarz również wyrażała żywe zainteresowanie.

— Andrzeju — zawołała.

Andrzej podbiegł do niej.

— Co się stało, kochanie?

— Ktoś przyszedł do mnie.

— Tak, słyszałem.

— Nie wiem kto to może być?

— Najlepiej wejdź i przekonaj się — uśmiechnął się chłopiec.

Oleńka roześmiała się również. Potem niepewnie wahając weszła do saloniku.

Na jej widok z krzesła zerwała się wystrojona, w białym palcie panienka i z wesołym śmiechem podążyła jej naprzeciw.

— Jestem, to ja — zawołała wesoło księżniczka.

— Ach, to ty.

— Tak. Nie oczekiwałaś mnie chyba.

— Nie, nie wiedziałam właśnie kto mógł do mnie przyjść.

— Jak się masz, Oleńko? — szczebiotała dziewczynka całując Oleńkę.

— Jak to dobrze, że przyjechałaś do mnie!

— Prawda, że dobrze zrobiłam?

— Doskonale.

— Przyjechałam do ciebie, bo już nie mogłam do-
czekać się tego przedstawienia.

— Odbędzie się pojutrze.

— Dwa dni to strasznie długo.

— To prawda.

— Zresztą, tam na scenie to zupełnie co innego.

Wiesz, tatuś napisał list do twego dyrektora.

— Do mego dyrektora?

— Tak.

— A poco?

— Aby ci pozwolił przyjechać do nas na cały
dzień?

— I pozwolił?

— Naturalnie. Spędzimy razem cały dzień.

— To świetnie.

— Będziemy się cudownie bawić. Zobaczysz.

— Strasznie się cieszę.

— Ja też się cieszę, że cię widzę. A ty chyba też
jesteś zadowolona?

— Bardzo jestem zadowolona.

— Cieszysz się?

— Tak.

— Lubisz mnie chyba także?

— Naturalnie, że cię lubię.

Słowa księżniczki padały bezstannie. Nie milkła na-
wet na jedną chwilę. Oleńka ledwo zdołała jej odpo-
wiadać.

Mała szczebiotka napełniła cały pokój swoim
sympatycznym głosikiem.

— Ach, tak, bardzo chciałam cię widzieć. Tak bar-
dzo — mówiła — panna Zofja ci powie jak bardzo.
Prawda, panno Zofjo?

Panna Zofja, która przybyła z księżniczką potwier-
dziła jej słowa. Przywitała się uprzejmie z Oleńką i do-

dała oż siebie — że ojciec Ali pozwolił jej zaprosić dziewczynkę na cały dzień do siebie.

— A wieczorem pojedziemy razem do teatru — dodała nagle księżniczka.

— Do teatru?

— No tak, do teatru.

— Do jakiego teatru? — zdziwiła się dziewczynka.

— No, chociażby do waszego teatru.

— Pocos

— To będzie bardzo zabawne. Ty, mała pogromczyni zwierząt będziesz siedziała razem ze mną w łożu.

— Dobrze.

— Wszyscy ci będą zazdrościć — dodała z pewną dumą księżniczka.

— Już m' zazdroszą — westchnęła Oleńka.

— Doprawdy?

— Tak, i Andrzejowi zazdroszą także.

— A kto to jest ten Andrzej? — zapytała ciekawie Ala.

— To mój przybrany brat.

— Nie wiedziałam, że masz przybranego brata. Jaki on jest?

— Ogromnie miły chłopiec.

— I lubisz go więcej niż mnie? — zapytała z niechęcią w głosie Ala.

Oleńka która nie umiała kłamać odpowiedziała szczerze:

— Tak, lubię go więcej niż kogokolwiek na świecie. A właściwie nie lubię go, tylko kocham najbardziej ze wszystkich ludzi, jakich znam.

— Mnie masz lubić bardziej, niż wszystkich — tupnęła nogą księżniczka.

Oleńka spojrzała ze zdziwieniem.

— Ja tak chcę.

— Alu, Alu — zawołała panna Zofja.

— Więc co, już się zaczyna „Alu”, „Alu”, przez cały dzień tylko to jedno słyszę:

— Alu, nie gryź paznokci,

— Alu, siedź spokojnie,

— Alu, nie krzycz,

— Alu, nie skacz,

— Alu, baw się,

— Alu, ucz się.

— Ach Boże jakie to nudne.

Mówiąc to, Ala skrzywiła usta z gniewem.

— Przestań, Alu, przecież twoja przyjaciółka jest tutaj.

— To nie szkodzi, niech wie jakie mam smutne życie.

— Miałas ją zaprosić do siebie — przypomniała panna Zofja, chcąc zmienić kaprysne zachowanie się dziewczynki.

— Ach, prawda. Chodź do mnie, Oleńko.

— Dobrze.

— Ubierz się.

— Zaraz się ubiorę.

— Ach — krzyknęła księżniczka — kto to taki? Zobacz, proszę cię, zobacz.

Dziewczynka bez ceremonji pokazała palcem w kierunku drzwi, gdzie ukazała się czarna głowa Eli.

— To nasza siłaczka — objaśniła Oleńka.

Dziewczynka uśmiechnęła się serdecznie do swej czarnej przyjaciółki.

— Ach, jaka obrzydliwa. Jaka czarna! — uśmiechnęła się pogardliwie księżniczka.

— To bardzo dobra i szlachetna dziewczynka — ujęła się za swoją przyjaciółkę Oleńka.

— A co ona potrafi robić?

— Daj jej monetę, to ją zegniesz dwoma palcami—za-
proponowała Oleńka.

— Czy jest taka silna?

— Tak, niezwykle silna.

— Doprawdy?

Oczy Ali rozplomieniły się zaciekawieniem. Włożyła
rękę do kieszeni i wyjęła stamtąd małą, śliczną portmo-
netkę.

Wyjęła dużą srebrną monetę z portmonetki.

— Niech ją zegniesz. Jeżeli jej się uda, to podaruję
jej te pieniądze.

Ala rzuciła niedbale monetę murzynce. Ta złapała
ją zrećźnie, i ścisnęła mocno ręką.

Potem rzuciła monetę do góry i po chwili pieniądz
ukazał się na jej czarnej dłoni zupełnie zwinięty.

— Cha, cha, cha.

Księżniczka śmiała się dźwięcznie.

— To wspaniałe.

Spojrzała teraz z prawdziwym zdumieniem na mu-
rzynkę.

— A teraz powiedz jej, aby wyprostowała — za-
proponowała po chwili.

Oleńka powtórzyła słowa dziewczynki murzynce
i ta uśmiechając się dobroduszenie kiwnęła potakująco
głową.

— Dobrze—powiedziała swoim dziwnym łamanym
językiem.

Potem wzięła monetę do ręki, poruszyła kilka razy
palcami i po chwili już pieniądz przybrał poprzedni wy-
gląd.

— Ach, świetnie — klasnęła w dłonie Ala.

— Już musimy iść, Alu — przypomniała panna
Zofja.

— Tak, musimy iść — powtórzyła księżniczka.

Zrobiła minę dorosłej osoby, kiwnęła niedbale głową

murzynce i wzięwszy Oleńkę za rękę poszła w kierunku drzwi.

Nagle ciężka czarna ręka dotknęła jej ramienia. Ale krzyknęła przestraszona i obejrzała się

— Co ona chce? — zapytała.

Murzynka stała przed nią i podawała jej monetę, trzęsąc kędzierzawą głową i mruczając coś pod nosem.

— Dlaczego ona mi to oddaje? Powiedz, że jej to darowałam — wzruszyła ramionami Ala.

Oleśka gęstami i ruchami przetłomaczyła murzynce słowa księżniczki. Ela jednak kiwała jak poprzednio głową i mruczała coś w odpowiedzi, wymachując rękoma i starając się coś wytłomaczyć.

Oleńka zrozumiała wreszcie:

— Ona nie chce pieniędzy od ciebie — powiedziała.

— Dlaczego?

— Bo mówi, że jest moją przyjaciółką a więc tem samem i twoją przyjaciółką.

— Ach, tak — roześmiała się księżniczka — to dziwne, przyjaźń z taką czarnoskórą osobą.

— Skórę ma czarną, ale duszę ma białą — powtórzyła Oleńka poważnie słowa Heni, zwłaszcza, że z każdym dniem poznawała lepiej szlachetność i dobroć charakteru Eli.

— Chodźmy — powtórzyła Ala.

Obie dziewczynki zeszły z panną Zofją ze schodów.

Przed domem czekał na nie powóz.

— Chodźmy prędzej — powiedziała Ala niecierpliwie i szybko weszła do powozu.

Oleńka która nigdy w życiu nie jeździła powozem usiadła nieśmiało.

Konie ruszyły szybkim kłusem.

Pogoda była wspaniała. Drzewa już się zazieleniły, liczni chłopcy sprzedawali wiązanki pachnących kwiatów.

Po kilkunastu minutach jazdy, powóz zatrzymał się przed wspaniałym domem.

— To nasz dom — powiedziała z dumą Ala.

— Jaki ładny!

— Prawda że wygląda jak pałac — zapytała Ala i jej dziecinna twarzyczka przybrała wyniosły wyraz.

— Wejdźmy do środka — zawołała po chwili.

Wziawszy Oleńkę za rękę, pobiegła szybko po schodach przykrytych czerwonym dywanem i udekorowanych egzotycznymi roślinami.

Oleńka patrzyła szeroko rozwartemi oczyma.

— Jak tu pięknie! — szepnęła.

Jeszcze nigdy nie widziała tak ładnego umeblowania. Wielkie pokoje o ogromnych lustrach, meble obite jedwabiem, dywany, obrazy, śliczne cacka — wszystko to pociągało bezustannie jej wzrok.

— Chodź, pokażę cię mojemu tatusiowi — powiedziała Ala, wchodząc do wspaniale urządzonego, nieco ciemnego gabinetu.

— To jest tatuś — oznajmiła.

Przy stole siedział ten sam blady pan, którego Oleńka widziała już z księżniczką w teatrze.

Niewiadomo dlaczego dziewczynka doznała takiego uczucia, jakgdyby знаła oddawna tego pana i wydał jej się wyjątkowo sympatycznym.

Ojciec Ali, młody jeszcze, lecz o siwiejących włosach i trochę smutnej twarzy mężczyzna, podniósł się ze swego miejsca i wyciągnął do Oleńki obie ręce.

— Jak się masz moje dziecko? — powiedział miłym, łagodnym głosem.

— Dziękuję panu, dobrze.

— Bardzo się cieszę, że mój urwis przyprowadził cię tutaj.

— Ja też się cieszę, proszę pana

— Od chwili gdy Ala cię zobaczyła nie chce nawet słyszeć o innych przyjaciółkach.

Poprosiła mnie abym napisał do twego dyrektora. A więc jesteś dziś wolna, prawda, moje dziecko?

— Tak, tak, Oleńka jest dziś zupełnie wolna — zawołała Ala, nie dając odpowiedzieć, zmieszanej tym uprzejmym przyjęciem, Oleńce.

— Tak, ona jest dziś zupełnie wolna.

— To doskonale.

— Będziemy się razem bawić

— Nie dokazuj tylko zanadto, córeczko?

— Nie, ale pojedziemy wieczorem do teatru. Dobrze?

— Do teatru?

— Tak, ja chcę iść dziś do teatru, chcę iść dziś do teatru — zawołała Ala wesoło i nakazująco.

— To będzie zbyt często, córeczko — powiedział książę, spojrzawszy czule na Alę swemi smutnemi, dobrymi oczyma.

— Ale ja tak chcę, tatusiu — głos dziewczynki drgnął, jakby miała za chwilę się rozplakać.

Ojciec obawiając się, że wyrządzi wielką przykrość swej ulubienicy zgodził się pośpiesznie.

— Dobrze kochanie — powiedział łagodnie.

— O, to świetnie, kocham cię, tatusiu.

Tym razem pozwolę ci jeszcze, chociaż zbyt często chodzenie do teatru jest szkodliwie dla dzieci w twoim wieku.

— Czy oddawna jesteś w naszym mieście — zapytał książę Olenki.

— Nie, dopiero od kilku miesięcy.

— A twoi rodzice?

— Nie mam rodziców. Mam tylko Andrzeja brata, to jest przybranego brata. Miałam dziadziusia, który umarł. To jest nie prawdziwego dziadziusia tylko...

Lecz księżniczka Ala przerwała bez ceremonji Oleńce i ze śmiechem pociągnęła ją ku drzwiom.

— Później opowiesz, teraz chodźmy stąd. Pokażę ci mój pokój, zabawki, książki, wszystko.

I Ala lekko jak motylek wybiegła z gabinetu ciągnąc za sobą dziewczynkę.

Książe patrzył ze smutnym uśmiechem na znikającą córkę. Kochał bardzo Alę i spełniał wszystkie jej kaprysy i żądania. Wiecznym lękiem przejmowała go myśl, że mógłby utracić swoją dziewczynkę.

Niestety, Ala często nadużywała uczucia ojca, dziewczynka była miła, lecz kapryśna, wymagająca i niekiedy wyniosła. Lecz ojciec wybaczał jej z łatwością wszystko i niemal nigdy się na nią nie gniewał.

Teraz twarz obcej dziewczynki, tej małej pogromczyni zwierząt, Oleńki wywołała w nim dziwne uczucie. Poczul niewyjaśnioną sympatję do tego obcego dziecka.

Doznawał wrażenia, że już kiedyś widział te delikatne, ładne rysy, te wielkie, błękitne, błyszczące oczy.

— Wydaje mi się chyba — pomyślał po chwili.

Tymczasem Ala zaprowadziła swoją nową przyjaciółkę do prześlicznego pokoju, w którym znajdowały się małe mebelki okryte różowym pluszem, oraz miniaturowe lustro w złożonych ramach. Puszysty dywan okrywał podłogę całego pokoju.

Na dywanie leżała wielka lalka, rzucona niedbale w kąt, oraz otwarta książka w pięknej oprawie.

— To mój pokój — wyjaśniła Ala.

A po chwili dodała,

— To moja sypialnia. Tam obok jest moja bawialnia, pokój do nauki i jeszcze sala do gimnastyki.

— Poco ci tyle pokoi? — zdziwiła się Oleńka.

— Nie wiem, tak już jest — odpowiedziała Ala

— Cztery pokoje!

— W bawialni znajdują się wszystkie moje gry i zabawki. Zaraz ci wszystko pokażę.

— Dobrze, pokaż.

— Mam tego wszystkiego bardzo dużo — szczebiotała księżniczka.

A po chwili dodała:

— Obiad zjemy w bawialni. Zaraz nam tam nakryją — postanowiła.

Panna Zofja nie była wcale zachwycona tem postanowieniem.

— Ależ moje dziecko — wtrąciła się — to niegrzecznie. Powinnaś przecież zjeść obiad razem z tatusem w jadalni.

— Ach Boże, a ja chcę właśnie tu, nie w jadalni.

— To nieładnie.

Ala nadęła kapryśnie usta i spojrzała gniewnie na swoją wychowawczynię.

— Alu — powiedziała z wymówką panna Zofja.

— Znowu Alu i Alu.

— Jeżeli nie umiesz się zachować, to czyja to wina.

— Tatusz jest dobry i na wszystko mi pozwoli — mówiła, zaczerwieniwszy się dziewczynka.

— Nadużywasz właśnie dobroci tatusia.

— A pani na nic mi nie pozwala. Pani jest niedobra.

— Zapominasz się, Alu.

— Tak, każdą przyjemność mi pani psuje. Taka już pani jest.

— Nie wiesz sama co mówisz, Alu.

— Pójdę więc do tatusia, aby mi pozwolił zjeść tu obiad. I jednocześnie poskarżę się na panią — zakończyła z płaczem i wybiegła z pokoju.

Guwernantka wzruszyła ramionami i mimowoli spojrzała na Oleńkę.

Oleńka stała zmieszała tą sceną, ze spuszczonymi oczyma. Mała księżniczka podobała jej się, a jednak, jednocześnie odpychała od siebie swem zachowaniem się.

Łagodna i posłuszna Oleńka nie mogła pojąć swawolnego i nieco dzikiego usposobienia małej księżniczki.

Myślała wciąż jeszcze o nieposkromionej dziewczynce, gdy ta stanęła na progu pokoju i patrząc tryumfującemi oczyma, bez śladu poprzedniego gniewu na pannę Zofję oznajmiła wesoło:

— Tatusz pozwolił. Możemy we dwójkę zjeść obiad w bawialni. Wieczorem zaś pojedziemy do teatru „Rozrywek”.

Oleńka przeżywała tego dnia wspaniały sen na jawie.

Ślicznie umeblowane, pałacowe niemal pokoje, cztery pokoje, stanowiące własność księżniczki Ali, jej drogie książki z obrazkami, wreszcie doskonały obiad podany w bawialni — wszystko to było czemś niezmiernie zajmującym i niezwykle dla biednej, małej dziewczynki, która wychowywała się w ciągłej biedzie.

Po zjedzeniu wyjątkowo smacznego deseru dzieci bawiły się jeszcze dosyć długo.

— A teraz trzeba się ubrać, Alu — zawołała przed wieczorem panna Zofja.

Alę ubrano w białą sukienkę, w której dziewczynka wyglądała jak porcelanowa lalka.

Oleńka nosiła swoją skromną, wełnianą sukienkę, którą jej uszyła domowa krawcowa. Różnica w ubiorze dziewczynek była olbrzymia i odrazu zwracała uwagę.

A jednak skromna, mała dziewczynka z cyrku wyglądała dzięki swej łagodnej, ślicznej twarzyczce ładniej i sympatyczniej, niż wystrojona księżniczka.

Rozdział XVI.

PRZESTRACH ANNY. — RATUNEK.

— Spójrz, mamó?

— Gdzie?

— Zobacz, ta wstrętna dziewczyna siedzi w łożu Olusi.

— Jaka dziewczyna?

— No ta, wstrętna Oleńka.

— W łożu Olusi? Nie rozumiem.

— Mówię przecież wyraźnie, spójrz, mamó na łożę.

— Gdzie? Gdzie?

— O tam, wprost.

— O, Boże!

— Widzisz, przedostała się do książęcej rodziny. Pewnie to ona podarowała jej ten pierścionek i listy do niej pisuje.

— Jaki pierścionek, jakie listy?

— Mówię ci przecież, mamó, że nasza Olusia, Ala teraz niby, pisze do tej Oleńki.

— Co takiego?

czy. — A tak, listy pisze, pierścionek jej przysłała,

Twarz Anny Czernikowej pokryła się przy tych słowach śmiertelną bladością.

— Co ty wygadujesz, synku? Przecież to niemożliwe.

— A jakże, niemożliwe. Wiem przecież dobrze co się dzieje w teatrze.

Anna siedziała wraz z synem na galerji teatru „Rozrywek”, gdyż Nils był wolny tego wieczoru i przyprowadził matkę na przedstawienie, by zabawiła się trochę.

— Co ty mówisz, synku? — powtórzyła kobieta — czyżby dowprawdy ta smarkata dostała się do domu księcia?

— Naturalnie. Przecież pierwszego zaraz dnia nasza Olusia, to jest Ala niby, rzuciła jej pudełko czekoladek. Także zwarzowała dziewczyna.

— Przecież ona nic nie wie. To nie jej wina.

— Ciszej, mamó, jeszcze kto usłyszy.

Nils obejrzał się wokoło i niezadowolony przygryzł usta.

Należało rzeczywiście uważać. Przed nimi siedział jakiś starzec w niebieskich okularach o długiej siwej brodzie. Wyglądał na rzemieślnika, lub drobnego kupca.

Przez cały czas przysłuchiwał się uważnie rozmowie, starając się nie opuścić ani jednego słowa.

Gdyby Anna Czernik i Nils zwrócili na niego uwagę dostrzegliby wówczas napewno, że starzec, siedzący przed nimi jest także niezmiernie zainteresowany lożą, w której siedziała Oleńka razem z Alą i z panną Zofją.

Oczy starca patrzyły przez cały czas uporczywie na dziewczynkę.

— Tak, to ona — powtarzał sobie w myśli i twarz jego przybrała złowieszczy, ponury wyraz.

Jednocześnie słuchał rozmowy matki z synem, domyśliwszy się, że mówią również o dziewczynce z loży.

Anna Czernik siedziała jak na szpilkach.

— Nilsie, co my teraz zrobimy?

— Nie wiem doprawdy.

— Pocośmy przyprowadzili tu tę dziewczynę?

— Nie było przecież wtedy innego wyjścia.

Twarz Anny czerwieniła się i bladła naprzemian. Nie mogła złapać tchu ze zdenerwowania i nie patrzyła nawet na scenę gdzie właśnie występowali akrobaci Henryk i Piotr.

Cała jej uwaga pochłonięta była Oleńką, która rozmawiała swobodnie z Alą, nie czując wcale tego płonącego, niespokojnego wzroku.

— Zgubi nas ta dziewczyna, napewno zgubi, jeżeli pozostanie tu jeszcze kilka dni — powiedziała głośno.

— Ależ, mamó.

Lecz zrozpaczona Anna nie myślała o niczem innem.

— Tak, zniszczy nas napewno.

Nils przerażony złapał ją za rękę i wycedził przez zęby.

— Mamó, na miłość boską jeszcze nas kto usłyszy.

Twarz Nilsa była tak samo przestraszona jak twarz matki.

Ach, oddałabym pół życia, gdyby się udało wysłać tę dziewczynę natychmiast, gdzieś daleko — jęknęła drżąc cała Anna i w rozpacz załamała ręce, nie będąc w stanie się opanować.

Na szczęście miejsca obok nich nie były zajęte. Jedyne starzec w ciemnych okularach, siedzący przed nimi, słyszał każde słowo tej rozmowy.

— Co zrobimy, Nilsie, co zrobimy?—szeptała Anna.

— Zobaczymy, mamó, zobaczymy.

— Ale nie mamy czasu.

— Coś się wymyśli. Przyjdę do ciebie, pomówimy.

Tymczasem na scenie skończył się ostatni akt przedstawienia.

— Już? — zdziwiła się Anna — nie zauważyłam wcale.

Publiczność wesoło i głośno wstawiała ze swoich miejsc.

W łóży Ala żegnała się serdecznie z Oleńką. Obie dziewczynki pocałowały się i jeszcze coś ze sobą mówiły.

Słów dziewczynek nie było słyhać, lecz ich czułe pożegnanie jeszcze bardziej zaniepokoiło matkę i syna.

— Jeszcze dwa, trzy takie spotkania i będziemy zgubieni.

— Może nie spotkają się więcej — próbował uspokoić matkę Nils.

— A jakże, widzisz przecież, że zaprzyjaźniły się na dobre.

— To prawda.

— A książę napewno będzie chciał wiedzieć z kim przyjaźni się jego córka i w ten sposób może dowiedzieć się wszystkiego.

— Trzeba ją stąd w takim razie wyrzucić.

— Tak i jaknajprędzej. Nie możemy czekać aż do wyjazdu mister Billa.

Nie wiedząc co robi i co mówi Anna pożegnała pośpiesznie syna. Nils bowiem od kilku tygodni również mieszkał w „dużym domu” dyrektora i tylko przychodził do matki z wizytą.

— Przyjdź, Nilsie, jutro do mnie.

— Przyjdę napewno.

— Przyjdź koniecznie. Musimy o tem pomówić.

Anna była tak przejęta i tak wzruszona swemi myślami, że zapomniała o olbrzymiej przestrzeni jaka dzieliła teatr od ich mieszkania i poszła pieszo.

Szła utykając, drżąc cała, machinalnie skręcając w właściwe ulice.

Gdyby Anna nie była tak bardzo pochłonięta swoim

lękiem, wówczas zauważyłaby zapewne, że w mroku wiosennej nocy ktoś szedł za nią przez cały czas.

Tym kimś był siedzący przed nią starzec w ciemnych okularach.

Pomimo siwej brody starzec ten szedł lekkim, niemal młodzieńczym krokiem i bystro rozglądał się wokoło siebie.

Gdy Anna dostała się wreszcie na drugą stronę rzeki i szła wąską, ciasną ulicą, na której znajdował się szereg niskich, ubogich domków, wówczas nieznamy przyspieszył nagle kroku i w ciągu kilku minut dogonił ją.

— Niech pani się zatrzyma — powiedział zachrypniętym głosem, łapiąc ją za rękę.

Anna zatrzymała się przerażona, widząc przed sobą nagle obcego człowieka.

— Co pan chce?

— Niech pani nie krzyczy.

— Proszę mnie puścić.

— Nie zrobię pani nic złego. Niech pani nie krzyczy.

— Ale...

— Nie pozwalam krzyczeć, słyszy pani — powiedział groźnie dziwny starzec, widząc że Anna otwiera usta, aby zawołać o pomoc.

— Powtarzam, nie zrobię nic złego, przeciwnie pomogę pani.

— Co pan chce odemnie?

— Słyszałem pani rozmowę z synem w teatrze.

— Ach!

— Tak. Wiem, że pani chce pozbyć się tej dziewczynki, która siedziała w łoży, prawda?

— Tak — powiedziała zupełnie machinalnie Anna, która czuła jak uginają się pod nią nogi ze strachu.

— Ta dziewczynka jest mi potrzebna — powiedział znów nieznajomy.

— Potrzebna jest panu?

— Tak, więcej nawet, jest mi niezbędna.

— Poco?

— Potrzebna mi, abym mógł żyć spokojnie i bezpiecznie — mówił nieznajomy zachrypniętym, ale zupełnie młodym i silnym głosem.

— Co pan chcesz z nią zrobić?

— Zabiorę ją ze sobą.

— Dokąd?

— O, daleko.

— Na długo?

— Na długo, może na zawsze, daleko na kresy.

— Czy pan jest jej krewnym? — zapytała Anna — odzyskując nieco pewność siebie.

— Tak. Jestem jej dziadkiem.

— Dziadkiem? — krzyknęła zdumiona kobieta.

— Tak, dziadkiem.

— Jak się pan nazywa?

— Nazywam się Michał Karniszyn — odpowiedział spokojnie zachrypnięty głos — jestem myśliwym z dalekiej puszczy.

— Ach — krzyknęła przerażona Anna i uczyniła taki ruch, jakby miała upaść.

— Co się pani stało?

Anna starała się uspokoić. Imię i nazwisko wypowiedziane przez nieznajomego należały przecież do jej nieżyjącego ojca. Michał Karniszyn był właśnie tym samym dziadziusem Michałem, który wychowywał Oleńkę, i który umarł w puszczy.

Anna zrozumiała natychmiast, że człowiek który stoi przed nią i przywłaszczył sobie nazwisko jej zmarłego ojca, jest napewno oszustem.

— Co się pani stało? — zapytał zdumiony, widząc wzruszenie Anny.

Anna nie była w stanie odrazu odpowiedzieć.

Wówczas nieznajomy sam się zaniepokoił.

— Czy pani zna może podobne nazwisko?

— Michał Karniszyn to przecież mój ojciec.

— Ach!

— On umarł — dodała kobieta.

Nieznajomy zmieszał się. Ale zmieszanie to trwało tylko chwilę. Potem spojrzał na kobietę śmiało i powiedział:

— Tak... ma pani słuszość, powiedziałem nieprawdę. Ale to nie zmienia wcale naszej sprawy.

— Dlaczego pan się podaje za mego ojca?

— Bo mam w kieszeni jego paszport i papiery.

— Skąd je pan ma?

— Znalazłem je w kieszeni tego starca, którego znaleźliśmy w puszczy i którego tam pochowaliśmy.

— Pan znalazł mego ojca? — zapytała drżącym głosem Anna.

— Tak, ja, ojciec i brat znaleźliśmy go zamrożonego w puszczy. Wziąłem jego papiery i paszport bo własnego nie mam.

— Ach, więc pan jest... — zaczęła z lękiem Anna.

— Byłem wtrącony niewinnie przez złych ludzi do więzienia. Udało nam się zbiec, posądzono nas o przestępstwo, którego nie popełniliśmy. Jakiś czas żyliśmy spokojnie, a potem brat i ojciec znowu wpadli w ręce policji. Ja wymknąłem się i dałem sobie radę właśnie dzięki temu paszportowi.

— Ach, tak.

— Mogę teraz już dać sobie radę. Abyem zaś mógł żyć zupełnie spokojnie muszę mieć tę dziewczynkę, która przekona niektórych ludzi, że jestem naprawdę jej dziadkiem. Dlatego potrzebna mi ta mała, którą pani

nazywa Oleńką. Szukałem jej wszędzie i myślałem, że jej nie znajdę. Dopiero tu, przypadkowo ją zobaczyłem.

— Co pan chce z nią zrobić?

— Nic złego. Ta mała musi mówić, że jestem jej dziadkiem, a wtedy wszyscy będą mi wierzyć. Nic więcej.

— Ale czy pan mówi prawdę? Czy mój ojciec naprawdę umarł?

— Umarł i jest pochowany. Pocóż miałbym pani kłamać? Ale nie o to chodzi. Pani musi mi pomóc.

— W czym?

— Wyjeżdżam za kilka dni. Oleńka jest mi potrzebna. Musi pojechać ze mną.

Z nią łatwiej mi będzie dostać się w tamte strony. Dlatego chcę aby pani mi pomogła.

— Ale w czym?

— Wiem, że pani chce się jej pozbyć. Tylko niech pani pamięta o jednym. Wszystko o czym tu mówimy musi pozostać na zawsze w tajemnicy. W przeciwnym razie mogłoby się pani wydarzyć coś złego, gdyby tajemnica została wydana — zakończył tak złowieszczym tonem, że Anna zadrżała znowu cała.

Nastąpiło milczenie. Ukrywszy niepokój Anna zapytała nieśmiało.

— Więc co mam zrobić?

— Przyprowadzić do mnie dziewczynę.

— Nie będzie chciała przyjść.

— To nic trudnego. Niech jej pani powie, że jej dziadek żyje, że tylko zginął wtedy bez wieści i że ją oszukiwali ludzie w lesie, mówiąc, że nie żyje.

— Nie uwierzy.

— Uwierzy napewno. Głupia dziewczyna da się na to nabrać i pojedzie wtedy z panią chętnie.

— A co będzie potem?

— W pierwszej chwili pomyśli, że naprawdę jej dziadek

a potem już dam sobie z nią radę. Gdy zrozumie będzie już w moich rękach.

Nieznajomy umilkł i czekał na odpowiedź.

Anna nie wiedziała co począć. W duszy jej rozgrywała się walka. Domyślała się, że nieznajomy jest oszustem, przestępcą i nie chciała w takie ręce oddawać niewinnego dziecka, zwłaszcza, że dziecko to było ukochane przez jej ojca.

Jednocześnie jednak pobyt dziewczynki w mieście i przyjaźń z Alą mogły wywołać nieprzewidziane skutki. Groziło to prawdziwem niebezpieczeństwem, prawda mogła w ten sposób wydostać się na jaw i wtedy niewiadomo co byłoby z Anną i z jej dziećmi.

Myśląc o niebezpieczeństwie, które groziło jej dzieciom, Anna zdecydowała się.

Należało oddać Oleńkę. Trudno! Los jej własnych dzieci był przecież ważniejszy od losu obcej sierotki.

Opanowawszy ostatnie oznaki wzruszenia Anna zapytała:

— A gdzie przyprowadzić dziecko?

— Mieszkam w hotelu Adria. Będę tam oczekiwał panią jutro wieczorem.

— Dobrze.

— Napewno?

— Napewno. Przyprowadzę jutro dziecko do pana. Ale musi mi pan obiecać, że będzie się pan z nią dobrze obchodził.

— Naturalnie — odpowiedział nieznajomy ze złe ukrytem szyderstwem w głosie — Wnuczka pani ojca będzie się u mnie czuła jak księżniczka. Niech pani tylko pamięta o jednym.

— O czym?

— Aby o naszej rozmowie nikt się nie dowiedział. W przeciwnym razie nie chciałbym się znajdować w skó-

rze pani, lub tej dziewczyny. A więc, dowidzenia. Jutro będę czekał.

I zanim Anna zdążyła odpowiedzieć nieznajomy już znikł.

Rozdział XVII.

R A D O S N A N O W I N A .

Było to w przeddzień przedstawienia nowej sztuki p. t. „Chrześcijanka i lwy”.

Mister Bill zdecydował, że Oleńka musi dobrze odpocząć przed przedstawieniem i dlatego pozwolił jej tego dnia nie jechać do teatru i nie występować.

Dlatego też Oleńka wraz z Elą, która także była tego wieczoru wolna, miała pozostać w domu i wcześniej położyć się spać.

O ósmej wieczorem wszyscy mieszkańcy „Dużego domu” udali się już do teatru.

Andrzej pojechał również ze wszystkimi. Jak zwykle przyszedł się pożegnać z dziewczynką i zdziwił się bardzo, widząc, że twarz Oleńki ma bardzo smutny wyraz tego wieczoru.

— Co ci jest, Olu? — zapytał zmartwiony.

— Nic, nic.

— Czy stało ci się coś złego?

— Nie, doprawdy nic mi się nie stało. Tak jakoś, jestem nie w humorze.

— Zapewne nasza księżniczka nie może się odzwyczaić od tych wszystkich wspaniałości, które wczoraj raczyła oglądać — odezwał się z przekąsem Nils, który zjawił się nagle jak z pod ziemi.

Andrzej spojrzał na niego tak poważnie i z taką groźbą ściągnął gniewnie swoje gęste brwi, że Nils od razu stracił jakoś ochotę do dalszych żartów.

— Słuchaj, Elo — zatrzymał Andrzej przechodzącą murzynkę — zaopiekuj się Oleńką i rozwesel ją trochę. Dobrze?

Chłopiec ruchami wytłomaczył jej swoje słowa. Ela zrozumiała go, kiwnęła potakująco kędzierzawą głową i błysnęła zębami w wesołym uśmiechu.

— Pobaw się z nią przez czas, gdy będę w teatrze — dodał Andrzej.

— Tak, tak — mruknęła Ela.

— Nie martw się, Oleńko, wiesz, że nic złego przy mnie ci się nie stanie — szepnął Andrzej, całując dziewczynkę.

— Tak mi jakoś smutno — szepnęła Oleńka.

— Wrócę niedługo, porozmawiamy o wszystkim.

Andrzej pojechał do teatru, Ela zaś i Oleńka zostały same.

Ela postanowiła natychmiast wypełnić daną obietnicę. Ahy rozwiać smutek, goszczący na twarzy „panienki” pokazała jej wszystkie swoje sztuczki po kolei.

Gięła więc w ręku monety, podnosiła ciężary, chodziła na rękach, stawiała na głowie.

Nic to jednak nie pomagało. Oleńka była wciąż smutna.

Smutek dziewczynki miał swoją przyczynę.

Oto tej nocy dziewczynka widziała we śnie swego zmarłego dziadka i od tej chwili tęsknota za dobrym starcem wypełniła jej serce. Oleńka przez cały dzień przypominała sobie swoje dzieciństwo spędzone z nim razem. Przypominała sobie jaki był dla niej zawsze dobry, jak troskliwie dbał o wszystkie jej potrzeby, jak się nią opiekował, bawił i uczył.

Nic dziwnego więc, że pod wpływem tych wspo-

mniej i świadomości, że nie zobaczy już nigdy ukochanego dziadziusia, twarz dziewczynki była przez cały dzień smutna.

Ela czuła się zmartwioną. Jej sztuczki nic a nic nie pomagały, a przecież chciała koniecznie rozweselić swą małą przyjaciółkę. Wymyśliła już nową sztukę, która jak sądziła powinna była napewno rozbawić dziewczynkę, gdy nagle w przedpokoju rozległ się dźwięk dzwonka,

— Kto to być może — zdziwiła się Oleńka a twarz Eli również wyrażała zdziwienie.

— Może ktoś przyszedł z wizytą — pomyślała dziewczynka.

Na wizyty było jednak zbyt późno. Może raczej powrócił ktoś z teatru.

Po chwili służąca weszła do pokoju i powiedziała Oleńce, że pani Czernikowa czeka na nią w saloniku.

Dziewczynka poczuła zdumienie. Od chwili bowiem, gdy przyjechała do miasta i gdy potem Nils przyprowadził ją i Andrzeja do teatru dziewczynka nie widziała ani razu Anny Czernikowej.

Dlatego też odwiedziny te wydały jej się dosyć dziwne. Jeszcze bardziej zaś zdziwił dziewczynkę uprzejmy i radosny wyraz twarzy Anny. Pamiętała przecież dobrze tę twarz wykrzywioną grymasem gniewu i złości.

— Dobrywieczór, Oleńko — powiedziała jaknajserdeczniej przewrotna kobieta.

— Dobrywieczór — powiedziała dziewczynka, kłaniając się.

Ogromne zakłopotanie sprawił jej niespodziewany pocałunek Anny, która tymczasem mówiła w dalszym ciągu:

— Jak się masz, drogie dziecko?

— Dziękuję pani, bardzo dobrze.

— Czy ci się tu dobrze powodzi?

— Tak, proszę pani.

— Mówił mi Nils, że masz powodzenie, że ci się dobrze dzieje.

— Wszyscy prawie są tu dla mnie bardzo dobrzy— odpowiedziała Oleńka cicho, myśląc o tem, że Nils nie należał wcale do tych wszystkich.

— A ja mam dla ciebie radosną wiadomość — powiedziała Anna.

— Jaką wiadomość?

Zapanowało chwilowe milczenie. Anna spojrzała uważnie na dziecko i po dłuższej przerwie zapytała, starając się mówić jaknajserdeczniej i łagodnie:

— A cobyś powiedziała, dziecko, gdyby twój dziadzius, którego uważasz za umarłego, nie umarł wcale a okazał się żywy.

Oleńka drgnęła i otworzyła szeroko błękitne oczy:

— To niemożliwe.

— Widziałaś go nieżywego.

— Mój biedny dziadzius umarł w puszczy — powiedziała dziewczynka cicho.

— Widziałaś jego grób? — zapytała Czernikowa.

— Nie, nie.

— A więc?

— Widziałam go tylko na śniegu.

Oleńka przypomniała sobie tę straszną chwilę, gdy dziadzius upadł z głośnym jękiem.

— Potem nie widziałam go więcej — powiedziała.

— Nie widziałaś go?

— Nie, mój dziadzius umarł, mój dziadzius umarł— rozplakała się dziewczynka, przeżywając w wyobraźni raz jeszcze strasliwą chwilę.

Anna objęła szybko dziewczynkę i szepnęła jej do ucha.

— Nie płacz, nie płacz kochanie.

— Czy pani wie coś o dziadziusiu?

— Tak, dziadzius żyje.

- To niemożliwe.
- Żyje, udało się go uratować, ocucić.
- Dziadzius żyje...
- Tak... Był ciężko chory.
- Mój dziadzius żyje?
- Tak, wyleczył się.
- Gdzie on jest?
- Przyjechał tu i oczekuje cię.

W miarę gdy Anna mówiła lzy Oleńki przestawały płynąć. Ogromne jej oczy otworzyły się jeszcze bardziej. Zabłyśła w nich nieśmiała, niepewna radość.

Złapała rękę Czernikowej i sama nie widząc co robi ścisnęła ją z całej siły, mówiąc bez związku:

- Mój dziadzius żyje?
- Tak, dziecko.
- Żyje mój najdroższy.
- Żyje.
- Niech go pani tu przyprowadzi.
- Dziadzius nie może tu przyjść.
- Dlaczego?
- Nie może bo...

— Niech mnie pani nie męczy, ja muszę przecież zaraz zobaczyć dziadziusia.

— Dziadzius nie może przyjść, bo go zmęczyła podróż. Zamieszkał w hotelu.

- A kiedy mnie zobaczy?
- Czeka na nas.
- Więc chodźmy do niego.
- Tak, chodźmy, Oleńko.
- Chodźmy, chodźmy jaknajprędzej.

Oleńka nieprzytomna ze szczęścia rzuciła się na szyję Anny, płacząc i śmiejąc się jednocześnie i obsypując jej twarz pocałunkami.

- Dziadzius żyje!
- Choź, Oleńko.

— Dziadziuś żyje, żyje mój najdroższy, mój ukochany — szeptała dziewczynka.

Anna czuła się bardzo nieswojo wobec tych wybuchów wzruszonego dziecka.

Chciała jaknajszybciej przerwać tę scenę. Namawiała więc serdecznie Oleńkę, aby się uspokoiła, zaprowadziła ją do przedpokoju, pomogła jej się ubrać.

Potem zawiadomiła pokojówkę, że do Oleńki przyjechali krewni, więc dziewczynka wychodzi na pół godziny, aby ich zobaczyć i wyszła bez żadnych przeszkód z dziewczynką na ulicę.

Na ulicy wsiadła wraz z dziewczynką do dorożki i kazała dorożkarzowi jechać jaknajszybciej.

Ulice, domy, sklepy, wszystko to migało przed oczyma niemal nieprzytomnej ze szczęścia dziewczynki.

Serce Oleńki biło z całej siły. Szalona radość wypełniała je całkowicie.

— Dziadziuś żyje! — powtarzała.

Dziadziuś jest tutaj! Czeka na nią.

— Ach, jedźmy prędzej — prosiła co chwila.

— Takbym już chciała przyjechać do tego hotelu.

Oleńka nie zauważyła wcale jaką drogą jechały. O przytomniała nieco dopiero wtedy, gdy dorożkarz zatrzymał się przed bramą małego, brudnego hoteliku.

— Chodź za mną — powiedziała ze zdenerwowaniem Anna.

Weszły do hotelu na drugie piętro kręconemi, drewnianemi schodami.

— Do kogo panie idą? — zapytał portjer.

— Do pana Michała Karniszyna.

— Ostatnie drzwi w korytarzu.

Portjer wskazał ręką drzwi.

— Tak, to tu.

Anna zawahała się przez chwilę. Potem powiedziała.

— Idź prędko do dziadziusia.

— A pani?

— Ja już widziałam ojca. Nie chcę wam przeszkadzać w przywitaniu się.

— Dobrze, biegnę.

— Przyjdę za chwilę -- dodała Anna i rozmyślnie zwolniła kroku.

Oleńka nie dała sobie powtórzyć dwa razy polecenia. Pobiegła szybko naprzód.

Sama nie widząc co się z nią dzieje zatrzymała się przed drzwiami pokoju, mieszczącego się na końcu korytarza.

Wzruszona, zdyszana i szczęśliwa szarpnęła klamką i już po chwili znalazła się w szeroko rozwartych ramionach, stojącego w pokoju, starca.

Teraz Oleńka zachowywała się jak szalona.

Objęła rękami jego szyję, całowała siwą brodę, białe włosy, które wyglądały zupełnie tak samo jak włosy jej dziadziusia, całowała jego twarz. A jednocześnie z oczu jej płynęły przez cały czas łzy, łzy radości i szczęścia.

Dziewczynka powtarzała szeptem wciąż jedno zdanie.

— Dziadziusiu, najdroższy mój dziadziusiu.

Rozdział XVII

T O N I E O N.

— Cha, cha, cha. Już dosyć tego dobrego moja wnuczko.

Ordynarny głos i śmiech zupełnie niepodobny do śmiechu i głosu dziadziusia wywołały w Oleńce dreszcz trwogi.

— Uspokój się. Dosyć już wycelowaliśmy się chyba?

Dziewczynka krzyknęła i coinęła się ku drzwiom.

Lecz starzec, jakby przewidując to, uprzedził dziewczynkę i zanim dosięgła drzwi szybkim ruchem zamknął je i przekręcił klucz w zamku.

— Usiądź tu teraz i posłuchaj co ci powiem.

Twarz Oleńki pokryła się śmiertelną bladością. W oczach odzwierciadliło się przerażenie.

— Coś tak odskoczyła?

Dziewczynka teraz dopiero spostrzegła, że stoi przed nią nie jej ukochany dziadzius a ktoś, posiadający tylko taką samą brodę i okulary. Człowiek ten wydawał się dziewczynce znajomy.

— Posłuchaj uważnie — powtórzył mężczyzna i roześmiał się chrapliwym głosem.

Dziewczynka drgnęła. Poznała ten głos. Znajdował się przed nią starszy syn okrutnego starca w lesie Jan Ząb.

— A coś tak odskoczyła odemnie? Co, poznałaś mnie po głosie, kochaneczko?

Dziewczynka milczała przerażona.

— Poznałaś dawnego znajomego? — pytał Jan Ząb. Oleńka, machinalnie, nie wiedząc sama co robi, skinęła potakująco głową.

— No, to dobrze, posłuchaj mnie teraz uważnie. Będziesz słuchać?

— Będę — odpowiedziała ledwo dosłyszalnym głosem.

— Jesteś w moich rękach. Mogę z tobą zrobić co zechcę. Rozumiesz?

— Tak — szepnęło dziecko.

— Jeżeli jednak będziesz posłuszna to wybaczę ci nawet to, co zrobiłaś wtedy, sprowadzając z Andrzejem policję nam do chaty. Słyszysz, co mówię?

— Słyszę.

— Nie trzęś się tak cała. Nie robię ci przecież nic złego. Chcę od ciebie tylko tyle, abyś mnie od dzisiaj uważała wobec wszystkich za swego dziadka.

— Rozumiesz?

— Co takiego?

— Jestem od teraz twoim dziadkiem Michałem Karniszynem. Słyszysz, zrozumiałaś?

— Tak, ale...

— Niema żadnych ale. Tak ma być jak mówię. Zabiorę cię ze sobą.

— Dokąd?

— Daleko. Będziemy ze sobą razem aż do chwili, gdy uda mi się uwolnić z więzienia mego ojca i brata. Potem będziesz mogła iść sobie gdzie ci się spodoba, naturalnie wtedy tylko, jeżeli przez cały czas będziesz grzeczna i posłuszna. Zrozumiałaś mnie?

Oleńka słuchała z rozwartemi szeroko oczyma i z przerażoną twarzą.

— Pan jest Janem Zębem, Janem Zębem — krzyknęła nagle przestraszonym głosem.

— Tak, naturalnie, że jestem Janem Zębem.

Oleńka teraz jakgdyby zdała sobie z tego sprawę, że stoi przed nią leśny włóczęga, najgorszy jej wróg.

Dziewczynka zadrżała cała.

Jan Ząb widział dobrze wrażenie, jakie wywarł na Oleńce i chcąc ją trochę ośmielić powiedział starając się złagodzić ton głosu.

— Nie bój się, głupia.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała.

— Nie bój się. Mówię ci przecież. Będzie ci dobrze jak w raju, będę cię traktował jak rodzoną córkę, musisz mnie tylko uznać za swego dziadka wobec ludzi.

— Za dziadziusia?

— No tak. Co ci to szkodzi, głuptasie. Zgodzisz się, będziesz posłuszna i wszystko świetnie pójdzie. No, zgadzasz się?

Oleńka milczała.

Zniecierpliwiony Ząb potrząsnął jej ręką.

— Mów, przecież...

Coś dziwnego stało się w tej chwili z Oleńką. Zdawać by się mogło, że dopiero w tej chwili pojęła czego żądano od niej...

I nagle, niewiadomo dlaczego dziewczynka poczuła, że przestała się obawiać.

Lęk znikł podczas ostatnich słów Zęba.

— Jakto, tego niegodziwca ma uznać za dziadka, za zmarłego dziadziusia, tego oszusta, który ją tak szkaradnie, tak bezlitośnie oszukał przed chwilą.

— Nigdy w życiu! Za nic na świecie! Nie uczyni tego. Raczej niech ją zabije ten oszust.

I nie wiedząc co się z nią dzieje, czując tylko, że w ten sposób staje jakgdyby w obronie swego ukochane-

go dziadka — oburzona, rozgniewana i jednocześnie roz-
żalona dziewczynka krzyknęła głośno.

— Nigdy tego nie zrobię. Nigdy.

— Co takiego?

— Nie zrobię nic takiego. Za nic na świecie.

— Co ty wygadujesz?

— Nie powiem tego. Za żadne skarby świata.

— Acha, to taka jesteś. No, to nie zdziw się, dzie-
cinko, temu co się stanie — zawołał z wściekłością Ząb
i zanim dziewczynka zdążyła krzyknąć, zawołać o pomoc,
złapał ją z całej siły i wpakował w usta jakiś gałganek.

Potem rzucił ją na kanapę i sznurem związał ręce
i nogi. Pochylił się nad nią i mówił ze złością:

— Posłuchaj, wstrętna dziewczyno. Mogłaś być szczę-
śliwą... mogłaś być moją jakby córką, wnuczką praw-
dziwą... a teraz, teraz zobaczysz co cię czeka.

Ząb przerwał, gdyż zbyt wielka wściekłość nie dawała
mu mówić, lecz po chwili już ciągnął dalej:

— Poczekaj, zobaczysz.

Poprawił sznury, któremi związał dziewczynkę.

— Pojedziesz jednak ze mną. Dlatego szukałem cię
wszędzie. Nie wypuszczę cię tak łatwo z moich rąk.

Spojrzał na dziewczynkę, lecz oczy Oleńki, cho-
ciaż zalane łzami, wyrażały jednak poprzednią stanow-
czość.

— Potrzebna mi jesteś. Ale gdybyś jechała ze mną
dobrowolnie to by ci było jak w raju, a teraz pożału-
jesz swego zachowania gorzko. Zapamiętasz sobie Jana
Zęba i jego ciężką rękę. Zapamiętasz.

Dławiąc się złością Jan Ząb powtarzał:

— Zapamiętasz. Nie bój się. Nauczę cię tak, że
będziesz pamiętała przez całe życie.

Jan Ząb odwrócił się i włożył kapelusz na głowę.

Tymczasem poleż sobie w samotności i dobrze po-
myśl sobie o wszystkim.

I błysnąwszy groźnie oczyma pogroził dziewczynce pięścią.

Potem zbliżył się do drzwi.

—Namyśl się dobrze—powtórzył, stojąc już na progu — bo gdy wrócę, inaczej będziemy ze sobą rozmawiali.

I Jan Ząb wyszedł, zamykając drzwi na klucz i biorąc klucz ze sobą.

Związana, dusząca się niemal Oleńka leżała teraz zupełnie bezwładnie, nie mając siły nawet do płaczu.

Rozdział XIX.

Z N O W U Z A B. — R O Z P A C Z. NIESPODZIEWANA POMOC.

Oleńka czuła się z każdą chwilą gorzej. Sznurki wrzynały się w ciało. Szmataka wsunięta w usta przeszkadzała jej oddychać. Dziewczynka dusiła się niemal.

Teraz dziewczynka czuła nie poprzednie przerażenie a niezmierny smutek.

Dziewczynka pragnęła tylko jednego. To co się miało z nią stać niechby się stało już, natychmiast, zaraz.

Mijały straszliwe chwile, może nawet godziny, bo Oleńka nie zdawała sobie sprawy z tego, ile czasu minęło, gdy nagle usłyszała szybkie kroki na korytarzu i ktoś zbliżywszy się do drzwi przekręcił klucz w zamku.

W ciemności, która panowała w pokoju Oleńka zobaczyła Zęba. Ząb był straszny.

Oczy jego pałały wściekłością. Twarz drgała. Czuł, było od niego wódkę i ledwo trzymał się na nogach.

Niepewnym, wolnym krokiem podszedł do Oleńki i chwyciwszy ją, postawił przed sobą.

— No i co, pomyślałaś, namyśliłaś się? Chcesz czy nie chcesz, a musisz tak zrobić jak ci każę — powiedział grubijańskim tonem i potrząsnął dziewczynką.

Oleńka, gdyby nawet chciała mu odpowiedzieć to nie mogłaby, gdyż szmatka wetknięta w usta dziewczynki nie pozwalała jej otworzyć ust.

Widząc to Ząb wyjął szmatkę.

— No, odpowiadaj teraz, zrobisz co ci każę a jeżeli nie, to źle z tobą będzie — powiedział.

Oleńka milczała. Tylko jej małe serduszko biło z całej siły.

— Ach, więc nie chcesz mówić — krzyknął Ząb i odepchnął od siebie dziecko, ale tak mocno, że Oleńka potoczyła się o kilka kroków i upadła na podłogę.

Włóczęga w jednej chwili znalazł się przy niej. Zacisnął ogromną pięść i podniósł ją nad Oleńką.

Przerażenie i rozpacz zmusiły Oleńkę do wydobycia ostatkiem sił głosu.

— Na pomoc — krzyknęła jak mogła najgłośniej.

— W tej samej chwili drzwi zatrzeszczały głucho, potem otworzyły się i czarna jak heban postać zjawiała się na progu pokoju.

— Ela — krzyknęła Oleńka słabym głosem.

— Tak, tak. Ela tu, panienko — zagrzmiała murrzynka i z niehumanym, dzikim krzykiem rzuciła się na Zęba.

Ząb, nie oczekujący niczego podobnego, oniemiał z przerażenia widząc przed sobą czarną twarz, błyszczące oczy i białe wyszczerzone zęby.

Korzystając z jego zmieszania murzynka rzuciła włóczęgę na ziemię i szybko zerwała prześcieradło z łóżka, związała nim ręce i nogi pijanego Zęba. Potem, nie tracąc ani chwili czasu rozwiązała sznury krępujące Oleńkę, wzięła ją na ręce i otworzywszy drzwi na korytarz krzyknęła swoim silnym, gardlanym głosem wzywając pomocy.

Minęło kilka chwil i powstało ogólne zamieszanie w korytarzu. Służba, portjer i jeszcze jacyś ludzie zaspiani i przestraszeni znaleźli się w pokoju zajmowanym przez Zęba. Z przerażeniem patrzyli na związanego gościa, na drżącą, jasnowłosą dziewczynkę, na czarną murzynkę, która niewiedomo jakim sposobem się tu znalazła.

Tymczasem Oleńka, ośmielona obecnością swej czarnej przyjaciółki, stała już w tłumie ludzi i blada, wzruszona, drżącym głosem mówiła:

— To nie jest mój dziadzius... Nie, nie, oni mnie oszukali... To bandyta, przestępca. On uciekł z więzienia. To bardzo zły człowiek. Chciał wtedy w puszczy zabić jednego właściciela majątku i Andrzeja... i mnie także... a teraz chciał, abym mówiła wszystkim, że jest moim dziadziusem. Ale mój dziadzius umarł... a to... to jest... oszust... Ja się go boję... ja się go boję... to nie jest mój dziadzius, nie, nie — jęczała biedna dziewczynka, ledwo stojąc ze wzruszenia.

Tymczasem Ząb napróżno starał się oswobodzić i groził głośno Oleńce i całemu światu.

Wkrótce nadeszła policja, po którą posłał właściciel hotelu. Oleńka zaś musiała szczegółowo opowiedzieć o wszystkim. Potem Oleńkę, Elę i związanego Zęba zaprowadzono do komisariatu, gdzie należało wyjaśnić wszystko co zaszło.

Lecz teraz Oleńka nie obawiała się już wcale. Jej czarna przyjaciółka była z nią razem.

Rozdział XX.

E L A D Z I A Ł A.

Podczas rozmowy w salonie Anny Czernik z Oleńką murzynka Ela, niezauważona przez nikogo, znajdowała się w drugim pokoju, tuż przy drzwiach.

Coprawda nie rozumiała ona ani słowa z tego co mówiła matka Nilsa, lecz płacz Oleńki, jej wzruszony głos, który brzmiał chwilami wesoło to znów bardzo smutno — wszystko to naprowadziło murzynkę na jakieś niewyraźne podejrzenia.

Wiedziała ona tak samo jak wszyscy w trupie, że Nils nienawidzi dziewczynkę i Andrzeja i dlatego już same przez się odwiedziny matki Nilsa o tak późnej porze i tak niespodziewane kazały murzynce przypuszczać coś złego.

Gdy Oleńka w towarzystwie Anny wyszła z domu, murzynka Ela niepostrzeżenie wymknęła się za nimi.

Anna wzięła dorożkę, Ela zaś nie mogła tego zrobić bo drugiej dorożki ani taksówki nie było w pobliżu. Nie tracąc więc ani chwili czasu i wcale się tem nie przejmując pobięgała za dorożką.

W domu Ela nosiła zwykłą suknię i teraz także miała na sobie ciemną, dosyć długą spódnicę i bluzkę. Duża chustka, którą narzuciła na głowę nadawała jej wygląd służącej, która wyszła za sprawunkami i dlatego

nikt z przechodniów nie zwrócił specjalnej uwagi na dziwną, czarnoskórą dziewczynę, która ukryła niemal całkowicie swoją twarz pod chustką.

Dorożka w której znajdowały się Anna i Oleńka jechała dosyć szybko, lecz Ela nie traciła jej z oczu. Silne nogi murzynki nie męczyły się zupełnie.

Gdy Anna wyszła z dorożki przed bramą hotelu i weszła tam w towarzystwie Oleńki, wówczas, wraz z niemi weszła także, niezauważona przez nikogo, Ela.

Widziała jak Oleńka pobiegła szybko przez korytarz, jak otworzyła drzwi, usłyszała radosny okrzyk i płacz dziewczynki a potem jej przestraszony głos.

Ela zauważyła także szybkie zniknięcie Anny z hotelu. To wszystko wzmogło podejrzenia siłaczki i Ela postanowiła za wszelką cenę doczekać się wyjścia dziewczynki z hotelu.

Drzwi pokoju, znajdującego się obok tego, do którego wbiegła dziewczynka były przymknięte tylko i Ela nie zauważona przez nikogo wsunęła się tam.

Odczuła prawdziwą radość ujrzawszy oklejone tapetą drzwi, które prowadziły do drugiego pokoju. Podbiegła do drzwi i dotknęła klamki zamierzając otworzyć je przy następnym krzyku Oleńki.

Lecz niestety, okazało się, że drzwi są zamknięte na klucz.

Rozdział XXI.

P O W R Ó C I Ł Y.

Dyrektor teatru „Rozrywek” denerwował się przez całą noc, przez cały następny dzień i wieczór.

W jego domu zdarzył się tajemniczy wypadek. Znikły naraz dwie osoby jeszcze poprzedniego wieczoru.

Osobami temi były Oleńka i Ela.

Pokojówka wyjaśniła tegoż wieczoru, że po panienkę Olę przyjechała pani Czernikowa i razem z nią gdzieś wyszła. Natychmiast po ich wyjściu znikła także „czarna dziewczyna”, jak nazywała służba Elę.

Dyrektor pojechał nazajutrz samego rana do matki Nilsa, by odnaleźć swoje artystki. Jakież było jego zdumienie, gdy mu tam powiedziano, że po Czernikową przyjechali samego rana jacyś ludzie i zabrali ją niewiadomo dokąd. Dotychczas Czernikowa jeszcze nie wróciła.

Dyrektor stracił zupełnie głowę, nie wiedząc gdzie szukać Elę i Oleńkę.

Kilkakrotnie zwracał się do Nilsa, pytając czy nie wie, dokąd udała się jego matka i poco zabrała poprzedniego wieczoru Oleńkę.

Lecz Nils, który sam nic nie wiedział, przestraszony, zaniepokojony o los matki, drżący i blady odpowiadał tylko jedno:

— Zapewniam pana, panie dyrektorze, że nie wiem o niczem.

Tym razem kłamliwy i niezbyt uczciwy chłopiec mówił prawdę. Rzeczywiście nie wiedział nic o tem co zaszło w ciągu ostatniej doby. Jedyne niewyraźne przypuszczenie, że może odkryto dawny postępek matki, przyszło mu na myśl i nurtowało go przez cały czas.

Cały ten dzień przeszedł w ogólnym niepokoju. Nastąpił wieczór. Tego wieczoru dawano po raz pierwszy przedstawienie „Chrześcijanka i Lwy”.

Kasa teatru od wczesnego rana była obłożona publicznością. Wszyscy chcieli obejrzeć zapowiadaną sztukę i wszyscy śpieszyli by zaopatrzyć się w bilety na ten wieczór.

Lecz im więcej kupowano biletów, tem bardziej ponurym i zakłopotanym stawał się dyrektor.

Oleńki niema. Przedstawienie trzeba zmienić. Niech Nils występuje z lwami — mówił głosem rozdrażnionym i niespokojnym.

Mister Bill również stracił tym razem swój zwykły spokój.

— Tak — mówił — ładnie nas urządziła ta Oleńka.

— Ale co się z nią stało?

I palił bez przerwy jedno cygaro za drugim.

— A jednak jestem pewny, że Oleńka zaraz powróci. Napewno wróci, jeżeli jest razem z Elą. Ela nie da jej skrzywdzić. Obiecała mi to — krzyknął nagle Andrzej, który podszedł przed chwilą do dyrektora.

— Jeżeli nie wróci trzeba będzie zawiadomić policję.

Andrzej był bardzo blady. Przez całą noc nie zmrugał oka. Biedny chłopiec nie mógł w żaden sposób pojąć, gdzie się podziała jego mała przyjaciółka i niepokój ten doprowadzał go do rozpacz.

Tymczasem zrobiło się późno. Trzeba było pojechać do teatru.

Nie zwracając uwagi na swe zmartwienie Andrzej musiał tego dnia tak samo, jak codzień rozśmieszać i zabawiać publiczność, dokazując w roli kłowna.

Płacono mu przecież za to pensję. Nie mógł zawieść zaufania dyrekcji, której był tego dnia potrzebniejszy, niż kiedykolwiek.

Nastąpiła godzina przedstawienia. Zabrział dzwonek za kulisami. Sztuka skończyła się właśnie, zaczynała się część cyrkowa.

Mister Bill i dyrektor denerwowali się ogromnie. Zrozumieli, że ktoś musi wyjść na scenę i zawiadomić publiczność o zmianie przedstawienia i odłożeniu sztuki „Chrześcijanka i lwy”.

Dyrektor zdecydował się wziąć ten niemiły obowiązek na siebie. Włożył frak i gotów już był do wyjścia na scenę, gdy nagle podbiegła ku niemu jego córka Henia. Płacząc i śmiejąc się jednocześnie, w dziwnym, niezwykle jak na nią, podnieconym nastroju dziewczynka szeptała przerywając co chwila.

— Idą już, tatusiu. Wróciły! Już są tutaj. Spójrz. Spójrz. Oto one — i dziewczynka wyciągnęła przed siebie drżącą rękę.

Rzeczywiście korytarzem szły a raczej biegły Oleńka i Ela.

Andrzej z oddali jeszcze zauważył swoją przybraną siostrę i lotem strzały biegł do niej.

— Gdzieś ty była? Co się stało z tobą, kochanie moje? — pytał, tuląc ją jednocześnie w objęciu i całując gorąco.

Lecz dyrektor przerwał im rozmowę. Ujrawszy Oleńkę, poczuł nagłą radość.

Oleńka wróciła, nie stało jej się nic złego, nie trzeba będzie przeto odkładać sztuki, publiczność zostanie w teatrze, kasa będzie pełna. Dyrektor nieomal skakał jak

mały chłopiec z radości i ścisnął kościstą rękę mister Billa.

Lecz mister Bill przybrał już swój zwykły, niezmaczony niczem wyraz i powiedział spokojnym głosem jakgdyby nic się nie wydarzyło w ciągu tej doby.

— Publiczność czeka. Publiczności jest obojętne czy panna Oleńka zginęła, czy nie zginęła. Dlatego pomówimy o wszystkim potem a teraz marsz do garderoby ubrać się, abyśmy mogli za dziesięć minut rozpocząć przedstawienie.

Rozdział XXII.

CH R Z E Ś C I J A N K A i L W Y.

— Jestem gotowa, mister Bill. Jestem gotowa.

— Doskonale.

Zabrzmiął nowy dzwonek.

Kurtyna podniosła się do góry.

Z za kulis wjechał na scenę rydwan przybrany kwiatami, taki jakie były w Rzymie przed tysiącem lat. Na rydwanie stała Oleńka w białej, rzymskiej tunice i w błękitnym płaszczu.

Z pod płaszczu padały jej jasne, złote włosy, otaczając wspaniałemi kędziorami prześliczną, chociaż białą jak marmur twarzyczkę dziewczynki.

Przeżyte ostatnio wzruszenia i lęk, cały dzień niemal spędzony wśród obcych ludzi w komisarjacie, gdzie pytano ją wciąż o Zęba, oraz o Annę Czernik, którą wezwano także; wszystko to podziało silnie na biedną dziewczynkę.

Teraz do przeżytych wzruszeń przybyło jeszcze jedno: Oleńka była zaniepokojona swoją nową rolą, która mogła się przecież nie udać, gdyż straszne zmęczenie ogarniało całe ciało dziewczynki.

Zmusiła się jednak do uśmiechu, gdy rydwan przejeżdżając całą arenę zatrzymał się przed lożą, w której siedziała księżniczka Ala i jej ojciec.

Ala i jej ojciec z oddali uśmiechali się do niej serdecznie. Widocznie nie wiedzieli wcale co się stało i działo z Oleńką podczas ostatniej doby. Podczas ogólnego zamieszania nikomu nie przyszło na myśl, że należało się również dowiedzieć w domu księcia, czy tam nic nie wiedzą o dziewczynce.

Oleńka powoli i uroczyście zeszła z rydwanu. Dwaj akrobaci ubrani jak niewolnicy zaprowadzili ją do klatki, gdzie biegały jak zwykle Cezar i Junona, czekając na przedstawienie.

Naprzeciwko klatki na złotym tronie pod baldachimem, otoczony świtą w białych rzymskich strojach, siedział cesarz t.j. Nils. Nils trzymał w ręku poprzednio już przygotowany wianek laurowy. Oleńka zdążyła mu powiedzieć o sprawie Zęba i chłopiec, który po swojemu kochał matkę, chociaż dokuczał jej niekiedy, bardzo był przestraszony i zaniepokojony.

Jakże daleką była od niego teraz chęć zemsty i walki z Oleńką, lub Andrzejem!

Przestraszony zamyślał się co chwila i niespokojnie pocierał czoło.

— Co ci Nils? Wyglądasz dziś jak kura — zapytał go szeptem Henryk, grający rolę jednego z dworzan.

Lecz Nils nie zdążył odpowiedzieć. Trzeba było rozpocząć grę. Oleńka, grająca Weronikę klęczała już przed nim, załamując ręce błagała, by nie rzucił jej lwom na pożarcie.

Lecz Neron był w sztuce pozbawiony uczucia litości.

Władczym ruchem ręki rozkazał niewolnikom, by wrzucili Weronikę do klatki.

Niewolnicy złapali Weronikę za ręce i poprowadzili ze sobą.

Publiczność zainteresowana akcją nieznanej sztuki, wstrzymując oddech, patrzyła na scenę. Młodzi aktorzy nie mówili ani słowa, a jedynie gestami i mimiką wyjaśniali treść sztuki.

Jeszcze chwila i Oleńka znalazła się w klatce lwów.

Według pomysłu mister Billa lwy miały natychmiast rzucić się na dziewczynkę, i udawać, że chcą ją rozszarpać. Miało to trwać do chwili, gdy Neron — Nils rzuci laurowy wieniec do klatki, na dowód kpin, jakby chcąc nim uwieńczyć skazaną na śmierć Weronikę. Lwy zaś miały uspokoić się natychmiast, gdy tylko dziewczynka włoży Junonie wieniec na szyję.

Sztuka szła swoim trybem. Junona i Cezar miały się w klatce.

Oleńka stała blada i prześliczna między wyjącem zwierzętami, które udawały że chcą rozszarpać swą ofiarę.

Nagle zlelony krążek upadł u nóg Oleńki, uderzwszy o kratę klatki. Dziewczynka pochyliła się szybko i przejąwszy się swoją rolą, włożyła go na szyję Junonie, uśmiechając się przytem promiennie.

Według sztuki lwica miała natychmiast przykłęknąć u nóg dziewczynki, lecz ku zdziwieniu Oleńki Junona wydała ze siebie ogłuszający ryk, a na jej szyi ukazały się krople krwi. Lwica biegła po klatce, wyjac dziko.

Dziewczynka patrzyła ze zdumieniem, wreszcie skupiła wszystkimi siłami i patrząc na lwicę uporczywym spojrzeniem krzyknęła nakazująco:

— Junono, tu, do mnie.

Lecz Junona skakała i szalała jakby ją coś ogromnie bolało.

Nagle skoczyła i zanim można było to przewidzieć, pchnęła Oleńkę mocno na ziemię i z tym samym wyciem wpiła w jej ciało swe straszliwe pazury.

Rozdział XXIII.

PRZERAŻENIE. — OBROŃCA.

Rozpaczliwy krzyk bólu i przerażenia zabrzmiał w teatrze. Krew trysnęła z rany i Oleńka straciła przytomność.

I jakgdyby echem po krzyku dziewczynki rozległo się w teatrze wołanie jeszcze straszliwsze, jeszcze bardziej rozpaczliwe:

— Ratujcie ją, ratujcie. Zabijcie lwicę, zerwijcie wianek. W wianku są szpilki.... szpilki...

Krzyczał Nils, biegnąc jak szalony po arenie, płacząc się w swej długiej purpurowej todze rzymskiego cesarza.

Publiczność, nie rozumiejąc co się dzieje, krzyczała, hałasowała.

Kilku osobom zrobiło się niedobrze. Ktoś szłochał głośno. Zamieszanie i krzyk zwiększały się z każdą chwilą.

— Gdzie jest pogromca? Gdzie jest pogromca — krzyczano wśród publiczności, nie zauważywszy, że mister Bill, znajdujący się na arenie biegł już w stronę klatki,

wyjmując po drodze z kieszeni rewolwer, który na wszelki wypadek nosił zawsze przy sobie.

Tymczasem Junona, rycząc głucho stała nad nieprzytomną Oleńką. Widok krwi doprowadził ją do szału. Ślepią jej miały coraz bardziej rozjątrzony wyraz.

Nachyliła się znowu, podniosła swoją straszliwą łapę i...

Zanim lwica zdążyła zadać Oleńce jeszcze jeden cios, z za kulis wyskoczył ktoś i przegoniwszy mister Billa, biegł w kierunku klatki.

Wymachując białymi szerokimi rękawami błazeńskiego stroju Andrzej w ciągu kilku sekund znalazł się przed klatką.

Chłopiec był śmiertelnie blady. Silnym ruchem ręki otworzył ciężkie drzwi i zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać znalazł się naprzeciw rozwścieczonych lwów.

Rozdział XXIV.

O C A L O N A

Pierwszym ruchem Andrzeja było zasłonięcie leżące Oleńki przed zwierzętami. j

Nie było to takie łatwe do wykonania. W Junonie i w Cezarze na widok krwi odezwały się instynkty drapieżnych zwierząt. Stały one obok nieszczęsnego dziecka, nie mając jednak odwagi, by je odrazu rozszarpać.

Nie zwlekając ani chwili Andrzej skoczył w ich stronę i uderzył z całej siły Junonę swoją małą, lecz silną pięścią.

Zwierzę zawyło i natychmiast odwróciło się od dziewczynki, aby zobaczyć nowego wroga... Lecz odważny chłopiec nie tracąc czasu, nie dając Junonie chwili czasu do namysłu złapał Oleńkę na ręce i pobiegł ku drzwiom klatki.

Rozwścieczone zwierzęta chciały biec za dziećmi, lecz zatrzymał je głos i bat mister Billa. Jednocześnie rozległ się wystrzał w powietrze, na odgłos którego, lwy zatrzymały się niepewnie. Mister Bill, korzystając z lęku zwierząt zerwał z szyi Junony wianek.

Jakież było zdumienie Anglika, gdy ujrzał dwie ostre szpilki ukryte w zieleni liści nieszczęsnego wianka. Szpilki te wpiły się w skrwawioną skórę zwierzęcia.

— Ten kto to zrobił jest wielkim łajdakiem — krzyknął mister Bill głosem, w którym słychać było gniew i groźbę.

W tej samej chwili ktoś łkając i drżąc upadł u nóg pogromcy i objął jego kolana.

Był to nieprzytomny ze zmartwienia i ze strachu Nils.

— O, mister Bill, o mister Bill — szeptał łkając. — Nie chciałem tego, przysięgam, nie chciałem tego wcale teraz... Tylko przedtem... to jest dawniej... Tak... tak, to jest dawniej... ale nie teraz... Ja jej zazdrościłem, jemu, też. Tak, tak im obojgu. Zazdrościłem, że mają takie powodzenie i chciałem jej przeszkodzić.

Ale nie myślałem, że stanie się coś takiego. Nie myślałem o tem wtedy, gdy wetknęłem te szpilki... Zapomniałem je wyjąć... Zupełnie o tem zapomniałem.

Wczoraj przestałem nawet myśleć o tej zemście. Nie mogę się tak męczyć... nie mogę. Niech mnie pan zbije... Ale ja nie mogę już dłużej.

I chłopiec zapłakał jeszcze silniej, kryjąc twarz w dłoniach.

Mister Bill zrozumiał odrazu wszystko. Wstrętny

pomysł, który się spełnił wówczas, gdy mały, szlochający przestępca wcale o nim już nie myślał, odrazu stał się dlań zrozumiałym.

Gniew i pogarda wyraziły się na twarzy Anglika. Odepchnął od siebie Nilsa, wołając ze wstrętem w głosie.

— Odejdź odemnie. Wstyd mi, że uważałem cię za mego ucznia i za uczciwego człowieka — i szybko poszedł za kulisy.

Rozdział. XXV.

K R Z Y Ż Y K.

- Niedobrze jej.
- Ona umiera.
- Zbladła! Oleńko!
- Doktora, prędszej doktora.
- Doktor jest tutaj.
- Był wśród publiczności.
- Już idzie.
- Doktorze czy ta rana jest śmiertelna?
- Na miłość boską doktorze, niech ją pan uratuje.
- To najlepsze dziecko pod słońcem.

Wszystkie te pytania, okrzyki, prośby tworzyły gwar i zamieszanie. Za kulisy teatru dostało się wiele obcych ludzi. Wszyscy oni interesowali się gorąco losem rannej dziewczynki. Doktor nie miał wcale czasu, by odpowiedzieć na te wszystkie pytania.

Zresztą nie myślał o nich wcale. Wszystkie jego myśli zajęte były nieszczęśliwym dzieckiem.

Oleńka leżała na kanapie w garderobie mister Billa. Nad nią pochyliła się płacząca Henia.

Podtrzymując głowę Oleńki klęczał przed kanapą Andrzej, nie zauważając, że krew, płynąca z rany, plami mu ręce i jego błazeński strój.

Dyrektor, wszyscy akrobaci, Ela, Duroi, Henia, mister Bill wszyscy stali wokoło i z niepokojem czekali na zdanie doktora.

Doktór zręcznymi ruchami zabrał się do tamowania krwi. Wszyscy czekali z trwogą.

Oleńka leżała wciąż nieprzytomna.

Nagle otworzyły się drzwi i wzruszona, drżąca księżniczka Ala, trzymając ojca za rękę, wbiegła do garderoby.

— Ona jest tu, tatusiu.

Dziewczynka płakała i mówiła poprzez łzy.

— O, moja biedna Oleńka.

— Cicho, Alu, cicho.

— Tatusiu, dowiedz się co jej jest?

— Cicho Alu, zaraz tam podejdę, uspokój się.

— Czy ona żyje, czy Oleńka żyje? — zawołała dziewczynka.

— Tak — odpowiedziała jej szeptem Henia, nakazując ruchem milczenie.

Dziewczynka usiłowała się uspokoić.

— Cicho, córeczko, dowiem się o wszystkim.

I ojciec Ali podszedł do kanapy, aby spojrzeć na nieprzytomną dziewczynkę i zapytać o zdanie doktora.

Pochylił się nad dzieckiem i nagle cofnął się, blady jak płótno z okrzykiem przerażenia i zdumienia.

Na obnażonej szyi dziewczynki świecił dobrze znany mu przedmiot, mały krzyżyk na który nikt poza nim nie zwrócił uwagi. Drżącymi rękoma książę dotknął krzyżyka i przeczytał na nim wyryty napis:

— Boże, chroń Oleńkę.

Cofnął się zdumiony.

Był to dobrze mu znany krzyżyk na złotym łańcuszku.

Rozdział XXVI.

CO NASTĄPIŁO POTEM.

Przeszła długa chwila. Błady jak płótno mężczyzna stał pochylony nad leżącą dziewczynką i nie był w stanie wymówić ani słowa.

— Czy to możliwe, czy to możliwe? — powtarzał sobie w myśli.

Oczy wszystkich zwrócone były ze zdumieniem na niego.

— Tatusiu — zawołała przestraszona Ala.

Lecz książę nie słyszał w pierwszej chwili jej głosu.

— Czy to możliwe? Jakim cudem? — myślał bezustannie.

— Co się stało, tatusiu, co ci się stało? — zapytała głośniejsz Ala.

Pociągnęła go za rękę.

Książę jakby się ocknął.

— Gdzie jest dyrektor cyrku?

— Jestem tu — odezwał się dyrektor.

— Zabiorę to dziecko natychmiast do siebie — powiedział wzruszonym głosem książę.

— Oleńkę?

— Tak. To dziecko jest mi bardzo drogie.

Dyrektor spojrzał na księcia ze zdziwieniem.

— U mnie będzie miała mimowoli najlepszą opiekę, m się nią zajmę.

Dyrektor skinął potakująco głową.

— Proszę bardzo, dyrektorze, niech pan się postara y jaknajszybciej przewieść dziecko i doktora autem, i powozem do mieszkania.

— Ale ja też pojadę, błagam pana — zawołał Andrzej.

Jego czarne oczy patrzyły z prośbą na księcia.

— Nie mogę przecież zostawić teraz Oli samej.

— Dobrze, chłopcze — odpowiedział książę.

A po chwili dodał:

— Tyś ją przecież ocalił. Pojedziesz z nami.

Błada twarz księcia zwróciła się w stronę doktora.

— Czy ona wyzdrowieje? — zapytał drżącym głosem.

— Rana nie jest niebezpieczna — odpowiedział doktor.

— Dzięki Bogu.

— Chora odzyskuje przytomność. Powinna tylko leć spokój i opiekę bo tu za dużo osób się kręci.

— U mnie będzie jej dobrze — zapewnił książę.

Doktor skończył bandażowanie rany. A Oleńka, jakby potwierdzając jego słowa, otworzyła swoje błękitne pełne teraz, cierpienia oczy.

Tej nocy nikt nie kładł się na spoczynek w domu księcia.

Sam książę, doktor i Andrzej siedzieli w sypialni, której spała Oleńka.

Panna Zofja, dyrektor, mister Bill, Ela i Henia, przyjechali także z teatru i znajdowali się w jadalni, nie

chcąc przeszkadzać chorej, nie chcąc jednak także zostawić jej samej. Oczekiwali niecierpliwie wiadomości.

Ala przechodziła wciąż z jadalni do sypialni i z sypialni do ~~jadalni~~ zawiadamiając wszystkich szeptem o każdym ruchu chorej dziewczynki.

Oleńka spała,

— Ten sen ważniejszy jest niż jakiegokolwiek lekarstwa, — twierdził doktor — pokrzepi dziecko, które jest wyczerpane nerwowo.

Rana rzeczywiście nie była niebezpieczna. Pazury lwicy zerwały tylko ciało, nie dotknęły jednak kości.

Oleńka była ogromnie osłabiona i wyczerpana. Wokoło musiał więc panować zupełny spokój, aby mogła wyśpać się spokojnie do rana.

Dopiero o świcie wszyscy obcy pojechali do domu uspokojeni stanem zdrowia dziewczynki.

Pozostał jedynie Andrzej, który błagał księcia, aby mógł nie odstąpić łóżka Oleńki.

— Naturalnie. Proszę cię nawet o to. Chciałbym, aby był z nią bezustannie.

Książe pogładził głowę chłopca i dodał:

— Dziś jeszcze napiszę do dyrektora i poproszę, aby cię zwolnił zupełnie.

Zostaniesz u mnie.

Po chwili zaś powiedział wzruszonym głosem:

— Ocaliłeś jej życie, mój chłopcze, nie zapomnę tego nigdy.

Andrzej ujrzał łzy w jego oczach. Zdziwił się trochę tem, że książe tak się przejmuje losem obcej dziewczynki, pomyślał jednak, że jego małą Oleńkę wszyscy widocznie muszą lubić wokoło.

Słońce podniosło się już na niebie a Oleńka wciąż spała.

O ósmej rano służący zawiadomił księcia, że jak

chłopiec chce się koniecznie z nim widzieć w ważnej sprawie.

Książę wyszedł cicho z sypialni i wszedł do gabinetu.

W gabinecie, skubiąc w rękę czapkę, znajdował się Nils. W ciągu tej jednej nocy chłopiec zmienił się nie do poznania.

Trwoga, że Oleńka mogłaby zginąć, że on sam byłby mimowolnym mordercą zmieniła chłopca nie do poznania. Nils zbladł i zmizerniał.

— Czy ona żyje? — zapytał cicho.

Oczy jego patrzyły z lękiem przed siebie.

— Żyje.

— O, Boże!

— Żyje i da Bóg wyzdrowieje zupełnie.

— Więc nic jej nie grozi? O, Bogu dzięki!

— Co chciałeś jeszcze, chłopcze.

Nils wahał się. Drżał cały. Wreszcie zdecydował się.

— Muszę przecież powiedzieć całą prawdę!

— Jaką prawdę?

— Muszę powiedzieć wszystko co zrobiłem, muszę zdjąć ten ciężar z duszy, bo oszaleję. Ta dziewczynka o mało co, a byłaby zginęła przezemnie.

— Dlaczego przez ciebie?

— Gdy przyjechała postanowiliśmy jej się pozbyć.

— Dlaczego.

— Tak, postanowiliśmy jej się pozbyć. Przeszkadzała nam — zawahał się Nils — a ponieważ mister Bill miał wyjechać niebawem do Ameryki, więc przyprowadziłem dziewczynkę.

— Jak dawno?

— Kilkanaście tygodni temu. Zaangażował ją natychmiast. Od pierwszej chwili Oleńka miała szalone zachowanie. Oddawała się od-

— Nic dziwnego.

— Publiczność polubiła ją ogromnie. I zdawało mi się, że zapomina o mnie.

— Ach, to ty występowałeś w klatce z lwami.

— Tak, to ja. Wczoraj grałem Nerona.

— Tak.

— Zacząłem jej zazdrościć. Potem znienawidziłem ją.

Nils zatrzymał się na chwilę.

— Wydawało mi się, że zabiera mi wszystko. A poza tem nie znośm jej przybranego brata.

— Dlaczego?

— Nie wiem. Wszyscy go tak chwalili. Uważałem go za swego wroga. Więc aby się na nich zemścić wymyśliłem wstrętny kawał.

— Jaki?

— Postanowiłem skompromitować Oleńkę przed publicznością i zepsuć jej pierwszy występ w nowe sztuce.

— Wczoraj?

— Tak. W tym celu, wetknęłem dwie ostre szpilki pomiędzy liście w wianku Junony.

— Ach, Bożel

— Wiedziałem, że lwica się rozłości i będzie nieposłuszna, nie myślałem jednak, że stanie się coś takiego.

— Jak mogłeś?

— Tak, zrobiłem to, Ale wczoraj, gdy okazało się że moja matka zawiozła gdzieś Oleńkę, nie... nie wczoraj, przedwczoraj, gdy dowiedziałem się, że matkę zawezwano do policji przełękłem się tak bardzo, że zupełnie zapomniałem o zemście. I gdy Oleńka wróciła ucieszyłem się mimowoli. Wcale nie chciałem się wtedy już zemścić. Gdybym pamiętał wyjałbym poprostu te

...i Ale zapomniałem w ogólnem zamieszaniu.

...ałeś?

— Tak, zapomniałem. Przysięgam panu, że tylko zapomniałem. Cała moja wina polegała właśnie na tem, że zapomniałem wyjąć te szpilki z wianka.

Chłopiec rozplakał się.

— I lwica rozszarpałaby Oleńkę, gdyby Andrzej nie zdążył przybyć w porę — zawołał ze łkaniem i zakrył twarz rękoma.

Książe pozwolił chłopcu wypłakać się, potem położył mu rękę na głowie i odsłonił zalaną łzami twarz.

— Słuchaj, chłopcze, twoja wina jest wielka i możesz ją okupić tylko szczerem wyznaniem — powiedział poważnym, surowym głosem.

— Jakiem wyznaniem?

— Dlaczego twoja matka i ty przelekliście się tak bardzo przyjazdu Oleńki?

Chłopiec milczał.

— Dlaczego chcieliście jej się jaknajprędzej pozbyć.

Oczy księcia patrzyły badawczo.

Śmiertelna bladeść pokryła twarz chłopca. Z nowym wybuchem płaczu Nils odpowiedział:

— Dobrze, powiem wszystko, wszystko.

— Tak będzie najlepiej.

— Ale niech pan uratuje moją matkę. Niech pan nie pozwoli wsadzić jej do więzienia. Ona nie jest winna. Ja wiem, że ona jest niewinna. Zrobiła to dla naszego dobra, dla swoich dzieci. Byliśmy wtedy w nędzy. O, niech jej pan wybaczy. Niech ją pan uratuje.

I Nils szlochał rozpaczliwie.

— Uspokój się, chłopcze, opowiedz wszystko.

— To było tak...

I Nils, patrząc w oczy księcia, opowiedział szczegółowo jak to się stało, gdy matka po śmierci męża, przeczytała ogłoszenie i obawiając się nędzy dla swych opuszczonych dzieci, z miłości do nich zdecydowała się od-

dać księciu swoją córeczkę, podstawiając ją jako małą księżniczkę.

— Domyślałem się tego wszystkiego — szepnął książę.

Po twarzy księcia płynęły łzy. Domyślił się prawdy od chwili, gdy ujrzał na szyi Oleńki złoty krzyżyk, chciał jednak mieć potwierdzenie swego przypuszczenia.

Nils skończył już swe opowiadanie, a książę wciąż milczał i tylko łzy płynęły mu po twarzy.

— Uspokój się — powiedział wreszcie.

— Moja matka — szepnął Nils.

— Zrobię wszystko co tylko będę mógł, aby ocalić twą matkę przed nieprzyjemnościami. Nie zrobią jej nic złego.

I machnąwszy ręką, nie słuchając już gorących słów wdzięczności Nilsa, książę wyszedł pośpiesznie z gabinetu, aby zobaczyć czy śpi jeszcze jego mała Oleńka?

Rozdział XXVII.

D W I E K S I Ę Ż N I C Z K I.

Minęło kilkanaście dni. Było jasne wiosenne przedpołudnie.

W tym samym dziecinnyim jasnym i dużym pokoju, gdzie przed kilku tygodniami mała księżniczka przyjmowała swoją przyjaciółkę — Ala, Andrzej i Oleńka bawili się w piłkę.

Dzieci były tak przejęte swoją zabawą, że nie zauważyły wejścia księcia, który zatrzymał się, patrząc z zadowoleniem na śliczny obrazek.

Czarnowłosy, wyjątkowo ładny chłopiec i dwie jasne i powiewne dziewczynki bawili się razem, skacząc i goniąc piłkę.

Oleńka była tego dnia wyjątkowo ożywiona. Jej prześliczna twarzyczka rozplomieniła się. Policzki zaczerwieniły się, oczy błyszczały jak gwiazdy.

Książę patrzył na nią z niewymowną tkliwością i ze smutkiem, dziwiąc się, że nie poznał swego dziecka przez tak długi okres czasu, podczas gdy teraz odróżniłby je z pośród tysiąca innych dzieci.

Książę zapomniał o jednym: Zostawił przecież swoją dziewczynkę w lesie, gdy miała zaledwie dziewięć miesięcy, a w tym wieku wszystkie niemal dzieci są do siebie podobne.

Wzruszony i niespokojny myślał w tej chwili:

— Dziecko wyzdrowiało, może więc dowiedzieć się prawdy. Dzisiaj powiem jej wszystko.

I łagodnym głosem zawezwał dziewczynkę:

— Oleńko, chodź do mnie.

Dziewczynka rzuciła piłkę i podbiegła do księcia. Przyzwyczaiła się do niego i pokochała tego dobrego, miłego człowieka. Wraz z nią podbiegła Ala i podszedł Andrzej.

—Przerwijcie zabawę dzieci, na dziś dosyć. Przyszędtem, aby wam opowiedzieć pewną bajkę. Myślę, że wysłuchacie jej z zaciekawieniem.

— Opowiedz, opowiedz, tatusiu. Ja tak lubię słuchać, gdy mówisz — zawołała, skacząc wokoło księcia, Ala. — Mówisz, że to bajka. A więc jestem pewna, że to prawda — powiedziała, sadowiąc ojca w fotelu.

— Tak, wydarzyło mi się to, gdy byłem młody — powiedział książę i usiadł.

Księżniczka usiadła na ławeczce u jego nóg. Andrzej i Oleńka usiedli nieco dalej na krzesłach.

— To było dawno, przed dziewięciu laty — zaczął

księżę i głos mu drgnął.—Pewnego dnia w głębokim lesie jechały sanie zaprzężone w parę koni. Była noc i zamieć. W sankach znajdowały się trzy osoby. Ojciec, małeńka córeczka i niania. Matka dziewczynki umarła przed dwoma miesiącami i osierocony mąż jechał ze swoją dziewięciomiesięczną córeczką do majątku przyjaciela. Nagle na podróżnych napadły wilki. Nie było mowy o ratunku i ojciec w obawie o los swojej córeczki kazał stangretowi się zatrzymać, wyniósł z sanek dziewczynkę, otulił ją płaszczem i przywiązał do drzewa wysoko rzemieniem, aby wilki nie mogły dostać się do małeństwa.

Zaledwie zdołał to uczynić, gdy zwierzęta rzuciły się na nieszczęsnych podróżnych. Uratował się jedynie ojciec dziewczynki. Chłopi z pobliskiej wsi usłyszeli krzyki w lesie i pospieszyli na pomoc. Nieszczęsny podróżny żył jeszcze. Wzięli go do siebie na wieś. Dziecka zaś nie znaleziono wcale. Wkrótce wieśniacy dali znać przyjacielowi podróżnika o miejscu jego pobytu. Przyjaciel przyjechał i zabrał ze sobą nieszczęsnego ojca zagranicę. Tam choroba jego przybrała poważny obrót. Przez cztery lata chory przebywał zagranicą i tylko stamtąd pisał jeden list za drugim. Były to ogłoszenia do gazet z prośbą, by zawiadomiono go o losie dziecka. Nikt nie uczynił tego. Dziecko się nie znalazło.

Dziewczynka nie zginęła jednak wcale. Jak się potem okazało, na drugi dzień po napaści wilków znalazł ją w lesie stary myśliwy i wychował jak umiał. Myśliwy ten nazywał się Michał Kar...

W tem miejscu drżący głos księcia zadrżał jeszcze mocniej i nagle się załamał. Przez cały czas swego opowiadania nie odrywał oczu od Oleńki, obserwując ją. Z początku dziewczynka zaczerwieniła się cała, gdy księżę wspomniał o dziecku, przywiązaniem do drzewa. Potem przejrzysta bledość pokryła jej delikatną twarzyczkę. Błękitne oczy rozwarły się szeroko i świecąc jak gwiazdy

wpiły się w twarz księcia. Serce jej biło tak silnie, że musiała przyłożyć do niego rękę, jakby wstrzymując uderzenia.

Wzrok księcia spotkał się z wzrokiem dziecka.

Wówczas jakgdyby błyskawica rozjaśniła nagle ciemności.

Jakgdyby słońce zaświeciło nagle i rozjaśniło wszystko co dotychczas znajdowało się we mgle. Niezwykłe wzruszenie przejęło obojga. Książę jakgdyby się zmienił. Smutek znikł z jego twarzy. Szalona, ojcowska miłość, ogromna czułość zmieniły jego szlachetne, przedwcześnie postarzałe rysy.

Ledwo panując nad sobą, podniósł się z krzesła, drżący, wzryszony blady i wyciągnął przed siebie ręce.

Machinalnie podniosła się także z krzesła Oleńka.

Nie wiedziała sama dlaczego ogarnia ją takie dziwne uczucie.

Książę poszedł jej naprzeciw.

— To dziecię, to byłeś ty, Oleńko, ty, moje kochane maleństwo — szepnął ledwo dosłyszalnie i łzy popłynęły z jego oczu.

— Tatusiu — zabrzmiał miły łagodny głosik z głębi dziecięcego serduszka i drżąca Oleńka przytuliła się do piersi ojca.

Przeszła chwila, jedna, druga. I ojciec i córka stracili poczucie czasu i nie wiedzieli wcale jak długo trzymali się w objęciu.

Ciche łkanie wyrwało ich z tego stanu. Łkanie rozległo się głośniej i wreszcie zamieniło się w głośne szlochanie. Płakała mniemana księżniczka Ala rzewnymi, gorącymi łzami.

— O mój Boże, o mój Boże—płakała dziewczynka—to teraz nie ja, a Oleńka będzie prawdziwą księżniczką, a mnie oddadzą na jej miejsce do cyrku, albo gdzie-

indziej. Nie będę już z tatusiem. Ach jak ja jestem nie-szczęśliwa.

I dziewczynka zalewała się łzami.

Książe zbliżył się do niej i pocałował zapłakaną twarzyczkę.

— Nie płacz, /!u, uważałem cię tyle lat za swoją córkę, będziesz nią nadal. Będę miał teraz dwie córeczki. Pokochałem cię przecież.

Jasna główka Oleńki przytuliła się do niego.

Ale Andrzej też zostanie z nami, prawda, tatusiu, Będziemy mieszkać zawsze wszyscy razem.

—Tak, kochanie. Tak moje małeństwo. Będzie tak jak zechcesz. Tyle przeżyłaś zmartwień, że obecnie twoje życie musi być radosne i szczęśliwe.

Andrzej radosny i zaczerwieniony ścisnął rękę księcia. Ala obejmowała go, Oleńka przytuliła się do jego piersi.

— A teraz musisz opowiedzieć mi wszystko — zwrócił się do Andrzeja — chcę wiedzieć co przeżyła moja córeczka.

Głęboko wzruszony ojciec słuchał smutnej opowieści o przygodach swojej małej córki.

Gdy chłopiec opowiedział o tem jak czarna Ela wyrwała Oleńkę z rąk Zęba (Oleńka zdążyła to wszystko opowiedzieć Andrzejowi), stanął nagle na progu pokoju służący i oznajmił o przybyciu gościa.

Zanim zdołano się zapytać kto jest tym gościem, do pokoju wsunęła się czarna Ela z wiązanką kwiatów w ręku.

— Bądź zdrow, bądź zdrow — wypowiedziała z trudem niedawno nauczone zdanie i podchodząc do Oleńki podała jej kwiaty.

— Tatusiu, to moja druga wybawicielka — zawołała dziewczynka, biorąc Elę za rękę i prowadząc ją do ojca.



ZAKOŃCZENIE.

Tę noc spędziła Oleńka w domu swego ojca.

Późno wieczorem, gdy dwie jasnowłose dziewczynki zasnęły już w swoich łóżeczkach, otworzyły się cicho drzwi dziecinnego pokoju i wszedł tam książe.

Podszedł naprzód do Ali i pocałował ją jak zwykle. potem zbliżył się do łóżeczka swojej prawdziwej córki.

Oleńka spała mocno. Jej wspaniałe kędziory rozsypały się na poduszce. Prześliczna twarzyczka zaróżowiła się we śnie.

Spała mocno i beztrasko. Sniło jej się widocznie coś miłego. bo uśmiechała się przez sen słodko.

Książe leciutko dotknął jej głowy, pocałował ostrożnie twarz dziecka, a potem ukląkł przy jej łóżku i długo, gorąco modlił się o szczęście dla swej dziewczynki.

KONIEC